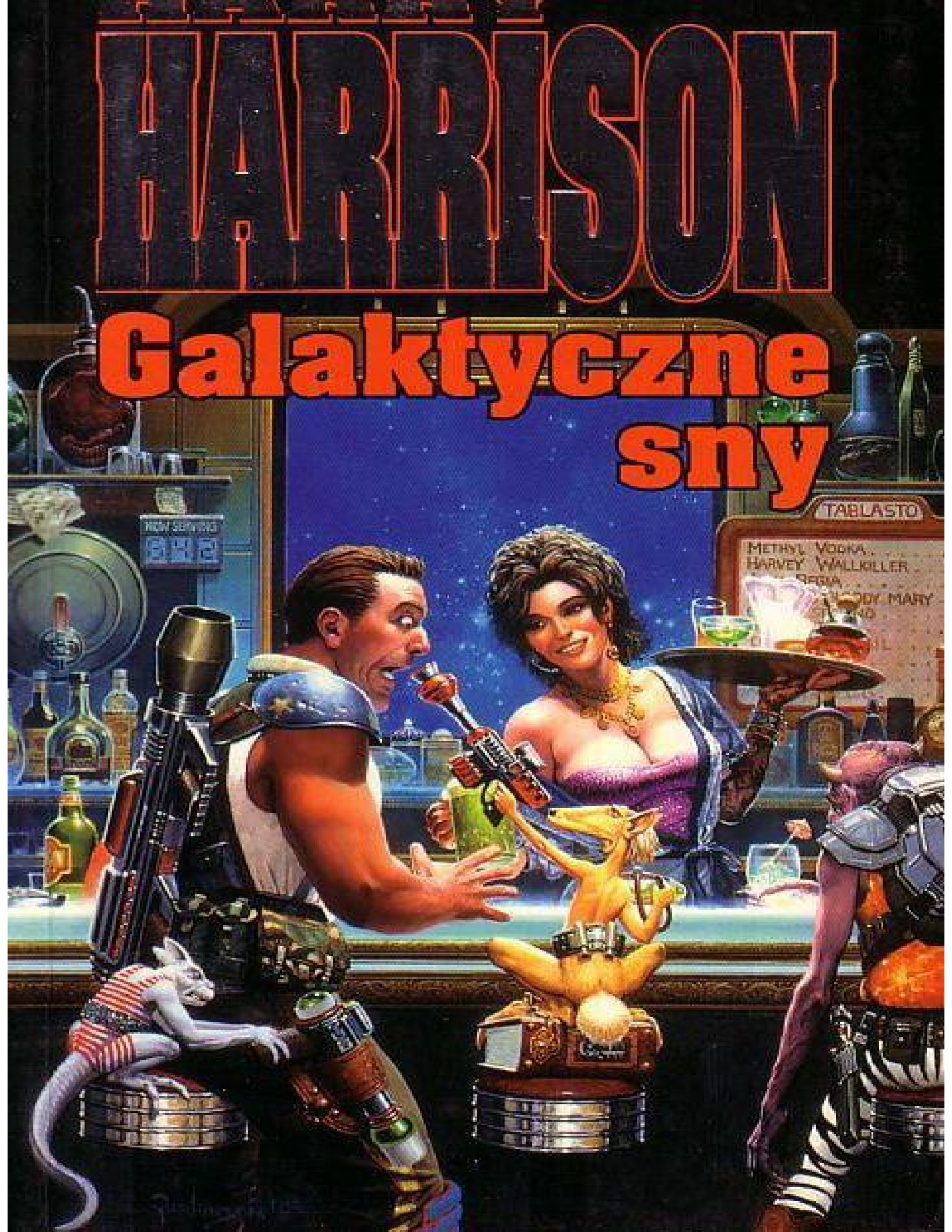


# HARRISON

## Galaktyczne sny



**HARRY HARRISON**

**GALAKTYCZNE SNY  
ZBIÓR OPOWIAŃ**

**GALACTIC DREAMS**

**DATA WYDANIA ORYGINALNEGO – 1994**

**DATA WYDANIA POLSKIEGO – 1997**

# Spis treści

[O autorze](#)

[Zawsze słucham misia](#)

[Kosmiczne Szczury z BGW](#)

[Z powrotem na Ziemię](#)

[Przestępstwo](#)

[I kto to mówi...](#)

[Uwiedzenie](#)

[Jeżeli](#)

[Milczący Milton](#)

[Symulowany trening](#)

[Nareszcie prawdziwa historia Frankenstein](#)

[Robot, który chciał wiedzieć](#)

[Szczęśliwe wakacje Billa Bohatera Galaktyki](#)

# O autorze

Harry Harrison urodził się w Stamford w Connecticut, dorastał w Nowym Jorku. Gdy ukończył osiemnaście lat, został wcielony do armii amerykańskiej. Do cywila wrócił w stopniu sierżanta, starszy, choć niekoniecznie mądrzejszy, jak sam mawia. Lata spędzone w wojsku minęły mu na tak absorbujących zajęciach, jak naprawa dalmierzy, szkolenie w użyciu ciężkich karabinów maszynowych czy konwojowanie śmieciarek obsługiwanych przez skazańców, nic więc dziwnego, że pałał gorącym i serdecznym uczuciem do wojska jako takiego, nie była to jednak z pewnością miłość. Raczej coś wręcz odwrotnego, co znalazło specyficzny wyraz w wielu jego utworach. Następne lata spędził jako plastyk, rysownik, wydawca i redaktor, aż w końcu poświęcił się wyłącznie karierze pisarza sf (i nie tylko).

Ponieważ Nowy Jork nie jest miastem sprzyjającym twórczości pisarskiej, przeniósł się wraz z rodziną do Meksyku, który okazał się jeszcze gorszy, toteż potem mieszkał w Anglii, Włoszech, Danii i przelotnie w dwudziestu siedmiu innych krajach. Harrisonowie mieszkają obecnie (i to od pewnego już czasu) na wybrzeżu Irlandii, z ładnym widokiem na wieżę Martello. Dotychczas pisarz wydał około czterdziestu powieści, głównie sf (choć także trzy parodie sensacji), siedem zbiorów opowiadań, cztery pozycje popularnonaukowe (w tym historię seksu w sf i fantasy). Jego prace przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków, zaś za powieść *Przestrzeni! Przestrzeni!* dostał *Nebulę*. Filmowa adaptacja, nosząca tytuł *Zielona pożywka* (*Soylent Green*), nie była najlepsza. Harrison najbardziej znany jest z cykli o przygodach *Stalowego Szczura*, *Jasona din Alt* (*Planeta śmierci*) oraz, naturalnie, *Billa – Bohatera Galaktyki*.

Niniejszy zbiór jest w dorobku pisarza najnowszy, zawiera nową, nigdzie nie publikowaną przygodę *Billa, Bohatera Galaktyki* – tym razem *Bili* wybiera się na wakacje.

Poza tym można się też dowiedzieć, jak (wg autora) wyglądały początki wielu doniosłych wydarzeń historycznych, jak przebiegał podbój Stanów Zjednoczonych przez III Rzeszę oraz do czego może doprowadzić ciekawski robot.

Wstęp. Życie pisarza

Niedawno czytałem biografię Briana W. Aldissa zatytułowaną *Pochowajcie me serce w W. H. Smith* (to nazwa największej w Anglii sieci księgarskiej, którą trudno nazwać trupiarnią, tytuł miał więc czysto metaforyczną wymowę). Książka ma to do siebie, że jest ruchliwa niczym strumień – to jest na miłej łączce, to w ciemnym lesie, to znów wpada w bagno. Podobnie jest z życiem pisarza – są czasy złe i dobre, są ludzie mili i nie; tak czasy, jak i ludzie zmieniają się raz szybciej, raz wolniej. Oprócz życia fizycznego każdy normalny pisarz ma także życie duchowe, gdyż książki biorą się dopiero z połączenia tych dwóch.

Można powiedzieć, iż życie staje się sztuką, a sztuka przechodzi w życie.

Postronnemu obserwatorowi codzienne życie pisarza musi się wydać upiornie nudne: wstaje się rano (powiedzmy, że jest to określenie umowne), je śniadanie i idzie się do gabinetu. Tam siada się do pióra, długopisu, maszyny czy komputera – niczym pustelnik – na długie godziny. To, do czego się siada, też jest kwestią indywidualną, reszty zaś (to jest bezruchu i długich godzin pracy) doświadcza każdy. Prawda jest inna – w rzeczywistości takie życie jest podniecające. Praca nad każdą nową stroną jest najczystszy przeżyciem łączącym doświadczenia, wiedzę i wyobraźnię oraz zmieniającym je w sztukę. Tak jest, bracia grafomani – pisanie jest sztuką i nie należy się wstydić

tego słowa! Każdy może napisać: "Z łagodnym westchnieniem..." Nie każdy natomiast potrafi przejść z etapu ćwiczeń w maszynopisaniu do przekonania raczej (w teorii przynajmniej) sprytnych i niegłupich wydawców, by wmuszali w niego gotówkę za pisanie tych słów. Dokonanie czegoś takiego jest bez cienia wątpliwości sztuką (może być, że magiczną).

Te trzy słowa napisałem w Meksyku w 1956 r. Przez cały następny rok w Londynie, Włoszech i na Long Island dopisałem do nich sześćdziesiąt cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć innych i John W. Campbell kupił je po trzy centy za każde, by całość opublikować w magazynie "Astounding Science Fiction". Rok później Bantam Books kupiło te same słowa (już za rozsądniejszą stawkę) i wydało jako powieść Planeta śmierci (Deathworld). Była to moja pierwsza, ale na szczęście nie ostatnia powieść.

Powód, dla którego piszę, jest prosty – sf zawsze sprawiała mi przyjemność, ale to nie wyjaśnia, skąd się wziąłem w Meksyku, Londynie i kilku innych miejscach. Zmusiło mnie do tego życie, w które przerodziła się sztuka. Otóż wraz z Joan – moją żoną, tancerką i projektantką mody – żyliśmy w klimatyzowanym mieszkaniu w Nowym Jorku. Gdy urodził się Todd, a potem Moira, Joan większość czasu poświęcała dzieciom, a więc na mnie spadł główny ciężar utrzymania czteroosobowej rodziny. Wcześniej byłem rysownikiem, wydawcą i redaktorem, ale mniej więcej rok temu zdecydowałem się na pełnowymiarowe pisarstwo.

Pisałem głównie dla pieniędzy, a to jest zajęcie podobne do zawodu strażnika więziennego czy windziarza: musisz je wykonywać, aby przeżyć, nie dlatego, że sprawia ci ono przyjemność. Gdyby nie to, że pisanie fantastyki sprawiało mi czystą przyjemność i w pewien sposób nadawało sens mojemu życiu, wątpię, bym pozostał pisarzem. W owych czasach oszałamiających stawek dwa centy za słowo trzeba by było pisać i sprzedawać po dwa opowiadania tygodniowo, aby zarobić tyle, co sprzedawca w sklepie obuwniczym. Było to fizyczną niemożliwością.

Jeśli chodzi o pisanie powieści, sprawa zatraćcała o utopię, gdyż przez co najmniej rok nie było się w stanie zarobić absolutnie nic. Wielu autorów pisało w czasie wolnym, pracując w zupełnie innym zawodzie, ale ja byłem psychicznie do tego niezdolny – nie pasował ani charakter, ani tryb pracy. Przedyskutowaliśmy więc z żoną problem dogłębnie i doszliśmy do rozwiązania dla nas oczywistego, dla innych szokującego: zrezygnowałem z pracy w redakcji, sprzedaliśmy mieszkanie (klimatyzator też). Dobytek umieściliśmy w magazynie opłaconym za rok z góry i pojechaliśmy do Meksyku. Todd, mający ledwie rok, nie protestował – w przeciwieństwie do swych dziadków i całego grona naszych przyjaciół. Jeśli dobrze pamiętam, "idiotyzm" było jednym z łagodniejszych określeń naszego zamiaru.

Może mieli rację. Jakkolwiek by było, zamieniliśmy tylne siedzenie forda dziesiątki w kojec dziecienny, do sufitu przymocowaliśmy kołyskę, a do bagażnika zapakowaliśmy to, co uznaliśmy za najpotrzebniejsze, i pojechaliśmy. Najśmieszniejsze zaś jest to, że teoria pokryła się z praktyką: mieliśmy trochę ponad dwieście dolarów, co – jak się okazało – w latach pięćdziesiątych w Meksyku było wcale dużą kwotą. Dojechaliśmy na południe tak daleko, jak starczyło drogi. Miasteczko nazywało się Cuautla. Wynajęliśmy w nim dom, nauczyliśmy się po hiszpańsku, polubiliśmy tequilę (siedemdziesiąt pięć centów za litr) i wynajęliśmy służącą na cały etat – za cztery dolary i pięćdziesiąt trzy centy na miesiąc! Pisałem na zacienionym balkonie z widokiem na bananowce i nieźle się sprzedawałem w Nowym Jorku. Dochód ze sprzedaży jednego opowiadania, który tam wystarczyłby na dobry obiad i wieczór w teatrze, tu pokrywał koszty utrzymania przez miesiąc. Kiedy miałem już kilka opowiadań w zapasie i pewną kwotę na życie, wziąłem głębszy oddech i zabrałem się do pisania powieści.

Meksyk był ciepły, miły i wygodny. Nie kwitło tam jednak życie towarzyskie, no i z całą

pewnością nie było to najwłaściwsze miejsce na wychowywanie dzieci. Toteż po roku, bogatsi w doświadczenia i w gotówkę oraz opaleniznę, pojechaliśmy z powrotem do Nowego Jorku.

I zatrzymaliśmy się w Anglii.

Wielokrotnie pytano mnie, dlaczego zrobiłem to czy tamto, jak na przykład: wyjechałem do Meksyku z rodziną bez znajomości choćby języka, o warunkach nie wspominając; albo wyjechałem do Danii na miesiąc, a zostałem na siedem lat. Najczęściej odpowiadam, że wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem. Ludzie mający stałą pracę, nie spłacone domy i perspektywę emerytur w mglistej przyszłości nie wiedzieć czemu dostają często szału, słysząc taką replikę, która – co gorsza – jest zgodna z prawdą.

Życie wolne i nie związane z jednym miejscem sprawiało mi zawsze przyjemność, a moje szczęście polega na tym, iż mojej żonie również. Dla pisarza uczenie się nowych języków, poznawanie nowych kultur, realiów i poglądów to coś, co można porównać do raju.

Dzięki wciąż nowym doświadczeniom nigdy nie brak pomysłów. Na okładce jednego z niemieckich wydań spotkałem ciekawe określenie mej osoby – Weltenbummler. W pierwszej chwili sądziłem, że wymyślają mi od globtroterów, dopiero profesor T. A. Shippey, lingwista i miłośnik sf, wytłumaczył mi właściwe jego znaczenie. Jest to stare, sięgające średniowiecza określenie, które oznacza czeladnika lub ucznia kształcącego się w zawodzie, a jednocześnie podróżującego od miasta do miasta. Przy tej okazji poznawał nowe zajęcia, przez co stawał się bardziej wszechstronny, niż gdyby terminował tylko u swego majstra. W takim znaczeniu określenie Weltenbummler pasuje do mnie jak najbardziej.

Wielokrotnie zresztą nowe doświadczenia znalazły odzwierciedlenie w moich pracach. *Captive Universe* napisałem po pobycie w Meksyku; poznałem tam, jak traktują życie mieszkańcy izolowanej wioski i wiedziałem, jak tacy ludzie pojmują otaczający ich świat. W *In Our Hands the Stars* wprowadziłem duńskie realia, ludzi i ich podejście do życia jako podstawy świata, w którym toczy się akcja. Te dwa przykłady są oczywiste, jest wszakże wiele innych, gdzie doświadczenia wykorzystałem znacznie subtelniej albo też zrobiłem to podświadomie, co wskazali mi dopiero redaktorzy lub ktoś znajomy. Czasami wrogowie.

Jak dotąd przez dłuższy czas mieszkałem w sześciu państwach, a odwiedziłem co najmniej sześćdziesiąt innych. Uważam, że to wzbogaciło tak mnie, jak i moje prace, a trzydzieści lat życia poza krajem, w którym się wychowałem, z pewnością zmieniło sposób mego myślenia i pisania. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że jestem obywatelem świata, przekonany, iż żaden kraj nie jest lepszy od innych, choć są takie, które bezwarunkowo są znacznie gorsze. Esperanto posługuję się, jakby to był mój język ojczysty, choć – jak twierdzi Damon Knight – po angielsku mówię jak emigrant, tyle że nie do końca wiadomo skąd. Esperanto przydawało mi się na całym świecie, choć przyznaję, że angielski był potrzebny co najmniej równie często. Oto kilka ciekawostek z życia podróżnika.

Wiele lat temu podpisywałem w Moskwie egzemplarz rosyjskiego tłumaczenia jednej z moich powieści wydanej nielegalnie (tzw. klubówka). Zaszczytne, przyznaję. Zaszczyt to zresztą wszystko, na co autor może liczyć w tym kraju, Rosja bowiem nigdy nie podpisała żadnej międzynarodowej umowy o przestrzeganiu praw autorskich, toteż nie istnieje tam pojęcie "piractwa". Kradzież zaś praw i nielegalne wydania zagranicznych książek są czymś najzupełniej normalnym. Ostatnio dowiedziałem się, że jestem najczęściej publikowanym zagranicznym pisarzem sf. Czyli – najczęściej okradanym. Prawdę mówiąc nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy tym denerwować.

Rio de Janeiro – spotkałem pewnego milionera, fana sf, który nigdy nie przypuszczał, że będzie miał okazję poznać autora swych ulubionych powieści. Pierwszy raz podpisywałem swoje książki

oprawione w najprawdziwszą skórę.

Osaka – jako pierwszy zagraniczny pisarz byłem gościem honorowym ogólnojapońskiego konwentu sf, i to jubileuszowego, bo dwudziestego. Co prawda musiałem za wszystko płacić, ale reakcje czytelników przy dedykowaniu książek zwróciły wszystko z nawiązką. Podpisywałem zresztą nie tylko książki, także koszulki, wachlarze i całą gamę rzeczy, co do których dotąd nie podejrzewałem, że mogą służyć do tego celu.

Helsinki – podpisując fiński egzemplarz powieści, uświadomiłem sobie, że nigdy nie zawierałem umowy na jej wydanie w tym języku.

Hamburg – podpisując niemiecki egzemplarz Planety śmierci (tym razem wydany jak najlegalniej), byłem zaszokowany jego tytułem Planet aus die falsch Zauberer, to znaczy Planeta fałszywych magów. Powodów, dla których tak brzmiał, nie znam do dziś.

Paryż – razem z Joan jedliśmy lunch z Jacquesem Sadoulem i innymi tuzami francuskiej fantastyki. Jacques, nałogowy fotograf, wypstrykał przy tej okazji z pół rolki filmu. Miesiąc później przesłał mi francuską encyklopedię sf. Przygotowywano ją lata, a ukazała się dopiero niedawno. Gdy jedliśmy ten lunch, była już wydrukowana, ale jeszcze nie oprawiona – w gotowym egzemplarzu zostaliśmy nieśmiertelnieni na jednym ze zdjęć z owego spotkania. To było bardzo sympatyczne.

USA – pracowałem nad scenariuszem w Hollywood. Pewnego dnia jadłem samotnie obiad we włoskiej restauracji, mając książkę za towarzysza. Gadatliwy kelner spytał, czy jestem pisarzem (widać w okolicy nikt nie czytuje książek). Powiedziałem z niechęcią, że tak, więc – co było do przewidzenia, spytał o nazwisko. Podałem mu prawdziwe i usłyszałem, ku swemu zaskoczeniu, że je poznaje i lubi (wymienił jednym tchem tuzin moich książek).

Okazało się, że jest fanem, i to jeżdżącym na konwenty!

Gwoli wyjaśnienia: większość autorów nie lubi chwalić się ani tym, co robi, ani prawdziwymi personaliami – nie z powodu wrodzonej skromności, ale ze względu na przykre doświadczenia. Gdy pytają mnie o zawód, przeważnie odpowiadam, że pracuję w branży wydawniczej, co jest świętą prawdą. Gdy ktoś powie, że jest pisarzem, to (nie licząc fanów sf) niezmiennie słyszy dwa pytania:

1. Skąd bierze pomysły?
2. Pod jakim nazwiskiem wydaje?

Drugie pytanie to łagodna wersja stwierdzenia ”nigdy o panu nie słyszałem”. Kiedyś odpaliłem ”Mark Twain”, na co pytający zrobił mądrą minę i stwierdził, iż wydaje mu się, że o mnie słyszał.

Te wspomnienia wielce sobie cenię, głównie dlatego, że uświadamiają mi, iż nie piszę w wieży z kości słoniowej, ale dla inteligentnych czytelników lubiących moją pracę. Lektura sprawia im przyjemność i nie wstydzą się tego powiedzieć, jeśli zaś krytykują, to logicznie, i często mają rację. Prawdą jest, że piszę dla pieniędzy, gdyż jak każdy, muszę jeść (a jak większość, lubię wypić), ale faktem jest, iż kiedy zarabia się wystarczająco, by nie martwić się o pieniądze, najważniejszą kwestią staje się usatysfakcjonowanie czytelników. Pisarze sf mają w tej sprawie niesamowite szczęście – konwenty pozwalają na szybkie poznanie ocen czytelników, i to szczerych ocen, czego nie da żaden ”sondaż rynku”. Znacznie gorzej ma na przykład niejaka Barbara Cartland, która co cztery godziny może produkować arcydzieło i kapać się w gotówce, ale nie jest w stanie się dowiedzieć, co naprawdę czytelnicy sądzą o jej książkach.

Opowiadania wchodzące w skład tego zbioru pisane były w ciągu wielu lat, lecz wciąż sprawiają mi satysfakcję, o czym przekonałem się, sprawdzając je przed złożeniem w wydawnictwie. Poza drobnymi korektami stylistycznymi nie poprawiłem nic, ponieważ nie sądzę, bym mógł coś istotnego w nich poprawić. Jestem też zadowolony z tego, co napisałem, gdy uznałem je za gotowe. Pisanie sprawia mi przyjemność i ostrzegam uczciwie, że będę pisał dopóty, dopóki

będę mógł trafić palcem we właściwy klawisz.

Przyznaję też, że przyjemność sprawiają mi nagrody związane z karierą pisarza. Ot, kilka tygodni temu w jednej z księgarni sieci W. H. Smith odkryłem, iż uhonorowano mnie jedną z największych nagród, na jakie w Anglii może liczyć pisarz. I nikt mi o tym nie powiedział! Istnieje bowiem zwyczaj, że na regałach umieszcza się nazwiska dziesięciu najsłynniejszych (czytaj: najlepiej sprzedających się) autorów poszczególnych gatunków, na przykład romansu, sensacji czy sf. Robi się to, aby ułatwić kupującym odszukanie książek wybranego pisarza. Ku swemu zaskoczeniu, w dziale sf znalazłem tabliczkę z własnym nazwiskiem. Dla pisarza to takie wyróżnienie jak dla aktora jego nazwisko złożące się na chodniku Hollywood Boulevard. Tej nagrody nie można kupić ani załatwić, decydują o niej wyłącznie czytelnicy, i to im ją zawdzięczam. Dziękuję wam naprawdę serdecznie.

Harry Harrison Dublin, Irlandia



# Zawsze słucham misia

Chłopiec spał oświetlony łagodnym blaskiem księżyca, jedną ręką obejmując pluszowego misia, gdy jego ojciec i mężczyzna z czarną brodą cicho weszli do sypialni.

– Wsuń go i podłóż drugiego – szepnął brodaty.

– Obudzi się i narobi wrzasku – zaoponował ojciec. – Jest lepszy sposób...

Z drugiej strony głowy syna położył identycznie wyglądającego pluszaka i ostrożnie odciągnął rękę malca obejmującą oryginalnego niedźwiadka, którego natychmiast zabrał.

Davy przez sen pomacał poduszkę, przewrócił się na drugi bok i natychmiast przytulił drugą zabawkę. Po kilkunastu sekundach jego oddech wyrównał się i pogłębił. Obaj mężczyźni cicho wyszli i delikatnie zamknęli za sobą drzwi.

– No to zaczynamy – ucieszył się Torrence, ledwie znaleźli się na schodach, i oblizał wargi, łapiąc misia.

Niedźwiadek szarpnął się w uścisku, przewrócił czarnymi ślepkami i pisnął:

– Zanieście mnie do Davy’ego.

– Daj mi go – polecił ojciec malca. – Zna mnie, więc nie będzie pyskował.

Nazywał się Numen i podobnie jak Torrence był doktorem nauk politycznych, pomimo wysokich kwalifikacji nie zatrudnionym przez obecne władze. Nie znaczyło to zresztą, że byli bez środków do życia, jako że te dwie sprawy nie były ze sobą związane.

Podobnie jak jego towarzysz także miał brodę, jednak o wiele krótszą, staranniej przystrzyżoną i jasną. W ogóle znacznie się różnili – jeden krępy i śniady brunet, drugi wysoki, łysiejący blondyn o jasnej karnacji.

Kiedy Numen wziął misia, ten się uspokoił i bez problemów dotarli do starannie ekranowanego pomieszczenia w piwnicy, gdzie czekał Eigg.

– Wreszcie! – ucieszył się na ich widok i szybkim ruchem złapał zabawkę.

Zawsze zachowywał się tak, jakby mu się wiecznie spieszyło, mimo że był masywnej budowy, co jeszcze podkreślał biały laboratoryjny kitel.

– Poczekaj – zaprotestował Numen. – Nie musisz...

– Puść mnie! – pisnął niedźwiadek. – Puść!

– To tylko maszyna – stwierdził zimno Eigg i sięgnął po skalpel. – Jesteś dorosły, powinieneś lepiej panować nad emocjami i rozsądniej myśleć. To nie jest twój przyjaciel i powiernik z dzieciństwa. To nawet nie jest żywe: to jest maszyna, a ty jesteś dorosły!

Szybkim ruchem rozpruł szew, nacisnął i w plecach zabawki otworzyła się oklejona futrem klapka.

– Puść mnie! – piszczał miś, machając łapkami. – Naprawdę musimy...

– Przestań się zachowywać jak sentymentalny dureń! – parsknął Eigg, łapiąc za śrubokręt.

Nacisnął coś we wnętrzu pluszaka, rozległ się cichy szczeł i zabawka znieruchomiła.

Spokojniej już położył ją na stole i zabrał się do odkręcania pokrywy. Zaskoczony Numen otarł oczy, przyznając w duchu, że zachowuje się głupio. Eigg miał rację – miał w ręku maszynę, a to, co właśnie robili, było zbyt ważne, by patrzeć na to oczami małego chłopca.

– Ile czasu ci to zajmie? – spytał, patrząc na zegarek. – Jest dziewiąta.

– Mówiliśmy już o tym i nic się nie zmieniło. – Eigg odłożył śrubokręt i oglądał teraz wnętrze przez lupę jubilerską.

– Próbowałem na dwóch ukradzionych programach dokładnie przez miesiąc. Wyjęcie i

zamontowanie to kwestia minut. Natomiast przeprogramowanie nagrań trwa nieco poniżej dziesięciu godzin, różnica wynosiła kwadrans, więc należy uznać, że dziesięć godzin wystarczy. Aha, mam cię, robaczku...

Z tryumfem wyjął z misia niewielkie urządzenie elektroniczne wraz z kasetą, na której nagrano głos.

– To za długo: Davy przeważnie budzi się koło siódmej i miś musi być już na miejscu!

Nie może nawet podejrzewać, że misia z nim nie było.

– Jeśli nie będzie innej rady, to mu coś skłamię. Nie będę się spieszył i ryzykował, że wszystko spieprzę. Teraz bądźcie cicho!

Wsunął urządzenie do sporego mechanizmu stojącego na stole i włączył. To była jego specjalność – obaj pozostali nie mieli zielonego pojęcia ani co robi, ani jak nazywa się którekolwiek z używanych przezeń urządzeń.

– Puść mnie!... – rozległo się z głośnika – ...bzzzt... Nie, Davy, mamie by się to nie podobało... bzzzt... nóż do prawej, widelec do lewej... bzzzt... dobry chłopiec...

– Gotowe! – oznajmił wreszcie z ulgą, kończąc ścieg.

– Pobiliś własny rekord – przyznał Numen, spoglądając na monitor pokazujący w podczerwieni pokój dziecienny. Jeszcze śpi. Jesteś pewien, że...

– Jestem pewien, sam zresztą sprawdziłeś, jak cię obudziłem. Pytałeś i słuchałeś odpowiedzi: jeśli nie wiesz, co zostało zmienione, nigdy nie odkryjesz zmian, bo nawet nie będziesz podejrzewał, że one istnieją. We wszystkich pozostałych kwestiach pamięć i polecenia są takie same jak u innych niedźwiadków. Tylko jedno je różni.

– Obyśmy nigdy nie musieli wykorzystywać tej różnicy! – mruknął Numen. – Dałby Bóg!

– Nie wiedziałem, że wierzysz w te brednie – zdziwił się Eigg.

– Nie wierzę. – Numen zaczerwienił się.

– To nie pleć i weź się do roboty: trzeba odnieść misia, zanim twój syn się obudzi!

Davy był grzecznym dzieckiem i dobrym uczniem. Odrabiając lekcje, wciąż jeszcze rozmawiał z misiem, choć powoli zaczynał traktować go bardziej jak maskotkę niż jak wyrocznie.

– Ile jest siedem i pięć, misiu?

– Davy wie... – Miś zamachał łapami. – Nie powinieneś mnie pytać o to co wiesz, Davy...

– Pewnie, że wiem, ale chciałem się dowiedzieć, czy ty wiesz. Trzynaście.

– Davy, dwanaście, nie trzynaście... lepiej się ucz, Davy, miś ci to mówi...

– Okpiłem cię! – Davy się roześmiał. – Zmusiłem cię, żebyś mi powiedział prawdziwy wynik!

Uczył się obchodzić zabezpieczenia robota, co nie było zbyt trudne, gdyż misie miały słownik małych dzieci i przystosowane były do współpracy z malcami, a nie z dziatwą w wieku szkolnym. Ich zadanie bowiem musiało być wykonane, gdy dzieci podрастаły, a nie dorastały. Misie uczyły je mówić, przekazywały podstawowe informacje z historii, zasad życia, moralności, gramatyki i tego wszystkiego, co stanowi podstawy umożliwiające człowiekowi życie w społeczeństwie. Ponieważ ludzkie charaktery kształtują się znacznie wcześniej, niż dziecko trafia do szkoły, funkcja pluszowych niedźwiadków była nader ważna, ale zasób słów dość ograniczony, więc przestawały być użyteczne po kilku zaledwie latach.

Gdy Davy stał się Dawidem i skończył osiemnaście lat, miś od dawna mieszkał na najwyższej półce, niejako na emeryturze. Był jednak przyjacielem i choć już do niczego nieprzydatny, pozostał z Dawidem – przyjaciół bowiem się nie wyrzuca. Pokój dziecięcy, właściwie gabinet, przypominał teraz pobojuwisko, gdyż Dawid właśnie się pakował.

Wyjeżdżał mianowicie na studia. Gdy dopinał oporną torbę, zadzwonił telefon i na ekraniku

ukazała się twarz ojca.

– Dawid, zejdź na chwilę do biblioteki. Stało się coś raczej ważnego...

– Lecę! – oznajmił, zauważając, że ojciec ma nietęgą minę i głos też nie taki jak zwykle.

Coś rzeczywiście musiało się stać!

Oprócz ojca zastał w bibliotece doktora Eigga, siedzącego prawie na baczność, i Torrence'a, najstarszego przyjaciela ojca, którego nazywał wujkiem, choć nie byli krewnymi.

Ojciec wyglądał nieswojo, ale na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia chorego. Dawid cicho siadł w fotelu, świadom, że wszyscy go nie wiedzieć dlaczego obserwują, i spytał:

– Co się stało?

– Nic, Davy – odparł ojciec, co dowodziło, jak bardzo jest czymś wstrząśnięty, gdyż nie nazywał go tak od lat. – A raczej coś się stało, ale dawno temu, i dotyczy to całego naszego świata.

– Och, Panstentialiści – odetchnął David: to była polityka, a więc nic ważnego.

– Owszem, Davy. Myślę, że teraz wiesz już o nich wszystko... gdy rozchodziliśmy się z twoją matką, obiecałem jej, że wykształcę cię najlepiej, jak potrafię, i myślę, że mi się to udało. Wiesz jednak, że ja i moi przyjaciele jesteśmy specjalistami od sprawowania rządów i polityka jest częstym tematem w tym domu. Znasz nasze uczucia i sądzę, że je podzielasz.

– Podzielam i myślę, że uważałbym tak samo niezależnie od tego, gdzie bym się wychował. To zaborcza filozofia i, co gorsza, samonapędzająca się, im więcej władzy zyskują jej przedstawiciele, tym jest ważniejsza.

– Właśnie. A jej sercem jest jeden człowiek imieniem Barre. Zasiadł u steru władzy i ani myśli ustąpić, a przy obecnym stanie medycyny może żyć jeszcze ze sto lat.

– Barre musi odejść! – warknął Eigg. – Rządzi od dwudziestu trzech lat i od tego czasu mam zakaz prowadzenia badań. Młodzińcze, ten zakaz trwa dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie!

Dawid skinął głową, ale się nie odezwał – czytał, że Eigg prowadził badania nad behawioralną embriologią ludzką, i w duchu przyznawał, że Barre miał rację – należało przerwać te badania. Był to zresztą jedyny punkt, w którym się z nim zgadzał – poza tym uważał, że filozofia wyznawana przez Barre'a całkowicie stłamsiła politykę i inne dziedziny życia.

– Nie mówię tylko za siebie – dodał Numen z wysiłkiem – i nie chodzi o to, że od ponad dwudziestu lat nie wykonuję swojego zawodu, podobnie jak Torrence. Gdyby to był jedyny negatywny wynik jego postępowania i jego przekonań, nie kiwnąłbym palcem, by go powstrzymać.

– Zgadzam się całkowicie – dodał Torrence. – Los dwóch ludzi jest bez znaczenia w porównaniu z losem wszystkich. Podobnie jak los jednego człowieka.

– Właśnie! – Numen zerwał się i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. – Gdyby to nie była prawda, nigdy bym się w to nie zaangażował. Problem mianowicie przestałby istnieć, gdyby Barre jutro dostał, dajmy na to, zawału i padł trupem.

Wszyscy spojrzeli na Dawida, wciąż nie wiedzącego, o co chodzi. Poczuł, że wypada coś powiedzieć.

– Cóż, przyznaję, że najbardziej przydałoby się nam wszystkim trochę embolizmu.

Martwy znacznie lepiej przysłużyłby się ludzkości niż żywy.

Cisza kłopotliwie się przedłużała, aż w końcu przerwał ją beznamiętny głos Eigga:

– Wszyscy jesteśmy zgodni, że śmierć Barre'a byłaby dobrodziejstwem dla świata.

Wniosek logiczny, z którym powinieneś się zgodzić, Dawidzie, jest taki, że należałoby go... zabić...

– Niezły pomysł – przyznał chłopak, zastanawiając się, o co tu chodzi – choć naturalnie jest to fizycznie niemożliwe. Od wieków na świecie nie doszło do... zaraz, jak to się nazywa... aha,

morderstwa. Psychologia rozwojowa zadbała o to dawno temu. Zdaje się, że to był ostateczny dowód na wyższość człowieka nad niższymi gatunkami: to, że może rozprawiać czy myśleć o zabijaniu, a jednocześnie od dzieciństwa tak być uwarunkowanym, by nie móc zabijać. Jeśli wierzyć tekstem historycznym, to rasa ludzka znacznie się rozwinęła, odkąd zlikwidowano przekleństwo, jakim było wzajemne zabijanie się. Słuchajcie, czyja bym się mógł w końcu dowiedzieć, o co tu chodzi...?

– Barre może zostać zabity – oznajmił prawie uprzejmie Eigg. – Jest jeden człowiek na świecie, który może go zabić.

– Kto? – spytał Dawid, choć znał odpowiedź, zanim jeszcze usłyszał drżący głos ojca.

– Ty, Dawidzie... ty...

Gdy tak siedział osłupiały, różne fragmenty wspomnień wskoczyły nagle na swoje miejsca, nabierając nowego znaczenia. Na przykład jego reakcja, inna niż pozostałych, gdy w wypadku zginęła wiewiórka, drobiazgi, które nie dawały mu w nocy spać... Wiedział, że to prawda, choć dziwne było, że nigdy dotąd tego nie zrozumiał – prawda była o wyciągnięcie ręki, ale dopóki się po nią nie sięgnęło, pozostawała ukryta. Teraz ją poznał.

– Chcecie, bym go zabił? – spytał.

– Jesteś jedynym, który może to zrobić... a nie mamy innego wyjścia, Davy. Przez wszystkie te lata miałem złudną nadzieję, że jednak nie okaże się to konieczne i że nie będzie trzeba korzystać z twojej zdolności. Ale on żyje, a dla dobra wszystkich musi zginąć.

– Nie rozumiem tylko jednego. – Dawid wstał i wyrzwał przez okno. – Jak tego dokonaliście? To uwarunkowanie jest normalną częścią wychowania umożliwiającego życie wśród ludzi.

– Cała sprawa sprowadza się do pluszowego misia – wyjaśnił Eigg. – Nie ogłasza się tego, ale podstawą sukcesu całego uwarunkowania jest reakcja wpojona dziecku w pierwszych latach życia. Reakcja wpajana przy każdej okazji przez program wychowawczy misia. Późniejsze tłumaczenie i wartości moralne uzasadniają i wzmacniają proces, ale bez misia całość nie mogłaby się udać.

– Więc mój miś...

– Zmieniłem program i nagrania tylko w tej jednej kwestii, ale za to gruntownie.

– I to wystarczyło – w głosie Dawida pojawił się chłód, którego dotąd nigdy w nim nie było. – Jak mam go zabić?

– Za pomocą tego. – Eigg otworzył pudełko wyjęte z szuflady. – To prymitywna broń z muzealnej kolekcji, ale w pełni sprawna: sam ją naprawiłem i sprawdziłem jak działa.

Dorobiłem też pociski zwane "kulami". Jest w pełni zautomatyzowana: kiedy naciśniesz palcem tu, na spust, wewnątrz metalowy trzpień wyzwala reakcję chemiczną, w wyniku której miedziano-łowiany pocisk zwany kulą wylatuje przez ten otwór z przodu. Kula leci wzdłuż linii będącej przedłużeniem linii, która powstaje, gdy spojrzysz przez te dwa zagłębienia na górze. Kula naturalnie ulega przyciąganiu, ale przy tak małym dystansie, to znaczy metr czy dwa, ten czynnik można spokojnie zignorować. Całość nazywa się "pistolet".

I położył na stoliku czarno oksydowany, metalowy przedmiot o dziwnym kształcie – z jednej strony brzydki, z drugiej mający w sobie groźne piękno. Dawid wziął go i zaskoczony stwierdził, że idealnie pasuje do dłoni i jest doskonale wyważony. Uniósł go powoli, spojrzął przez wycięcia, o których mówił Eigg, i nacisnął spust. Huknęło, pistolet podskoczył i kula trafiła Eigg'a tuż nad sercem, przewracając go wraz z fotelem do tyłu. Eigg zakrztusił się własną krwią i znieruchomiał. Był martwy.

– Dawid! Co ty robisz? – w głosie ojca słychać było przerażenie.

Chłopak odwrócił się od trupa, nie poruszony tym, co zrobił, w najmniejszym nawet stopniu.

– Nic nie rozumiesz, tato: Barre i jego zwolennicy są groźbą i wielu ucierpi w wyniku ich

działalności. Jak sam jednak powiedziałeś, po jego śmierci sytuacja się zmieni. A co powiesz o tym, co wyście zrobili? Jak można próbować porównać postępowanie nieetycznego Barre'a i to?

Zastrzelił ojca szybko, zanim ten zrozumiał wagę jego słów i zaczął obawiać się tego, co nastąpi. Torrence był bystrzejszy lub też wystarczyło te parę sekund zwłoki – z wrzaskiem przerażenia rzucił się ku drzwiom. Nim zdołał je otworzyć, powaliła go kolejna kula, ale odległość była większa i Dawid nie trafił dokładnie. Podszedł więc do wrzeszczącego i podrygującego na podłodze ciała, wycelował starannie i dobił go strzałem w głowę.

Pistolet zaczął mu ciążyć, a on sam czuł się dziwnie zmęczony, gdy wyszedł z biblioteki.

Dawid z pistoletem w dłoni wszedł do swego pokoju, z najwyższej półki zdjął misia i położył go na stole.

– Misiu, powyrywam kwiatki z klombu – oznajmił.

– Nie, Davy... – Miś zamachał łapkami. – Brzydko jest wyrywać kwiatki... nie wyrywaj kwiatków. – To wybiję szybę!

– Nie, Davy... nieładnie jest zbijać szyby... nie tłucz szyb, Davy.

– Misiu, zamierzam kogoś zabić! Cisza i bezruch były jedyną reakcją.

Ciszę przerwał huk wystrzału – pluszowa zabawka eksplodowała fragmentami metalu, przekładni i obwodów scalonych.

– Misiu... powinieneś być mi powiedzieć! – jęknął Dawid i w końcu się rozpłakał.

Przełożył Jarosław Kotarski

# Kosmiczne Szczury z BGW

Co za przyjazne odruchy... o, ten stołek się nada. Won ze starym Phrnrx, niech odeśpi swoje na podłodze. Krddle zawsze mają słabą głowę, starczy trochę flnrx, a już lecą z nóg i zostaje po nich tylko dym tego ich piekielnego zielska, krmn. Tak, raz flnrx... oj... przykro mi z powodu tego rękawa. Gdy wyschnie, da się zdrapać nożem. Twoje zdrowie... Oby ci się dysze nigdy nie zatkały, gdy będziesz miał bandę kpnnz na ogonie.

Nie, przykro mi, nigdy o tobie nie słyszałem. Ostatnio zbyt wielu dobrych ludzi młodo odchodzi z tego padolu, właśnie! Ja? Też nie słyszałeś? Możesz mi mówić Panie Sierzancie...

Mówiłem o dobrych ludziach... ale on był najlepszy. Nazywaliśmy go Dzentelmen Jax. Miał jeszcze inne imię, ale tam, na jego planecie, czeka na niego jedna dziewczynka, która pilnie śledzi wszystkie lśniące szlaki, wypatruje, kiedy on nadleci z powrotem z głębokiej próżni.

Czeka na swego chłopca. Ze względu na nią właśnie nazwaliśmy go Jax. Jemu by się to spodobało, jej chyba też, gdyby wiedziała, ale do dzisiaj to już pewnie posiwała lub wyłysiała i może artretyzmu dostała od tego przesiadywania w oknie i wyglądanania, czy luby wraca, ale to już inna historia, i na Oriona, ja jej nie opowiem. Dobre to, no to po łyku...

Jasne, że dobry flnrx musi wydzielać zielone opary... Lepiej zamknij oczy, gdy pijesz, bo inaczej oślepniesz na tydzień, na Mrddl! Że co? Mrddl to imię świętego proroka!

Właśnie, wiem, co myślisz. Jak taki stary szczur kosmiczny mógł dać się zrobić w wyprawę na kraniec Galaktyki, gdzie gwiazdy świecą buraczkowo i fotony mają pętlę?

Powiem ci, co teraz robię: upijam się jak planizziański pfrdffl, ot co. Podobno to świństwo wymazuje wspomnienia, a o to właśnie mi chodzi. Cygnus w dupę... Popatrz tylko na te szramy na moich dłoniach. Każda to osobna historia. I jeszcze te, co mam na plecach, i te na...

Dobra, nich innym razem. Jasne, że ci opowiem, to szczerą prawdą, knę się na święte imię Mrddla, chociaż przyznaję, że zmienię to i owo. Wiesz, dla dobra tej dziewczyny...

Słyszałeś powieść o BGW? Skoro tak wytrzeszczyłeś gały, to musiałeś słyszeć.

Właśnie, Pan Sierzant, którego tu widzisz, był jednym z pierwszych Kosmicznych Szczurów z BGW, a facet znany jako Dzentelmen Jax był wtedy moim kumplem. Niech Wielki Kramddl przeklnie jego imię i zaćmi mi wspomnienia tych dawnych dni, gdy ujrzałem go po raz pierwszy...

– Absolvenci, ba-a-CZNOŚĆ!

Stentorowy głos sierżanta wcisnął się natrętnie w uszy ustawionych w idealnych szeregach kadetów. Na ów fatalny rozkaz sto trzy wypolerowane do oślepiającego połysku buty uczyły co trzeba i osiemdziesięciu siedmiu absolwentów stanęło na baczność (trzeba dodać, że niektórzy pochodzili z obcych światów i mieli różną liczbę kończyn). Ani oddech nie mącił ciszy, ani powieka nie drgnęła, gdy pułkownik von Thorax stanął przed kadetami i spojrzał na nich przez monokl osadzony przed szklanym okiem. Miał też krótko przycięte, siwe włosy, sztywne jak drut kolczasty, oraz idealnie skrojony i wyprasowany czarny mundur. W stalowych palcach sztucznej lewej ręki trzymał papierosa z krmml.

Sztuczna prawa ręka uniosła odzianą w czarną rękawicę dłoń do salut. Serwomotorki zawyły z cicha, gdy sztuczne płuca i otrzewna poruszyły się przy głębokim oddechu poprzedzającym wyryczenie komendy.

– Spoczniej! I słuchać. Jesteście wybrańcami, ludźmi i nie-ludźmi pochodzącymi z wszystkich cywilizowanych światów Galaktyki. Sześć milionów czterdziestu trzech kadetów zaczęło pierwszy rok kursu i większość z nich odpadła. Wykruszyli się na różne sposoby.

Niektórzy po prostu nie dorosli do sprawy, niektórych trzeba było usunąć i zastrzelić za grzech sodomii. Inni durnie wierzyli, że wieczna wojna jest czymś zbytecznym. Ich też trzeba było zastrzelić. Słabi ginęli lub odchodzili, aż został sam zdrowy rdzeń, czyli WY!

Gwardziści z pierwszego rocznika BGW! Gotowi nieść dobrodziejstwa cywilizacji do gwiazd. Gotowi wreszcie się dowiedzieć, co oznacza skrót BGW!

Z szeregu gardeł dobył się ryk męskiego entuzjazmu i wrócił echem odbity od ścian stadionu. Na znak von Thoraxa stadion nakryty został olbrzymią i nieprzezroczystą tarczą kryjącą murawę przed oczami i uszami szpiegów żywych i elektronicznych. Radosny wrzask umilkł natychmiast, gdy tylko pułkownik uniósł dłoń.

– Gwardziści, nie będziecie osamotnieni w waszej walce, nie sami poniesiecie płomień cywilizacji pod obce, barbarzyńskie słońca. Każdy z was będzie miał u boku wiernego kompana. Ty tam, ze skraju pierwszego szeregu, krok do przodu! Na spotkanie waszego towarzysza!

Wywołany gwardzista dzielnie huknął obcasami, zrobił trzy sprężyste kroki i znów strzelił obcasami. Niczym echo odpowiedział mu dziwny odgłos dochodzący z wrót szeroko otwartych na stadion. Wszystkie oczy zwróciły się odruchowo w kierunku bramy, z której wyłonił się...

Jak to opisać? Jak opisać trąbę powietrzną, gdy porwie i wtłoczy w swój lej, jak opisać burzę, kosmiczny sztorm unoszący przez przestwór? To coś było równie nieokreślone jak żywioł.

Stworzenie mierzyło ze trzy metry i miało szpetny łeb z zaślinioną i zębatą paszczą.

Poruszało się niczym nawałnica na czterech pneumatycznych nogach, każdej zakończonej pazurami rysującymi wyłożoną supertwardym imperwitem podłogę. Istne monstrum zrodzone w złym śnie. Zmora zawyła, aż wszystkim dreszcz przeszedł po plecach.

– Oto właśnie! – ryknął pułkownik von Thorax, też zaplując się czerwoną śliną. – Oto wasz wierny towarzysz, muta-wielbłąd, zmutowany potomek szlachetnych stworzeń żyjących na Starej Dobrej Ziemi, symbol i duma BGW, czyli Bojowej Grupy Wielbłądziej!

Gwardzisto, poznaj swojego wielbłąda!

Wybrany gwardzista podszedł bliżej i uniósł rękę, by powitać dumne zwierzę. Dumne zwierzę po prostu odgryzło mu dłoń. Okaleczony zaczął pojękiwać, przez szeregi przeszedł szmer zdumienia. Treserzy wielbłądów zagonili pałkami zwierzę z powrotem do bramy, tymczasem służba medyczna nałożyła gwardziście opatrunek na kikut i odciągnęła jego ciało na bok.

– To była pierwsza lekcja, jak postępować z bojowymi wielbłądami! – krzyknął pułkownik. – Nigdy nie podnoście na nie ręki. Pewien jestem, że wasz kolega nigdy nie powtórzy swego błędu. Sztuczna ręka nie pozwoli mu o tym zapomnieć, cha, cha! Następny występ! Przyprowadzić wielbłąda!

Wielbłąd przygalopował, huknął kopytami i zarżał jak podczas szarży. Tym razem gwardzista trzymał łapy przy sobie i wielbłąd odgryzł mu głowę.

– Obawiam się, że nie fasuje się gwardzistom sztucznych głów – zażartował pułkownik. – Uczcijmy minutą ciszy naszego towarzysza, który odszedł do wielkiego rajskiego kosmodromu. Starczy. Ba-a-CZNOŚĆ! Przejdziecie teraz do parku wielbłądów, gdzie zapoznacie się wszyscy ze swoimi wiernymi towarzyszami. Nie zapominajcie tylko, że każdy z nich został wyposażony w sztuczne zęby z imperwiumitu i także, ostre jak brzytwy, pazury. Roze-ejść SIĘ!

Baraki oddane kadetom na kwatery przypominały zakład karny o obostrzonym rygorze. Łóżkami były sztaby imperwitium; nie stosowano tu żadnych miękkich materacy, uznając słusznie, że takie pozorne wygody przyczyniają się tylko do zwyrodnień kręgosłupa.

Kocy też nie było, zresztą temperaturę utrzymywano niezmiennie na miłym dla wszystkich poziomie czterech stopni w skali Celsjusza. Tak zatem, wróciwszy do baraków, gwardziści wpadli

niemal w popłoch, widząc, jak umajono im kwatery. Każda z nagich żarówek nad pryzkami otrzymała gustowny abażur, a na samych pryzkach leżały grube na dwa centymetry poduszki. Proszę, dopiero rok pracy, potu i starań, a już takie efekty!

Największym mirem pośród kadetów cieszył się niejaki M. Pewnych rzeczy nie trzeba ujawniać, szczególnie jeśli można wówczas nieostrożnym słowem dotknąć ukochanych takiej osoby lub nazbyt ucieszyć jej sąsiadów. Okryjmy zatem pana M. płaszczem anonimowości.

Powiedzmy tylko, że nosił wówczas ksywę "Stalowy". "Stalowy" albo Stalowy, jak będziemy go dalej nazywać, miał wówczas bliskiego kumpla zwanego L. Później, o wiele później, L. otrzymał miano "Dżentelmen Jax", ja zaś w dalszej opowieści skrócę jego przydomek do „Jax”. W nauce i sporcie Jax ustępował pola tylko Stalowemu, byli przy tym najlepszymi przyjaciółmi. Od roku mieszkali w jednym pokoju. Właśnie tam wrócili i ułożywszy wysoko nogi, rozkoszowali się niespodziewanymi wygodami. Popijali przy tym kawę bez kofeiny i palili wytwarzane specjalnie dla szkoły papierosy bez nikotyny. Nazywały się te papierosy Denikcig, jednak kursanci mówili na nie "gwoździe" lub "zerwipłucka".

– Rzuć mi gwoźdź, Jax – powiedział Stalowy, leżąc na pryzce z dłońmi podłożonymi pod głowę i marząc o wspanialej przyszłości w towarzystwie wiernego wielbłąda. – Och! – jęknął, gdy paczka wyrobów tytoniopodobnych trafiła go w oko. Wyciągnął jedną z gładkich białych laseczek, postukał nią w ścianę, by zapalić, i głęboko się zaciągnął odświeżającym dymem. – Nie do wiary... – westchnął i puścił kółko.

– A jednak, na Mrddl – Jax się uśmiechnął – to już za nami. Zostaliśmy absolwentami.

Może byś tak odrzucił mi moją paczkę zerwipłucków, żebym też mógł się sztachnąć?

Stalowy posłuchał, ale entuzjazm wciąż go rozpierał, cisnął więc paczką z takim impetem, że gruchnąwszy o ścianę, stanęła zaraz w płomieniach. Szklanka wody zażegnała groźbę pożaru, jednak zaraz zapłonęło czerwone światełko pod ekranem pokojowego kompa.

– Wiadomość priorytetowa – zauważył Stalowy, uderzając pięścią w przycisk.

Obaj młodzieńcy aż sapnęli z przejęcia, gdy na ekranie wykwitło surowe oblicze pułkownika von Thoraxa.

– M. i L., biegiem do mojego gabinetu – padły ciężkie słowa z warg pułkownika.

– O co mu chodzi? – zastanawiał się Jax, gdy spadali już obaj szybem grawitacyjnym.

– Zaraz się dowiemy! – krzyknął Stalowy, gdy podeszli do drzwi starego, i wcisnął płytkę dzwonnka.

Drzwi odsunęły się cicho i obaj kursanci weszli bez wahania. Ale co to? Pułkownik spoglądał na nich z uśmiechem... Z uśmiechem! Nigdy jeszcze nie widzieli uśmiechu na jego żelaznym obliczu.

– Spocznijcie, panowie – powiedział, wskazując na dwa wygodne fotele. – W poręczach foteli znajdziecie zarówno ćmiki, jak i walumiańskie wino i szamańskie piwo.

– A kawa? – spytał oszołomiony Jax i wszyscy się roześmiali.

– Wątpię, byście naprawdę mieli ochotę na kawę – brzęknął pułkownik sztuczną krtanią. – Należcie sobie, jesteście już Kosmicznymi Szczurami z BGW i czas dzieciństwa jest za wami. I patrzcie uważnie.

W powietrzu przed nimi pojawił się trójwymiarowy obraz osobliwego statku kosmicznego. Nigdy jeszcze takiego nie widzieli. Smukły jak miecznik, uskrzydłony jak ptak, masywny jak waleń i uzbrojony po zęby niczym aligator.

– Święty Trepie – jęknął nieprzytomnie Stalowy i rozdziawił usta. – To się nazywa rakietą!

– Zwykle mówimy na nią Niezawodna – mruknął nie bez humoru pułkownik.

– To ona? Coś słyszeliśmy...



– Niewiele mogliście słyszeć, od początku trzymamy ją bowiem pod kluczem. Ma największe silniki, jakie kiedykolwiek zamontowano na statku kosmicznym, uwspółcześiony wzór MacPhersona\*,[\* Silniki MacPhersona pojawiają się po raz pierwszy w opowiadaniu tegoż autora (czyli MacPhersona), Rocket Rangers of the IRT (Spicy-Weird Stories 1923).] udoskonalony napęd Kelly’ego\*[\* Wierni czytelnicy wykryli napęd Kelly’ego po raz pierwszy w głośnej książce Hell Hound of the Coal Sack Cluster (Slimecreeper Press Ltd. 1931), wydanej też po niemiecku jako Teufelhund Nach der Knockwurst Express. Przekład włoski Re Umberto, data wydania nieznana.] (nigdy byście go nie poznali, tak bardzo został unowocześniony), no i jeszcze ekrany Fitzroya\*[\* Media zostały zrewolucjonizowane, gdy w Female Space Zombies of Venus pojawił się po raz pierwszy ekran Fitzroya (True Story Confessions, 1936).] o zdwojonej mocy. Te stare wyglądają przy nich jak dziecinne zabawki.

Najlepsze zaś zachowałem na koniec...

– Najlepsze już usłyszeliśmy...

– Tak wam się wydaje. – Pułkownik roześmiał się, nawet uprzejmie. Jego śmiech przypominał odgłos rozdierania stalowych płyt. – Najlepszą wiadomością jest to, że ty, Stalowy, zostaniesz teraz kapitanem tego kosmicznego super-drednota, a Jax będzie miał szczęście objąć stanowisko pierwszego inżyniera.

– Jax byłby znacznie szczęśliwszy jako kapitan, a nie smoluch z maszynowni – mruknął Jax i wszyscy znów się roześmiali. Znaczący wszyscy prócz Jaxa, bo ten wcale nie żartował.

– Statek jest całkowicie zautomatyzowany – ciągnął pułkownik – i starczy dwóch, by nim sterować. Muszę was jednak ostrzec, że ma na pokładzie tyle eksperymentalnego wyposażenia, że powierzmy go tylko ochotnikom...

– Zgłaszam się na ochotnika! – krzyknął Stalowy.

– Muszę iść do toalety – powiedział Jax i uniósł się z fotela. Ujrzawszy jednak w dłoni pułkownika nader brzydki blaster, przysiadł ponownie. – Żartowałem, oczywiście. Zgłaszam się na ochotnika.

– Wiedziałem, że mogę na was liczyć, chłopaki. BGW wychowuje prawdziwych mężczyzn. No i wielbłądy, rzecz jasna. Oto wasze zadanie. Jutro o trzeciej zero cztery wyruszacie na pokładzie Niezawodnej przez kosmiczny eter w kierunku Cygnusa. Dokładnie, na pewną planetę...

– Spróbuję odgadnąć – wycedził Stalowy przez zaciśnięte zęby. – Ale chyba nie kieruje nas pan na ten pełen larszników świat Biru-2?

– Owszem. To główna baza larszników, ich centrum operacyjne, narkotykowe i hazardowe. Handlują tam niewolnikami, drukują fałszywe zielki i destylują flnnx. Prawdziwe legowisko kosmicznych piratów.

– I pan chce, byśmy tam polecieeli? – Stalowy skrzywił się na obliczu.

– To nie będą przelewki – zgodził się pułkownik. – Ale gdybym sam był nieco młodszy i miał trochę mniej sztucznych organów, to nie wahałbym się ani chwili...

– Może pan zostać pierwszym inżynierem – syknął Jax.

– Stul pysk – poprosił pułkownik. – Powodzenia, panowie. Reprezentujcie godnie honor BGW.

– A wielbłądy? – spytał Stalowy.

– Może następnym razem. Mamy nieco kłopotów z przystosowaniem. Od chwili, gdy tu przyszlście, straciliśmy jeszcze czterech absolwentów. Może zresztą zmienimy zwierzęta i przerobimy szkołę na BGO...

– Bojowa Grupa Owsików? – spytał Jax.

– Raczej osłów. Lub okoni, chociaż... Ale to już mój problem. Waszym zadaniem jest dostać się

na Biru-2 i otworzyć ten świat. Wiem, że możecie to zrobić.

Jeśli nawet twardzi gwardziści mieli jeszcze jakieś wątpliwości, to zachowali je dla siebie, byli bowiem twardymi gwardzistami. Zrobili co trzeba i następnego ranka, o trzeciej zero cztery, zero zero sekund, potężny kadłub Niezawodnej runął w przestrzeń. Silniki MacPhersona ryknęły rozgłośnie, przekazując kwantyiony ergów energii napędowi, i w końcu pole grawitacyjne matki Ziemi zostało za nimi. Jax pracowicie ustawiał parametry, aż Stalowy dał znak z mostku, że pora przejść na pożerający przestrzeń napęd Keliyego. Stalowy przycisnął właściwy guzik i statek wystrzelił z siedmiokrotną szybkością światła\*[\* Kiedy spytano Patsa Kelly'ego, wynalazcę, jakim to cudem jego statki mogą poruszać się z siedmiokrotną szybkością światła, skoro szybkość przemieszczania się materii ograniczona jest znanym wzorem, wzruszył ramionami i stwierdził: "Najpewniej Einstein się mylił" .].

Ponieważ wszystko działało automatycznie, Jax odświeżył się potem w odświeżaczu, rzeczy uprał w pralce i rześki i pachnący podążył na mostek.

– Hmm – powiedział Stalowy, unosząc brwi. – Nie miałem pojęcia, że nosisz gatki w groszki.

– To jedyna czysta część mojej garderoby – odparł Jax. – Pralka automatycznie połknęła resztę.

– Nie martw się. Niech larsznikowie z Biru-2 się martwią! Dokładnie za siedemnaście minut wejdziemy w atmosferę i właśnie zastanawiałem się, co zrobić potem.

– Taką właśnie miałem nadzieję! Ja nie miałem czasu się zastanawiać. Ledwie zdążyłem odsapnąć.

– Spokojnie, stary. Jedziemy na jednym wózku. Mamy dwie możliwości. Możemy otworzyć ogień ze wszystkich luf lub przemknąć cichcem.

– Widzę, że naprawdę długo nad tym myślałeś.

– Zignoruję ten przytyk, bo wiem, że jesteś zmęczony. Chociaż mamy sporą siłę ognia, to jednak naziemne baterie są pewnie i tak potężniejsze. Proponuję więc działać niezauważenie.

– Czy to nie będzie trudne, jeśli wziąć pod uwagę, że ten statek ma masę trzydziestu milionów ton?

– Byłoby, ale widzisz ten tutaj guzik, podpisany "niewidzialność"? Gdy ty tankowałeś statek, ja słuchałem wyjaśnień fachowców. To najnowszy wynalazek, nigdy jeszcze nie wykorzystany w boju. Będziemy niewidzialni i niewykrywalni dla wszelkich czujników.

– To już lepiej. Jeszcze kwadrans, pewnie jesteśmy już bardzo blisko. Włącz promienie niewidzialności.

– Jeszcze nie!

– Już zrobione. Teraz wszystko na twojej głowie.

– Niezupełnie. Eksperymentalna instalacja niewidzialności przewidziana jest tylko na trzynaście minut aktywności. Potem obwody się przepalą.

Niestety, okazało się to prawdą. Ledwo sto mil nad pustynią, wypaloną powierzchnią Biru-2 Niezawodna ukazała się nagle w całej okazałości.

Minęło kilka milisekund, a już kosmiczne sonary i kosmiczne radary namierzyły nadlatujący statek. W górę pobiegły szyfrowane sygnały i anteny zaczęły nasłuchiwać odpowiedzi mającej ujawnić, czy przybysz jest wrogiem, czy swoim.

– Wyślę im fałszywy sygnał. Larsznikowie nie słyną z bystrości umysłu – roześmiał się Stalowy. Postukał w mikrofon, wyszukał międzygwiazdną częstotliwość alarmową, i zmieniając głos, wychrypiał: – Agent X-9 do bazy. Miałem starcie z patrolem, trafili mnie w książki kodów. Ale wracam z ładunkiem ośmiuset tysięcy ton piekielnego zielska krmml.

Odpowiedź larszników była czysto spontaniczna. Tysiące laserów i dział kosmicznych

otworzyły ogień z takim natężeniem, że sama materia przestrzeni kosmicznej zaczęła się odkształcać. Cała ta promienista nawała runęła na ekrany Niezawodnej, której nie był, niestety, pisany długi żywot. Pociski przeszły kadłub z superwytrzymałego metalu. Materia parowała, rozpadając się na elektrony i protony (no i neutrony, rzecz jasna).

Zwykła cielesna powłoka człowieka była niczym wobec podobnej katastrofy. Jednak Stalowy i Jax dobrze wykorzystali tych parę sekund, kiedy to salwy przedzierały się przez ekrany statku, i błyskawicznie nałożyli swe zbroje kosmiczne. W ostatniej chwili! Wrak potężnej niegdyś jednostki runął w atmosferę planety i po chwili roztrzaskał się na zatrutej powierzchni Biru-2.

Dla postronnych obserwatorów mógłby to być koniec misji. Królowa kosmicznych szlaków nigdy już nie miała się wznieść w przestwór. Zostało po niej ledwie z dwieście funtów osmolonego złomu. Nigdzie nie było widać ani śladu życia, gdy nagle przez sekretny włącz pobliskiej bazy wypełzły dwa pełzacze i ruszyły przez dymiące rumowisko, nastawiając wszystkie czujniki na maksymalny zasięg.

– Meldować! – pisnęło radio.

– Brak śladu życia do piętnastego miejsca po przecinku – warknął, zakławszy pod nosem, operator pełzacza i nakazał wszystkim powrót do bazy.

Pojazdy zniknęły z łoskotem, zostawiając stygnące z wolna szczątki swojemu losowi.

Trujący deszcz padał na wrak jak wielkie łzy.

Czyżby nasi dwaj przyjaciele jednak zginęli? Już myślałem, że nigdy o nich nie spytacie. Technicy larszników nie mieli pojęcia, że na milisekundę przed upadkiem statku mocarne sprężyny wystrzeliły z pokładu dwie pancerne kapsuły, które poleciały aż za horyzont i runęły na skalną ścianę. Dziwnym trafem w tej właśnie skale znajdowały się tajne wrota, przez które pełzacze wracały po bezowocnym przeszukaniu powierzchni.

Przeklinający operator, oszołomiony dodatkowo krmml nigdy nie miał zauważyć nagłego ożywienia wszystkich detektorów w chwili, gdy pełzacze wjechały już do tunelu i wrota z hukiem się za nimi zatrzęsęły.

– Udało się! Jesteśmy wewnątrz ich linii obrony! – ucieszył się Stalowy. – A wszystko dzięki temu, że przycisnąłeś guzik niewidzialności.

– Też coś, a skąd niby miałem wiedzieć, że to tak się skończy? – mruknął Jax. – Straciliśmy statek, ale wykorzystaliśmy element zaskoczenia. Nie wiedzą, że tu jesteśmy, ale my wiemy, że oni tu są!

– Trafna uwaga... Sza! – syknął. – Pochyl się, dochodzimy do czegoś.

Pełzacze wjechały z grzechotem do obszernej hali wyciosanej w żywej skale i pełnej wszelkich możliwych machin wojennych. Jedyнным człowiekiem (o ile to był człowiek) był tu larsznicki operator. Ledwie spostrzegł intruzów, zaraz sięgnął do kontrolki broni, ale i tak był bez szans. Ogień dwóch precyzyjnie wycelowanych blasterów zmienił go w parę, zostawiając ledwo kilka deka osmalonego ciała na siedzisku. Miecz sprawiedliwości dosięgnął wreszcie larsznicką bestię w jej legowisku.

I było to sprawiedliwe, sprawiedliwe bowiem było tu wszelkie mordowanie i zarzynanie, gdyż nie uświadczylbyś ani jednego sprawiedliwego w tej jaskini rozpusty.

Zemsta cywilizacji sunęła przez korytarze niesławy, gubiąc wszystkich, którzy stanęli na drodze naszej męznej dwójki.

– To chyba jakaś szych – mruknął Stalowy, wskazując na wykładane złotem drzwi, pod którymi bojówka zabójców popełniała właśnie samobójstwo w morderczym ogniu.

Opór był coraz słabszy, aż w końcu padł i ten ostatni bastion, a nasi gwardziści wkroczyli

triumfalnie do centralnej rozdzielni, obsługiwanej już tylko przez jedną postać siedzącą przy głównej konsoli. Oto był sam superzbrodzień, tajemniczy numer pierwszy, głowa międzygwiazdowego świata przestępczego.

– Koniec z tobą. – Stalowy skrzywił się i wycelował blaster w odzianą na czarno postać w nieprzezroczystym hełmie kosmicznym. – Zdejmij hełm albo umrzesz w tej chwili.

Z wnętrza kasku dobiegł najpierw wściekły bulgot, a drżąca czarna rękawica długo wisiała nad kontrolkami broni. Potem te same dłonie uniosły się powoli, by zwolnić zatrzaski, obrócić hełm i...

– Na święte imię proroka Mrddl! – jęknęli unisono obaj gwardziści i stracili na chwilę zdolność mowy.

– Tak, teraz już wiecie – warknął arcyzbrodzień przez zęby. – Ale, cha, cha, założę się, że ani przez chwilę mnie nie podejrzewaliście!

– To ty! – krzyknął Stalowy, przerywając ciężką ciszę. – Ty! TY!

– A tak, to ja, pułkownik von Thorax, komendant BGW. Nawet mnie nie podejrzewaliście, a ja tylko się z was śmiałem.

– Ale... – zawahał się Jax. – Czemu?

– Czemu? To oczywiste dla każdego prócz takich demokratycznie chowanych świń jak wy. Jedynym, czego boją się larsznikowie Galaktyki, jest BGW, potężna instytucja zwalczająca korupcję i przestępczość, instytucja szlachetna i prawomyślna. Moglibyście sprawić mi kłopoty, więc nie czekając, aż uczyni to kto inny, sam założyłem szkołę BGW i od dawna działam już na dwa fronty. Nasi werbownicy zbierają na wszystkich planetach najlepszych ludzi i BGW zwraca ich potem złamanych psychicznie lub schorowanych, zepsutych i podłych, tak że nie stanowią już dla nas żadnego niebezpieczeństwa. Oczywiście zawsze może się zdarzyć, że kilku ocaleje mimo moich starań. W każdym pokoleniu trafiają się nieprzeciętni masochiści, ale tymi zajmuję się na inny sposób.

– Na przykład wysyłając ich na samobójcze misje? – spytał ironicznie Stalowy.

– To całkiem dobry sposób.

– Ale tym razem nie zadziałał! Zmów ostatnią modlitwę i błagaj o zbawienie swej brudnej duszyczki, staniesz bowiem przed obliczem Stwórcy!

– Stwórcy! Modlitwę! Odbiło wam? Wszyscy jesteście tu zaprzysięgłymi ateistami...

I nagle nadszedł koniec. Wraz z tymi bluźnierczymi słowami na wargach, zbrodzień zniknął w cuchnącym dymie. Dostał to, na co zasłużył.

– I co teraz? – spytał Stalowy.

– A to! – odparł Jax, naciskając spust łapacza i spowijając Stalowego w nierozrywalną sieć promieni paralizujących. – Nie będę już drugim. Dość tego, żebym ja gnił w maszynowni, a ty spacerował sobie po mostku. Od tej chwili ja dyktuję reguły gry.

– Oszalałeś? – zdołał wykrztusić Stalowy.

– Po raz pierwszy w życiu. Superzbrodzień nie żyje, niech żyje superzbrodzień. Cała Galaktyka należy do mnie.

– A co ze mną?

– W zasadzie powinienem cię zabić, ale to byłoby zbyt łatwe rozwiązanie. Nigdy nie chciałeś się ze mną dzielić czekoladowymi batonikami. Teraz na ciebie spadnie wina za cały ten bałagan, za śmierć pułkownika von Thoraxa i za zniszczenie głównej bazy larszników.

Wszyscy będą od dzisiaj przeciwko tobie, zostaniesz wyrzutkiem ściganym do końca życia, kryjącym się strachliwie na najdalszych peryferiach Galaktyki.

– Ale że zapamiętałeś sobie te czekoladki?

– A owszem. To było najgorsze. Nigdy w życiu nie dostałem batonika i jadłem tylko kradzione.  
A teraz idź stąd!

– Chcesz znać moje imię? Starczy Pan Sierżant. Moja opowieść? To nie dla wrażliwych uszu, chłopie. Nalej lepiej i wypij ze mną. Tyle przynajmniej możesz zrobić dla weterana, który wiele już widział w swoim długim życiu. Pech to pech, do diabła, niech Wielki Krmdl przeklnie tego typa, znanego jako Dzentelmen Jax. Co, głodny? Ja nie... Nie!

NIE! Tylko nie czekoladkę!!!

Przełożył Radosław Kot

# Z powrotem na Ziemię

– Gino... pomóż mi! Na litość boską, zrób coś!... Gino...! – głos nie był donośny, ale i tak przeraźliwy w swej wymowie pomimo zakłóceń w słuchawkach.

Gino Lombardi leżał na brzuchu, na wpół zakopany w księżycowym pyłe i rozciągnięty, jak tylko się dało, i próbował uchwycić dłoń towarzysza tkwiącego w skalnej rozpadlinie. Przez skafander czuł, jak krawędź zbocza kruszy się i osypuje bezgłośnie. Cienka pokrywa pyłu na kasku Glazera, znajdującego się trzy metry poniżej, nie pozostawiała w tej sprawie cienia wątpliwości.

– Wydostań mnie stąd, Gino! – Wyciągniętą dłoń tamtego i tak sporo dzieliło od jego dłoni.

– To na nic! – jęknął Gino, desperacko próbując dosięgnąć. – Brakuje przynajmniej stopy, żebym cię dosięgnął!, a nie mam tu nic, żeby ci rzucić. Czekać, zaraz wrócę z liną, jest w łażniku.

– Nie zostawiaj... – Głos ucichł, gdy Gino wstał: radia kombinezonów były zbyt słabe, by działać inaczej niż wzdłuż linii widoczności; skalny załom był dla nich przeszkodą nie do przebycia.

Gino pognał długimi susami, szybując w stronę czerwonego pojazdu stojącego na czterech wspornikach w pobliżu. Cicho kłął przy tym pod nosem. Trzeba było faktycznie mieć pecha – pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu, przygotowane i przetrenowane do najdrobniejszych szczegółów. Doskonały start, idealny lot i wzorcowe wręcz lądowanie, no i ledwie tylko odeszli kawałek od pojazdu, Glazer musiał wleźć na zwietrzały fragment skały, pod którym ziała szczelina, a wszystko idealnie pokryte wszechobecnym pyłem. Przeżyć podróż w pustce, żeby tu wpaść do dziury – to po prostu było nieuczciwe!

Dotarł do pojazdu, skoczył i podciągnął się, łapiąc za próg otwartych drzwi do kabiny.

Biegając, zaplanował ruchy, toteż wyjęcie magnetometru z uchwytu i odłączenie długiego przewodu zajęło mu sekundy. Na Ziemi skok z powrotem skończyłby się złamaniem nogi, na Księżycu tylko długo trwał. Wylądował na zgiętych nogach, po kolana w pyłe, i po własnych śladach pognał z powrotem. Pomimo że oddychał czystym tlenem, nieco się zmęczył, nim dobiegł do szczeliny.

– No, Glazer, łap przewód... – oznajmił, rzucając drugi koniec w czarny otwór.

Odpowiedziała mu cisza.

Szczelina była pusta – skała musiała się pokruszyć i Glazer stracił oparcie, a dna szczeliny nawet w dość silnym świetle reflektora, w który wyposażono skafander, nie było widać...

Major Gino Lombardi leżał, nawołując i świecąc w skalną rozpadlinę, ponad pół godziny. Jedyłą odpowiedzią były trzaski słonecznych zakłóceń. W końcu poczuł chłód, który przesączał się od zmarzniętych skał przez izolację skafandra, i wstał. Glazer był martwy i nic nie mógł na to poradzić. Nie był nawet w stanie odszukać jego ciała.

Następnie mechanicznie wykonał wszystko, co mieli zrobić obaj – pobrał próbki skał i kurzu, ustawił instrumenty, odpalił próbny ładunek w wywierconym otworze, zebrał wszystkie wyniki i wrócił do pojazdu. Wszystko to zrobił dokładnie tak jak na ćwiczeniach, zupełnie niczym się nie interesując. Gdy wybiła godzina łączności ze statkiem Apollo krążącym po okołoksiężycowej orbicie, włączył nadajnik. Była to pierwsza czynność, przy której się ożywił.

– Dan, zgłoś się... pułkownik Danton Coye, zgłoś się, jeśli mnie słyszysz...

– Jasno i wyraźnie – odezwał się głośnik. – Jak to jest pałętać się po Księżycu, chłopaki?

– Glazer nie żyje. Zrobiłem wszystkie badania i zdjęcia. Proszę o zezwolenie na skrócenie pobytu i jak najszybszy start.

W głośniku długą chwilę słychać było jedynie szum, po czym odezwał się już poważny głos:

– Gino, czekaj na sygnał komputera; spotkamy się, gdy będę robił następne okrążenie.

Start przebiegł równie gładko jak na ćwiczeniach, a Gino miał tyle roboty, że zupełnie nie miał czasu na rozmyślanie. Na sygnał komputera odpaliły silniki, odstrzeliwując górną połówkę ładownika ku ustalonemu miejscu spotkania ze statkiem Apollo. Gdy ten pojawił się w polu widzenia, Gino zrozumiał, że komputer nie wziął poprawki na zmniejszoną masę ładownika, czym prędzej więc chwycił za stery – w innym razie oba pojazdy by się minęły, i to w sporej odległości, gdyż ładownik leciał szybciej, niż powinien. Takie sytuacje także ćwiczyli wielokrotnie, toteż korekta kursu poszła mu bez większego trudu i po kilku minutach przycumował do śluzy.

Przeczolgał się do części załogowej, zamknął właz i odczekał, aż siedzący przy konsolcie Dan dał mu znak, że ciśnienie wróciło do normy. Dopiero wtedy zdjął hełm, a Coye odwrócił się i spytał:

– Co się tam właściwie stało, Gino?

– Głupi wypadek: szczelina lekko przykryta skałą i przysypana pyłem. Glazer po prostu w nią wpadł; próbowałem go wyciągnąć, ale był za głęboko, a ja nie miałem liny.

Pobiegłem po nią do ładownika, a gdy wróciłem, jego już nie było... musiał się osunąć głębiej, a ja nie mogłem nic zrobić... – Gino ukrył twarz w dłoniach, wstrząsany, sam nie wiedział, rozpaczą czy zmęczeniem.

– Coś ci powiem – odezwał się niespodziewanie Dan, sięgając do kieszeni kombinezonu. – Wbrew temu, co wszyscy myślą, wcale nie jestem przesądny. Zaraz ci udowodnię, że mówię prawdę. Wszyscy sądzą, że noszę ze sobą tę laleczkę, bo piloci zawsze mają jakieś maskotki na szczęście. Zaraz będziesz miał okazję się przekonać, dlaczego ta plastikowa laleczka jest zawsze ze mną. Powtarzam: plastikowa, nie gumowa.

Gino, ku swemu zaskoczeniu, uniósł głowę z zainteresowaniem. Dan trzymał w dłoni swą odwieczną maskotkę – lalkę przedstawiającą murzyńską tancerkę z obfitym biustem – i spokojnie odkręcał jej głowę.

– Poczęstuj się uczciwie przedestyłowanym, stuprocentowym bourbonem – zaproponował, podając Ginowi odgłowioną maskotkę. – Tylko nie wychyl wszystkiego.

– Dzięki. – Gino upił dwa solidne łyki i oddał piersiówkę.

– Za dobrego pilota i niezłego faceta, jakim był Eddie Glazer. – Coye spoważniał, wyciskając laleczkę do sucha. – Chciał się dostać na Księżyc, więc zostanie jego właścicielem prawem zasiedzenia... – Coye starannie nakręcił główkę i schował maskotkę do kieszeni. – Teraz czas wziąć się do roboty. Skontaktujemy się z Centrum, przedstawimy sytuację i spróbujemy zmienić orbitę. Nie ma co się tu kręcić, wracamy na Ziemię.

Musieli jednak z tym poczekać, gdyż Księżyc całkowicie zasłaniał Ziemię, uniemożliwiając łączność radiową. Można było co prawda użyć satelitów retransmisyjnych, ale nie było to aż tak pilne, by nie mogło poczekać pół okrążenia wokół Księżyca.

Gdy błękitno-zielony dysk z dobrze widoczną Ameryką Północną wyłonił się zza poszarpanych księżycowych szczytów, Gino wysłał sygnał wywoławczy na przylądek Canaveral. Odpowiedź powinna nadejść po jakichś trzech sekundach (czterysta osiemdziesiąt tysięcy mil to niezły kawał drogi), lecz sekundy ciągnęły się i ciągnęły, a w eterze wciąż panowała cisza.

– Nie odpowiadają...

– Znowu te interferencje albo plamy na Słońcu, szlag by to trafił! Próbuj dalej...

Centrum nie odpowiadało jednak ani na następną wiadomość, ani na pięć kolejnych, ani też na żadnej z częstotliwości alarmowych. Słysząc za to było, i to doskonale, pogawędki między pilotami myśliwskimi, z których naturalnie żaden nie zwrócił na nich najmniejszej nawet uwagi.

Po godzinie Gino i Dan musieli się pogodzić z niesamowitą prawdą: stracili kontakt radiowy z Ziemią z całkowicie niewyobrażalnych powodów.

– Cokolwiek się stało, musiało się wydarzyć podczas ostatniego okrążenia Księżyca – mruknął Dan, spoglądając wrogo na radiostację. – Gdy korygowałeś orbitę, rozmawiałem z nimi i nie było żadnych problemów ze sprzętem...

– Skoro tak, to coś musiało się wydarzyć na Ziemi...

– Co? Wojna...?

– Może i wojna, tylko z kim i o co? Częstotliwości awaryjne są głuche jak pień i nie sędzę...

– Patrz! – przerwał mu Dan. – Światła... gdzie się podziały światła?!

Cała Ameryka Północna była ciemna, choć przez teleskop powinno być wyraźnie widać światła nie tylko największych aglomeracji.

– Ale w Ameryce Południowej światła się świecą, Gino... Co się tam wydarzyło, do diabła?!

– Jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć: wracamy. I zdrowiej będzie założyć, że na pomoc z Ziemi nie mamy co liczyć!

Odłączyli ładownik księżycowy, wprowadzili nowe dane do komputera i sprowadzili Apollo na właściwą do odpalenia orbitę. Resztę zrobił za nich komputer, tak w drodze na Ziemię, jak i przy manewrach poprzedzających lądowanie. Ogólnie wyszło nie najgorzej – trafili nad właściwy kontynent, a błąd w koordynatach był marginalny. No i w atmosferę weszli nieco wcześniej, niż planowali, ale jak na całkowicie samodzielne manewry (gdyż Cape Canaveral nie odezwało się ani razu) było to prawdziwe osiągnięcie.

Gęstość powietrza zwolniła opadanie, nie powodując rozgrzania powłoki ponad dopuszczalną granicę.

– Późne popołudnie – stwierdził Gino, przyglądając się powierzchni przez postrzępione chmury.

– Wylądujemy prawie po ciemku.

– Mogło się skończyć na lądowaniu w Pekinie o trzeciej w nocy, więc nie narzekaj.

No, czas na spadochrony... Uwaga... Teraz!

Kapsuła podskoczyła, gdy otworzyły się olbrzymie czasze, a obaj kosmonauci z ulgą zdjęli hełmy – wreszcie nie groził im brak tlenu, nawet w wypadku jakiejś awarii.

– Ciekawe, jak nas powitają w domu... – zastanawiał się Dan, pocierając zarośniętą szczękę.

– Jak wylądujemy w Teksasie, to orczykiem albo kaczym śrutem... – mruknął Gino. – Wiesz, jacy są gościnni wobec nieproszonych...

Przerwał mu łoskot i jęk rozdieranego metalu – w ścianie kapsuły pojawił się równy rząd przestrzelin, przez które ze świstem wdarło się powietrze, wyrównując ciśnienie.

– Co się, do licha...

– Patrz! – przerwał mu Gino, wskazując na iluminator.

Na zewnątrz przez chwilę widać było jajowaty kształt ze skrzydłami w układzie delty, czarny na tle popołudniowego słońca. Odrzutowiec położył się w ciasny skręt, ukazując srebrzystą powierzchnię w całej okazałości, i runął do kolejnego ataku. Ciemny kształt rósł w oczach, migając rozbłyskami broni pokładowej z nasady skrzydeł i dziobu. W następnej sekundzie wszystko przesłoniła szarość, gdy wpadli w chmury.

W kapsule przez długą chwilę panowała cisza, której nie miał ochoty przerwać żaden z nich.

– Nigdy nie widziałem takiego myśliwca... – mruknął w końcu Gino.

– Ja też nie... ale coś w nim było znajomego... Słuchaj, widziałeś znaki na skrzydłach?

– Jeśli chodzi ci o to, czy widziałem swastyki i czarne krzyże, to owszem, ale gdyby nie nasza klimatyzacja, za nic bym się do tego nie przyznał! Masz może pojęcie, o co tu chodzi?

– Żadnego. Tylko zdaje mi się, że wkrótce się dowiemy. – Dan uśmiechnął się bez cienia wesołości. – Zostało nam ze dwa tysiące stóp do ziemi...



Zaciągnęli pasy bezpieczeństwa i zaparli się – było to wszystko, co mogli zrobić.

Kapsuła grzotnęła o ziemię, podskoczyła i przekrzywiła się z jękiem protestującego metalu.

– Odstrzel spadochrony, bo nas pociągną! – polecił Coye. Gino nacisnął przycisk, zanim Dan skończył mówić, i przechył ustąpił. Z lekkim łupnięciem kapsuła znieruchomiła niemal w idealnym pionie. Dan rozpiął pasy i odpalił niewielkie ładunki przy włączym wejściowym, zamkniętym jeszcze przed startem. Właz odskoczył z głuchym hukiem i opadł na ziemię. Obaj rozłączyli rurki i kable spinające skafandry z aparaturą pokładową, zaciągając się jednocześnie głęboko suchym, pustynnym powietrzem.

– Pachnie jak w domu – skomentował Dan. – Proponuję wyjść z tej konserwy...

Jako dowódca pierwszego załogowego lotu na Księżyc oraz wyższy stopniem, zrobił to pierwszy. Przeciągnął się i rozejrzał, a Gino dołączył do niego. Popołudniowe słońce odbijało się od ich srebrzystych kombinezonów; wokół rozciągała się szara pustynia, porośnięta tu i ówdzie kaktusami i krzewami. Nic ruchomego nie mąciło obrazu, podobnie jak żaden dźwięk nie zakłócał ciszy.

– Śmierdzi jak w Teksasie – przyznał Gino. – Pić mi się chce... Dan, co się właściwie stało? Najpierw ta cisza radiowa, teraz ten odrzutowiec...

– Zdaje się, że właśnie jadą odpowiedzi – przerwał mu Dan, wskazując na ruchomą kolumnę kurzu, która pokazała się na horyzoncie. – Trochę cierpliwości, i powinniśmy wszystko wiedzieć...

Po mniej więcej kwadransie przy kapsule zahamował półgąsienicowy transporter opancerzony, trzy motory z koszami i dwa kołowe wozy pancerne. Wszystkie pomalowane na piaskowo i pokryte kurzem. Z półgąsienicówki wysiadł oficer w goglach, siodłatej czapce i czarnym uniformie.

– Hande hoch! – rozkazał obu kosmonautom. – Ręce do góry i bądźcie łaskawi trzymać je tam przez chwilę, panowie. Jesteście moimi jeńcami.

Obaj jak zahipnotyzowani powoli i mechanicznie unieśli ręce, wpatrując się w stojącą przed nimi postać i ciągle nie potrafiąc przejść do porządku nad tym, co widzieli – runy SS na patce kołnierza, trupia główka na drugiej, a na czapce orzeł trzymający w łapach swastykę.

– Pan... pan jest Niemcem! – wykrztusił w końcu Gino.

– Bardzo pan bystry – parsknął oficer. – Hauptmann Langenscheidt ze sztabu dywizji pancernej Waffen SS Totenkopf, do usług. Dla waszego dobra radzę wam sprawnie wykonywać moje rozkazy, a wszyscy unikniemy nieprzyjemności. Proszę wsiąść do transportera.

– Zaraz, moment. Jestem pułkownik Danton Coye z United States Air Force i chciałbym się dowiedzieć, co się tu dzieje...

– Wsiadać! – warknął Langenscheidt i wprawnym ruchem dobył z kabury na brzuchu lugera.

– Lepiej wsiądźmy. – Gino ujął Dana pod ramię. – Jesteś wyższy stopniem, ale on ma do dyspozycji bardziej przekonujące argumenty...

Obaj wsiedli na otwartą skrzynię transportera, gdzie czekało dwóch milczących żołnierzy w panterkach i z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Nim zdążyli usiąść, zgrzytnęły gąsienice i wóz ruszył. Reszta konwoju zrobiła to samo i popędzili z powrotem w chmurę kurzu.

Pomimo półgodzinnej jazdy Gino Lombardi wciąż nie mógł uwierzyć, że to wszystko jest rzeczywistością. Księżyc, śmierć Glazera – to było normalne, ale żeby siedzieć pod lufami dwóch pistoletów maszynowych trzymanyh przez SS-manów, i to w środku Teksasu... Na wszelki wypadek spojrzął na zegarek, twierdzący uparcie, że jest dwunasty wrześnie.

– Jedno pytanie, kapitanie! – wrzasnął, przekrzykując hałas gąsienic i silnika. – Dziś jest dwunasty wrześnie?!

Odpowiedziało mu sztywne skinienie głowy.

– I rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy?!

– Naturalnie! Proszę więcej nie pytać, porozmawiacie panowie z oberstem, gdy dotrzemy do bazy!

Po kolejnych dwudziestu minutach minął ich nisko zawieszony transporter do przewozu czołgów, zmierzający w przeciwną stronę – najwyraźniej po kapsułę. Za nim jechał dźwig i trzy motocykle eskorty. Dan i Gino obserwowali to w milczeniu, próbując dojść do ładu ze sobą i z otaczającą ich rzeczywistością.

Gdy wjechali do obozu, zaczynało zmierzchać. Wjazdu pilnowały dwa ciężkie czołgi stojące w pobliżu parkingu pełnego wozów opancerzonych, czołgów i dział samobieżnych.

Dalej rozciągał się las namiotów rozświetlonych ogniskami palącej się w pełnych piasku wiadrach benzyny. Konwój rozdzielił się – transporter podjechał pod największy z namiotów, reszta zaś na parking. Obu więźniów wysadzono i wprowadzono do namiotu. Tyłem do wejścia siedział oficer w czarnym mundurze, pisząc coś przy biurku. Skończył, włożył papiery do torby kurierskiej i odwrócił się, słuchając z pałającymi oczyma zwięzłego meldunku kapitana. Ani na chwilę nie spuszczał jeńców z oka.

– Niezwykle interesujące, Her Hauptmann – stwierdził w poprawnej, choć twardo akcentowanej angielszczyźnie, gdy podwładny umilkł. – Proszę kazać przynieść krzesła, panowie pewnie są zmęczeni... jestem pułkownik Schneider, dowódca dywizji pancerniej Waffen SS Totenkopf, na której zapleczu byliście łaskawi wylądować. Papierosa?

Wyciągnął paczkę playersów. Gino odruchowo sięgnął po papierosa i stwierdził, że są angielskiej produkcji, ale z niemieckimi napisami.

– Sądzę, że czegoś na wzmocnienie także nie odmówicie...

Na blacie pojawiła się butelka old highlandera; na tyle blisko, że Gino mógł przeczytać nalepkę. Rysunek Szkota z kobzą był jak najbardziej prawidłowy, tyle że napisy także po niemiecku. Ordynans tymczasem podstawił krzesła i Gino usiadł z prawdziwą ulgą.

Alkoholu także nie odmówił i musiał przyznać, że była to autentyczna szkocka whiskey.

Ordynans wyszedł i pułkownik także usiadł ze szklaneczką w rękę, a Hauptmann stanął w pobliżu wejścia, nie natrętnie, ale zdecydowanie przypominając, w jakiej roli tu są.

Na wszelki wypadek kaburę miał odpiętą.

– W nader ciekawym pojeździe panowie się zjawili. Naturalnie zbadają go nasi eksperci, chciałbym jednak zaspokoić ciekawość i dowiedzieć się...

– Jestem pułkownik Danton Coye z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, numer...

– Panie pułkowniku – przerwał mu Schneider. – Możemy darować sobie formalności...

– Major Giovanni Lombardi, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej – zagłuszył go Gino, co na Niemcu nie wywarło żadnego wrażenia: uśmiechnął się zimno, upił łyk alkoholu i pozwolił obu się przedstawić, zgodnie z zasadami konwencji genewskiej.

– Może byście przestali traktować mnie jak idiotę? – spytał nagle zupełnie innym tonem, gdy zapadła cisza. – Gestapo i tak powiecie wszystko, więc możecie zacząć od podzielenia się ze mną paroma drobiazgami. I proszę przestać się wygłupiać: równie dobrze jak wy wiem, że nie istnieją Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, tylko Korpus Lotniczy waszej armii, który jak dotąd jest doskonałym ruchomym celem dla naszych pilotów.

Wracając do rzeczy: co to za urządzenie i co z nim robiliście?

– To akurat nie pański interes, pułkowniku – warknął Dan takim samym tonem. – Mnie natomiast interesuje, co niemieckie czołgi robią w Teksasie?!

Jakby w odpowiedzi, dały się słyszeć dwie solidne eksplozje i noc rozświetliła łuna pożaru. Na zewnątrz rozległy się serie z broni maszynowej. Obecni zerwali się, a kapitan Langenscheidt z lugerem w dłoni rzucił się ku wyjściu. Zatrzymał się w pół kroku, przy wtórze cichego terkotu, i osunął na ziemię niczym szmaciana lalka. Do środka wskoczył krępy mężczyzna w zielonkawym mundurze z czarno pomalowanymi dłońmi i twarzą. W dłoniach miał pistolet maszynowy z tłumikiem.

– Verdamm... – Pułkownik sięgnął po pistolet i broń przybyłego prawie bezgłośnie wypluła krótką serię.

Trafiony trzema pociskami w pierś Niemiec poleciał w tył i zwałił się na podłogę.

– Nie stójcie i nie gapcie się jak wół na malowane wrota – warknął gość. – Zabieramy się, zanim ich tu więcej przylezie!

I wymknął się na zewnątrz.

Obaj kosmonauci naturalnie ruszyli za nim.

Łuny trzech pożarów oświetlały zamieszanie na dworze. Grzmiały eksplozje, słyhać było krzyki i serie z karabinów maszynowych, a po paru sekundach zaczęło strzelać jakieś działo. Cała trójka przycupnęła za transporterem, przepuszczając pluton żołnierzy w nocnikowatych hełmach, biegnący do najbliższego pożaru.

– W prawo od tego ognia jest wąwóz – wyjaśnił przewodnik. – Musimy tam dotrzeć, nim Szwaby się zorientują, że zaatakowało ich sześciu ludzi. Jazda!

Ogień, ku któremu się kierowali, przygasł – gdy podbiegli bliżej, okazało się, że płonął, a raczej żarzył się w jednym z ciężkich czołgów pilnujących wjazdu. Po drugim nie było śladu. Wąwóz zaś okazał się wyschniętym korytem rzeki, położonym jednak niżej niż reszta terenu, tak że stojącego w nim jeepa nie było widać, dopóki się nań prawie nie weszło.

Ich wybawca odpalił silnik i wolno wycofał terenówkę, nie zapalając świateł. Gazu dodał dopiero wtedy, gdy wyjechali na otwartą przestrzeń pustyni.

– Macie szczęście, że zobaczyłem, jak lądujecie – stwierdził, zapalając pomalowane na niebiesko reflektory. – Jestem porucznik Reeves.

– Pułkownik Coye i major Lombardi. Serdeczne dzięki za ratunek, choć nadal trudno nam uwierzyć... skąd się tu wzięli ci Niemcy?

– Wczoraj przełamali front wokół Corpus. Moim zadaniem było śledzić ich i informować sztab w San Antonio, gdzie dokładnie są. Dlatego widziałem wasz pojazd. Swoją drogą wylądowaliście prawie na ich patrolu, jakby nie było reszty pustyni. Co to za kretyn pomalował toto, że wygląda jak nasza flaga? Ślepy by zobaczył, i to z daleka, nic więc dziwnego, że pognali do was, jakby im kto za to płacił. Musiałem poczekać, bo ich było trochę za dużo jak na mój zwiad, ale się opłaciło: zdobyliśmy lorę z waszym pojazdem, który Niemiaszki uprzejmie na nią załadowały. Powinna już dotrzeć do Cotulli, gdzie są nasze czołgi. No, a resztę już znacie: was też udało się ocalić. Na przyszłość może uważajcie, gdzie parkujecie nowe zabawki, bo nie zawsze znajdzie się pod ręką piechota, żeby to naprawić, a trochę bez sensu robić Szwabom prezenty z eksperymentalnych modeli samolotów, czy co to tam jest...

– Niemcy przełamali się wokół Corpus Christi... – Dan był wyraźnie oszołomiony. – Dobra... ale co oni, do cholery, tu robią? Skąd się w ogóle wzięli w tym rejonie?

– Musieli was strasznie utajnić – zdziwił się Reeves – skoro nie wiecie, że w Teksasie wylądowali coś z miesiąc temu. Przez zatokę z Meksyku. Trzymamy ich, póki co, ale ledwo ledwo. Teraz, jak przełamali front, to cholera wie... no, ale to już nie moje zmartwienie.

Wasze też nie, a więcej dowiedcie się w sztabie. Za jakieś dwie godziny powinniśmy tam dotrzeć.

Po półgodzinie wypadli na autostradę, gdzie prawie natychmiast dołączył do nich drugi jeep, i pomknęli na północ. Reeves zameldował coś szyfrem przez radio i skoncentrował się na prowadzeniu wozu z maksymalną możliwą szybkością.

Po następnej godzinie zwolnił – drogę przecinały przegrody przeciwczołgowe, a po bokach pojawiły się wkopane czołgi i stanowiska artylerii ciągnące się do przedmieść Cotulli, miasteczka leżącego na południe od San Antonio. W miejscowym supermarkecie rozlokował się sztab, do którego skierował się Reeves.

– Kim jesteście, co tu robicie i w czym, do cholery, żeście tu spadli? – warknął jednogwiazdkowy generał, gdy Reeves skończył składać raport.

Wokół pełno było oficerów sztabowych, wartowników, a atmosfera dziwnie przypominała namiot zmarłego, acz nie opłakiwanego dowódcy SS-panzerdivision Totenkopf.

Dan też miał sporo pytań, ale z doświadczenia wiedział, że pułkownik dyskutujący z generałem (nawet tylko jednogwiazdkowym) źle na tym wychodzi, toteż dokładnie opisał lot i pobyt na Księżycu oraz perypetie towarzyszące powrotowi. Generał przyglądał mu się z kamienną twarzą, ale nie przerywał ani słowem. Odezwał się dopiero wtedy, gdy Dan skończył.

– Panowie, prawdę mówiąc nie wiem, co sądzić o waszych rewelacjach. Albo obaj zwariowaliście, czemu przeczy pojazd odbity przez porucznika Reevesa, albo ja. Mówicie jak rodowici Amerykanie, ale to, co mówicie, za nic nie trzyma się kupy. Wątpię, aby Rosja miała czas czy możliwości wystrzeliwać rakiety w kosmos, skoro stale są w odwrocie. Front przebiega obecnie przez połowę Syberii i raczej niewiele brakuje do ostatecznej klęski.

Wszystkie inne kraje Europy są pod władzą Niemców, prawie cała Azja pod okupacją Japonii, a jak widać, niedawno wojna trafiła na naszą półkulę. Kraje Ameryki Południowej są albo podbite, albo sprzymierzone z Niemcami, Florydę zajęli w zeszłym roku, a teraz wylądowali w Teksasie. Nie będę udawał, że wiem, o co tu chodzi, toteż wysyłam was do Denver, jak tylko będzie widno!

Część łamigłówek Gino i Dan poskładali następnego dnia, w samolocie nad Górami Skalistymi. Pomógł im w tym porucznik Reeves, oficjalnie występujący w roli przewodnika, ale trzymający na podorędziu nieodłączny pistolet maszynowy z tłumikiem.

– Data jest ta sama, świat też, tylko historia się zmieniła – skonkludował Gino. – Do pewnego momentu wszystko się zgadza, a potem staje na głowie. Powiada pan, poruczniku, że prezydent Roosevelt zmarł podczas pierwszej kadencji?

– Zapalenie płuc. Wykończyło go w pierwszym roku prezydentury. Na resztę kadencji władzę objął Garner, jako dotychczasowy wice. Pomysł Roosevelta przejął John Nance, ale nie brzmiały tak atrakcyjnie. W Kongresie kłócili się ostro, kryzys szalał, i dopiero w trzydziestym szóstym, gdy wybrano Landona, zaczęło się poprawiać. Wciąż była masa bezrobotnych, ale gdy w Europie wybuchła wojna, zaczęli kupować od nas najpierw żywność, a potem maszyny i broń.

– Anglia i alianci?

– Wszyscy. Sporo ludzi było oburzonych, że handlujemy z Niemcami, ale polityka zagraniczna głosiła, że nie opowiadamy się po żadnej stronie, a handlujemy z każdym, kto płaci. Dopiero po inwazji Anglii wyszło, że Szwaby nie są najlepszymi klientami na świecie, ale było już za późno...

– To zupełnie, jak odbicie naszego świata w krzywym zwierciadle – stwierdził Gino, zaciągając się głęboko. – Podczas tego ostatniego okrążenia Księżyca stało się coś, co zmieniło świat na taki, jakim byłby, gdyby w latach trzydziestych naszego wieku historia potoczyła się inaczej.

– Świat się nie zmienił – sprzeciwił się Reeves. – Zawsze był wredny, choć przyznaję, że to, co mówicie o swoim, brzmi przyjemniej. Są dwa wyjścia: albo świat dostał fioła, albo wy. Ja obstawiam proste rozwiązania, przykro mi. Nie wiem, w jakich doświadczeniach braliście udział,

ale coś wam zaszkodziło na szare komórki.

– Może i zwariowaliśmy, tylko jak wtedy wytłumaczyć kapsułę, w której wylądowaliśmy? – Gino uśmiechnął się złośliwie. – Przyznaję, że chwilami czuję się, jakbym zwariował, ale wiem, że tak nie jest, i nie dam z siebie zrobić czubka!

– Nawet nie będę próbował odgadnąć, co to takiego ten wasz pojazd. – Reeves uśmiechnął się. – Wiem, że pracuje się nad różnymi nowymi broniami, i to mi wystarczy.

Jestem zwykłym porucznikiem i wiem, gdzie moje miejsce: w polu. Jak długo ktoś mnie nie przekona, że jest inaczej, z całym szacunkiem, ale uważam was obu, panowie, za wariatów!

Po takiej konkluzji dalsza dyskusja nie miała sensu, toteż wszyscy umikli.

Reakcja oficjalna w Denver może była uprzejmiejsza, ale w gruncie rzeczy sprowadzała się do zaprezentowanej przez porucznika Reevesa. Natychmiast przewieziono ich z Lowry Field do szpitala Fitzsimmonsa w wozie z zasłoniętymi oknami i w eksorcie żandarmerii. W szpitalu zaś piorunem zaprowadzono ich do laboratoriów, rozdzielono i zaczęto badać na wszelkie możliwe sposoby.

Badania fizyczne zakończono na drugi dzień, natomiast przesłuchania, przy użyciu wykrywaczy kłamstw i innych urządzeń, ciągnęły się przez prawie tydzień. Pytano ich dosłownie o wszystko, od życiorysów po fizykę kwantową. Pytający zmieniali się, pytanych szprycowano benzedryną lub innymi środkami pobudzającymi, zezwalając na sen jedynie w ostateczności, gdy organizmy przestawały reagować na chemikalia. Ich pytania zbywano standardowym tekstem, iż wszystko zostanie wyjaśnione po zakończeniu badań.

Po tygodniu odpowiadania na tysiące pytań Gino był ledwie przytomny. Akurat maglował go świeżo powołany do armii profesor historii (obecnie w stopniu kapitana), gdy nastąpiła długo oczekiwana zmiana. Kapitan-profesor uparł się, aby Gino powiedział mu, kto był sekretarzem skarbu w rządzie Lincolna, co majora wyprowadziło z równowagi.

– Nie mam bladego pojęcia i nikt w okolicy pewnie też nie wie, może z wyjątkiem ciebie, dupku żołądny. Ty chociaż wiesz?

– Oczywiście, że wiem, i wypraszam sobie takie uwagi! To, że...

Gino miał dość – schylił się po stołek, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął pułkownik Military Police.

– Majorze Lombardi, proszę ze mną!

– Jeszcze nie skończyłem, sir! – zaprotestował profesor.

– No, to już pan nie będzie miał okazji, kapitanie. Majorze, proszę zostawić ten stołek i udać się ze mną!

Gino puścił stołek i udał się.

Po ponaddziesięciminutowym marszu przez labirynt korytarzy, schodów i poczekalni dotarli do wygodnie umeblowanego gabinetu. Jeden z foteli zajmował Dan, palący cygaro i ledwie widzący na oczy. Pułkownik pozostał przed drzwiami.

– Poczęstuj się – mruknął, wskazując stojące na stoliku pudełko.

– I co dalej? – spytał Gino, odgryzając koniec wonnej hawany.

– Następną konferencja, tylko musimy poczekać, aż przestaną się kłócić. Mają teorię na temat tego, co się właściwie porobiło, tylko jakoś nie mogą się na nią zgodzić, mimo że wymyślił ją osobiście Einstein...

– Einstein nie żyje...

– Tu żyje. Widziałem go, więc możesz mi wierzyć. Ma prawie sto lat, ale trzyma się całkiem dziarsko... Czekaj, chyba podają komunikat z frontu...

Na stoliku oprócz pudełka z cygarami stało także radio, z którego dotąd dochodziła cicha

muzyka. Teraz rozległ się głos spikera:

– Pomimo zaciętej obrony San Antonio zostało zajęte przez wroga. Godzinę temu mieliśmy jeszcze łączność z otoczonym Alamo, gdzie bronią się jednostki Szóstej Dywizji Kawalerii Powietrznej. Odmówiły one poddania się i wygląda na to, że historia się powtarza: brak łączności może oznaczać brak jeńców...!

– Panowie, proszę ze mną. – W drzwiach stanął oficer sztabowy w nienagannie wyprasowanym mundurze.

Obaj astronauta jakoś się pozbierali. Na szczęście tym razem ich celem były drzwi po drugiej stronie korytarza. Oficer zapukał, otworzył je i oświadczył:

– Wejdźcie, proszę.

– Miło mi was poznać – rozległ się prawie równocześnie głos siedzącego za masywnym biurkiem Alberta Einsteina. – Siadajcie.

– Profesorze, czy pan może nam w końcu powiedzieć, co się stało? – wypalił natychmiast Gino. – Co się zmieniło?

– Nic się nie zmieniło – zachichotał siedzący tyłem do okna uczonek. – I to jest właśnie najważniejsze, co musicie zrozumieć. Świat jest ten sam, wy jesteście tacy sami, tylko, jak by to określić... poruszyliście się... nie, to brzmi głupio... Widzę, że nie wyrażam się dość jasno, prawda? Hmm, zdecydowanie prościej tłumaczyć coś, używając matematyki...

– Każdy, kto się decyduje na lot na Księżyc, musiał się naczycić fantastyki. – Dan uśmiechnął się. – Jesteśmy w świecie równoległym, w pętli czasu czy coś w tym stylu?

– Nie bardzo precyzyjne, ale chyba pomocne będzie, jeśli będziecie to tak traktować...

Obiektywnie jest to ten sam świat, ale subiektywnie jest to świat równoległy. Trudno to dokładnie wyjaśnić, skoro istnieje tylko jeden wszechświat... można by powiedzieć, że zmianie uległy pewne fragmenty rzeczywistości...

– Przyznaję, że się zgubiłem – przerwał mu Gino.

– Jeśli dobrze rozumiem, to coś wypaczyło nasz obraz świata – powiedział Dan.

– Można tak powiedzieć, choć to też nie jest cała prawda. Raczej dzięki waszemu spojrzeniu świat uległ zmianie, albo, co mniej prawdopodobne, jest to faktycznie świat równoległy, do którego przenieśliście się wskutek pewnych okoliczności, o których za chwilę.

Najpierw chciałbym wam podziękować: podejrzewałem od dawna istnienie podobnego fenomenu, ale nie wiedziałem, jak go można wywołać. Dzięki wam uzyskałem nie tylko dowód, ale i poszlaki, które mogą prowadzić do rozwiązania problemu. Zaiste, miłe ukoronowanie, no i przynajmniej nie będę się nudził przez ostatnie lata, jakie mi zostały...

– Rozwiązanie! – Było to chyba jedyne, co w pełni dotarło do Gina. – Czy... czy to znaczy, że istnieje szansa, byśmy wrócili do świata, jaki znamy, do naszego świata?

– To jest wasz świat... zresztą nieważne. Jak zwał, tak zwał. Ważne jest, co się stało i jak to zmienić, a nie, jak to się nazywa. Istnieje taka szansa, i to bardzo prawdopodobna.

Przydarzył się wam wypadek, gdy byliście po drugiej stronie Księżyca. Byliście sami, wstrząśnięci śmiercią towarzysza, nawet nie widzieliście planety, na której cały czas żyliście.

Wasze poczucie rzeczywistości ledwie dawało sobie z tym wszystkim radę i w pewnym momencie coś pękło: wróciliście do nieco innego świata, do świata o troszkę jedynie zmienionej rzeczywistości niż ten, który znaliście. Zmiana, ma się rozumieć, była niewielka w chwili, w której się wydarzyła. Teraz, po latach, jest to inna rzeczywistość... Nazwijmy to dla uproszczenia światem równoległym albo, lepiej, odszczepionym. Zdołaliśmy ustalić dokładnie, kiedy zaczęła się zmiana; siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Dzień, w którym Roosevelt

zmarł na zapalenie płuc. Od tego się wszystko zaczęło.

– To dlatego tak mnie wypytywano o choroby z dzieciństwa? Miałem zapalenie płuc jako kilkunastomiesięczny dzieciak i byłem umierający – mruknął Dan. – Matka wielokrotnie mi o tym opowiadała, a było to mniej więcej w tym samym czasie... Czy to... czy tutaj...?

– Wątpię, ale trudno mi zdecydowanie określić, czy miało to jakiś związek, czy nie.

Prawa rządzące tą zmianą są jeszcze niezbyt jasne, choć nie są już całkowitą niewiadomą.

Jakiś związek pomiędzy tymi zdarzeniami na pewno istnieje. W tej chwili to nieistotne.

Ważne jest, że znalazłem sposób na mechaniczne przesłanie materii z jednego świata do drugiego. Co prawda lata miną, zanim będzie on całkowicie skuteczny i działający w obie strony, ale w tym wypadku chodzi o powrót materii usuniętej z tamtego świata, co znacznie ułatwia całą operację...

– Jeśli dobrze rozumiem, to może nas pan odesłać tam, skąd przybyliśmy? – Gino wyprostował się i fotel skrzyknął ostrzegawczo.

– Ujmując rzecz najprościej, to tak. Właśnie trwają przygotowania do wysłania was i kapsuły, gdyż musicie wrócić jako całość. Ja natomiast mam do was prośbę.

– Jeśli tylko będziemy w stanie ją spełnić – odparł Dan.

– Będziecie mieli na pokładzie urządzenie umożliwiające przenoszenie materii między rzeczywistościami, jak też kopie naszych prac na ten temat. W waszym świecie można wykorzystać potężne zasoby naukowo-techniczne do rozwiązania problemu, i w ciągu zaledwie paru tygodni możecie dysponować działającym transmitterem, który zdołałby przekazać coś z waszego świata tutaj. A kilka tygodni to wszystko, co nam pozostało, ponieważ przegrywamy wojnę. Mimo wszystkich ostrzeżeń, po prostu się do niej nie przygotowaliśmy i teraz za to płacimy. Niemcy zwyciężają wszędzie i tylko kwestią czasu jest ich ostateczne zwycięstwo. Niezbyt długiego już czasu. Jedyne, co może nam dać przewagę, to wasze bomby atomowe.

– Nie macie własnych? – zdziwił się Gino.

– Nie mieliśmy okazji ich skonstruować. Zawsze byłem pewien, że jest to możliwe, ale nigdy tego nie spróbowałem. Niemcy zresztą także nie, jeśli nie liczyć tego głupiego pomysłu z ciężką wodą... Ponieważ i tak zwyciężali, zarzucili ten projekt, jak i inne kosztowne, a nie rokujące nadziei na szybki sukces badania. Osobiście wolałbym tego nie robić, zwłaszcza że według waszego opisu skutki są gorsze, niż śmiałem przypuszczać, ale obozy koncentracyjne są zmorą istniejącą w całej Europie... Po prostu nie mamy innego wyjścia. Szkoda, że sami tego nie skonstruowaliśmy, ale wprawdzie było to zbyt kosztowne, a teraz jest zbyt późno.

Możemy liczyć jedynie na pomoc waszej Ameryki. Jeśli jej nie otrzymamy, zostaniemy pokonani. A jeśli tak, to otwiera się droga do obustronnych kontaktów i wymiany naukowo-technicznej. Pomożecie nam?

– My tak – zadeklarował Coyle – ale władze będzie trudno przekonać. Byłoby dobrze, gdybyście włożyli do kapsuły jakieś dowody, film, w którym wyjaśnia pan to wszystko... ja wiem co... coś, co pomoże ich przekonać, że to, o czym mówimy, wydarzyło się naprawdę.

– Ten materiał już przygotowano, a tu mam coś lepszego. – Uczony wyjął z szuflady plastikowy pojemnik antywstrząsowy, a z niego niewielką fiolkę. – To niedawno wynaleziony lek, na wieczku jest wzór. Został dokładnie przetestowany i nie ulega wątpliwości, że powstrzyma nawet najzłośliwsze odmiany nowotworów. Jeszcze ich nie leczy, ale to już duży postęp... To jest przykład tej wymiany naukowo-technicznej, o której wcześniej mówiłem. Że tak powiem: namacalny dowód.

Dan schował pojemnik do kieszeni na piersiach i obaj pożegnali się ze sławnym uczonym, który w ich świecie od dawna był martwy.

Wojsko, jak zwykle, działało sprawnie: jako środka transportu użyto eksperymentalnego egzemplarza bombowca odrzutowego przystosowanego do przewozu dużych rakiet na paliwo stałe. Biorąc pod uwagę szybkość posuwania się Niemców, było zresztą mało prawdopodobne, by kiedykolwiek zdołał on wejść do seryjnej produkcji.

Wyniesiona przezeń rakieta mogła jednakże dotrzeć wraz z kapsułą i obydwoma astronautami do jonosfery, a to było najistotniejsze, gdyż urządzenie umożliwiające powrót do właściwej rzeczywistości mogło działać skutecznie jedynie poza warstwą ziemskiej atmosfery. Z wyglądu zresztą urządzenie to nie wzbudzało ani zbytniego zaufania, ani należytego szacunku (bądź co bądź zależały od niego losy dwóch światów). Była to niewielka szara skrzynka z przełącznikiem, przytwierdzona do podłogi między fotelami pilotów. Kapsułę doprowadzono do pierwotnego stanu – załatano nawet przestrzeliny; przybyła tylko kaseta z filmami i dokumentami potwierdzającymi pobyt w innym świecie.

Dzień po spotkaniu z Einsteinem obaj astronauta, ubrani w kombinezony próżniowe, przypięli się do foteli i podłączyli do aparatury pokładowej kapsuły.

– Niepozorne to cudo techniki – mruknął Gino krytycznie.

– Jak by było wielkości szafy i miało wodotrysk, to czułbyś się raźniej? Ten zwariowany wypadek, jaki nam się przytrafił, może być skomplikowany jak nie wiem co, a nazywać się tak, że normalny człowiek w życiu nie zdoła tego wymówić, ale mechanizm może być genialnie wręcz prosty. Kazali nam tylko we właściwym momencie przestawić ten skobel. Toto ma własne źródło energii, resztę robi samo, a sygnał nadadzą przez radio, gdy osiągniemy apogeum orbity. Swoją drogą dobrze, że tu też mają radar... Potem przełączymy ten przełącznik i spadniemy tam, skąd nas wystrzelono, a przynajmniej taką mam nadzieję...

– Zaczynamy kołowanie – rozległ się w słuchawkach głos pilota. – Jesteście gotowi?

– Gotowi i zwarci – odparł Dan, zapadając w fotel.

Przed oczyma mieli jedynie blachy poszycia kadłuba samolotu, pod którym byli podczepieni, toteż ze startu nie widzieli nic. Ogólnie rzecz biorąc, był długi i udany.

Ponieważ obliczenia wskazywały, że największe szansę na sukces mają nad Atlantykiem, musieli przelecieć nad Florydą zajęta przez wroga, co oznaczało bitwę powietrzną.

Kosmonauci o niej nie pomyśleli, a pilot ich o niej nie informował. Bitwa była krótka i zażarta: gdyby nie jeden z myśliwców eskorty, który staranował przeciwnika, niemieckie odrzutowce dotarłyby do bombowca. Potem nastąpił spokojny, niczym nie zakłócony lot.

– Przygotować się do odłączenia! – rozległo się w słuchawkach. Chwilę później poczuli, że spadają, gdy pilot zwolnił zaczepy i rakieta odłączyła się od samolotu.

Po paru sekundach zaskoczyły jej silniki i przyspieszenie wcisnęło ich w fotele.

Odpalenie zużytej już rakiety i powrót stanu nieważkości nastąpiły prawie równocześnie. Przez długą chwilę nic się nie działo, po czym w słuchawkach rozległ się nieco przytłumiony głos:

– Przygotujcie się do przełączenia... Uwaga... Trzy... dwa... jeden... TERAZ!

Dan przełączył dźwigienkę i nic się nie wydarzyło. To znaczy, nie było widać, aby coś się wydarzyło. Spojrzeli po sobie w milczeniu, po czym przenieśli wzrok na wysokościomierz – opadali z powrotem na Ziemię.

– No, to przygotuj się do otwarcia spadochronów – mruknął Dan.

Nagle coś chrząknęło, trzasnęło i z głośnika radiostacji dobiegło:

– ...Tu Cape Canaveral, Apollo, słyszycie nas? Powtarzam: Apollo, słyszycie nas?... Na litość boską, Dan, jak tam jesteś, to się odezwij, do cholery! – głos był prawie na skraju hysterii, nim Coye przełączył na nadawanie.



– Tu Dan Coye. To ty, Skipper?

– Ja! Dzięki Bogu, ale jak wyście tu dotarli? Gdzieście byli, cała... Odwołuję ostatnie, powtarzam: odwołuję! Mamy was na ekranie: będziecie wodować w przewidzianym rejonie.

Czekają tam okręty, więc wszystko pójdzie zgodnie z planem. Do zobaczenia na Ziemi!

Obaj astronauta spojrzeli na siebie i po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęli się z ulgą. Sądząc po odgłosach dochodzących z głośnika, pożar w burdelu był cichą mszą w porównaniu z tym, co się działo w Centrum Sterowania. Nie było to takie dziwne – pojawili się na ekranie po tygodniowej nieobecności jak diabeł z pudełka, a do tego zniknęli za Księżycem, a wyłonili się tuż przy skraju atmosfery ziemskiej, i to jakimś cudem żywi (co przy trzydniowym zapasie tlenu graniczyło z cudem).

Wodowanie było po prostu idealne. Słoneczko świeciło, morze było gładkie jak stół, a wiatru akurat tyle, by nie było upału. O parę mil od miejsca, w którym kapsuła zetknęła się z wodą, znajdował się krążownik, który natychmiast ruszył ku nim.

– Skończone! – westchnął z ulgą Dan, odpinając pasy wiążące go z fotelem.

– Chirruk... – wycharczał Gino. – Skończone? To przyjrzyj się banderze!

Krążownik położył się w łagodny skręt, spuszczał motorówkę z płetwonurkami, dzięki czemu wyraźnie widoczna była flaga łopocząca na rufowym drzewcu. Białe-czerwone pasy, granatowy prostokąt pełen białych gwiazd, a na środku prostokąta złota korona.

Przełożył Jarosław Kotarski

# Przestępstwo

Pierwsze uderzenie młotka wstrząsnęło drzwiami we framudze, drugie solidnie nadwerężyło sklejkę. Nie czekając na trzecie, Benedict Vernall otworzył drzwi i wcisnął lufę rewolweru w brzuch mężczyzny z młotem.

– Spływaj. Wynoś się stąd – powiedział Benedict, nie potrafił jednak opanować drżenia w głosie.

– Nie bądź pan głupi – odparł cicho policjant i odsunął się, pozwalając dojrzeć dwóch stojących za nim mundurowych. – Wykonuję tylko moje obowiązki. W razie ataku ci tutaj mają przykazane zastrzelić pana i wszystkich obecnych w tym mieszkaniu. Niech się pan zastanowi. Nie pan pierwszy. Tak już jest.

Jeden ze strażników szczęknął bezpiecznikiem karabinka automatycznego i zerknął znacząco na Benedicta, który powoli opuścił broń.

– Tak już lepiej – mruknął oficer i raz jeszcze stuknął młotem w gwóźdź, by dobrze siedział w drewnie.

– Weź to cholerstwo – wycedził przez zęby Benedict.

– Panie Vernall... – Oficer (odpowiedzialny etatowo za aresztowania i tym podobne akcje) poprawił okulary i spojrzał na umieszczony przed chwilą na drzwiach dokument. – Informuję pana niniejszym, że zgodnie z regulacjami zawartymi w ustawie z roku 1999, dotyczącej karalności za nielegalne akty narodzin, został pan uznany winnym wykroczenia przeciwko obowiązującemu prawu i jako kryminalista zostaje pan wyłączony spod przysługującej obywatelom tego suwerennego państwa opieki i ochrony przed czynną napaścią...

– I pozwolicie, by jakiś szaleniec mnie załatwił? Co to za idiotyczne prawo?

Oficer zdjął okulary i spojrzał chłodno na Benedicta.

– Panie Vernall, sam pan sobie nawarzył tego piwa. Ma pan nielegalne dziecko czy nie?

– Jakie tam nielegalne... Zwykle niemowlę, nikomu nie szkodzi...

– Ma pan już dwoje dzieci, na które pozwala prawo, czy nie?

– Mam dwoje, ale...

– Odtrącił pan wszelką pomoc czy radę kliniki rejonowej. Siłą usunął pan z mieszkania urzędnika planowania rodziny, który przyszedł z panem porozmawiać. Nie skorzystał pan z usług kliniki aborcyjnej...

– To mordercy!

– ...oraz pomocy Rady Planowania Rodziny. Podczas przysługujących panu sześciu miesięcy nie podjął pan żadnych działań. Otrzymał pan trzy ostrzeżenia na piśmie, lecz nie odpowiedział na żadne. W skład pańskiej rodziny wchodzi wciąż jeden nadprogramowy konsument, na którego istnienie ustawa nie pozwala. Teraz może pan już winić tylko siebie, panie Vernall.

– Ale to nieludzkie prawo.

– Niemniej obowiązuje nas wszystkich – odparł oficer, prostując się urzędowo. – Nie nam się nad tym zastanawiać. – Wyjął z kieszeni gwizdek i uniósł go do ust. – Moim obowiązkiem jest przypomnieć panu, że nawet w tej chwili może się pan jeszcze zdecydować.

Wciąż może pan skorzystać z usług kliniki eutanazyjnej.

– Wynoś się do diabła!

– Taak. Już to słyszałem. – Zadał w gwizdek i niemal się uśmiechnął, gdy Benedict zatrzasnął drzwi mieszkania.

Od strony schodów rozległ się niemal zwierzęcy ryk. Policjant, który dotąd blokował przejście, odsunął się i splątany kłęb ludzi runął naprzód, walcząc w biegu. Pierwszy, który wysforował się przed innymi, dostał nagle pięścią w głowę i padł pod stopy krzyczącej i przeklinającej gromadki. Nie było widać następnego lidera i losowanie wisiało w powietrzu, gdy kilka jardów przed drzwiami biegnący w pierwszym szeregu mężczyzna potknął się i pociągnął za sobą jeszcze dwóch. Niewielki, tusty gość przeskoczył nad splątanymi ciałami i runął na drzwi Vernalla z taką siłą, że trzymany w wyciągniętej dłoni długopis przedziurawił papier postanowienia sądowego i wbił się w drewno.

– Ochotnik został wybrany – krzyknął oficer.

Mundurowi zaczęli spychać gardłujący tłumek z powrotem ku schodom. Na podłodze został jeden stratowany mężczyzna, nieprzytomnie wgrzyzający się zaślinionymi ustami w wytarty chodnik. Zaraz zajęło się nim dwóch ubranych na biało sanitariuszy. Jeden wbił poszkodowanemu igłę w szyję, drugi zaczął rozkładać nosze.

Ochotnik tymczasem wpisał pod czujnym okiem oficera swoje nazwisko w odpowiednią rubrykę postanowienia sądowego i schował długopis.

– Miło mi przyjąć pana zgłoszenie do wykonania tego ważkiego obowiązku w służbie publicznej, panie... – oficer pochylił się, by zerknąć na dokument – panie Mortimer.

– To moje imię – powiedział zgrzytliwie ochotnik, ocierając czoło chusteczką.

– To zrozumiałe, pana prawo do anonimowości zostanie uszanowane. To prawo wszystkich ochotników. Czy słusznie podejrzewani, że zna pan też pozostałe punkty regulaminu ochotników?

– Owszem. Paragraf czterdziesty trzeci ustawy o karaniu za nielegalne akty narodzin, podpunkt czternasty, dotyczący selekcji ochotników. Po pierwsze, zgłosiłem się na maksymalny czas dwudziestu czterech godzin. Po drugie, nie będę w tym czasie usiłował wywierać presji ani stosować agresji wobec innych członków społeczeństwa, a jeśli to uczynię, będę zgodnie z prawem odpowiadać za moje uczynki.

– Bardzo dobrze. I co jeszcze?

Mortimer złożył starannie chusteczkę i wsunął ją do kieszeni.

– Po trzecie – powiedział, uklepując kieszeń – nie będę pociągany do odpowiedzialności prawnej ani żadnej innej, jeśli pozbawię życia inkryminowanego osobnika, niejakiego Benedicta Vernalla.

– Właśnie tak – przytaknął oficer i wskazał na sporą walizkę, którą jeden z policjantów ustawił na podłodze i otworzył. Z sieni usunięto tymczasem wszystkich postronnych. – Gdyby zechciał pan tu podejść i dokonać wyboru... – Walizka pełna była narzędzi mordy. – Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z zagrożenia, na które wystawia się w najbliższym czasie, i wie pan, iż organa prawa nie będą w stanie go ochronić przed zranieniem czy nawet śmiercią?

– Nie jestem taki głupi – uciął Mortimer i wskazał na wnętrze walizki. – Chcę granatnik.

– Tego nie może pan dostać – odparł oschle urażony oficer. – Nie stosuje się ich w terenie zabudowanym, gdzie istnieje ryzyko zranienia osób postronnych. Szczególnie w budynkach. Może pan jednak wybrać którąś z broni o mniejszej sile rażenia.

Mortimer splótł palce i pochylił głowę, jakby zamierzał się modlić. Spojrzał uważnie na zawartość walizki: pistolety maszynowe, granaty, noże, kastety, ampułki z kwasem, bicz, rewolwery, brzytwy, obtłuczone butelki, zatrute strzałki, morgensterny, granaty z gazem paralizującym i łzawiącym...

– Ile mogę wziąć?

– Niech pan bierze po prostu wszystko, co uzna pan za przydatne. Tylko niech pan pamięta, że z

każdego przedmiotu będzie się pan musiał potem rozliczyć.

– Chcę pistolet maszynowy reising z pięcioma magazynkami, nóż komandoski z zadziornymi i pistolet z gazem łzawiącym.

Oficer szybko odhaczył stosowne pozycje na formularzu.

– Czy to wszystko?

Mortimer przytaknął i nie czytając formularza, złożył podpis na dole strony, po czym zaczął wpychać do kieszeni wyposażenie i amunicję.

– Ma pan dwadzieścia cztery godziny – powiedział oficer, spoglądając na zegarek. – Do siedemnastej czterdzieści pięć dnia jutrzejszego.

– Proszę, Ben, odejdz od drzwi – błagała Maria.

– Cicho – wyszeptał Benedict, przyciskając ucho do sklejki. – Chcę usłyszeć, co tam mówią. – Ze zmarszczonymi brwiami usiłował zrozumieć choć kilka słów. – Nie jest dobrze – mruknął, odwracając się. – Nic nie słyszę. Chociaż i tak... wiadomo, o co chodzi.

– Ktoś przyjdzie cię zabić – powiedziała Maria swym zwykłym głosem małej dziewczynki.

Dziecko zapisała i przytuliła je mocniej do siebie.

– Proszę, idź do łazienki, jak się umówiliśmy. Masz tam łóżko, żywność i nie ma okien. Siądź pod ścianą obok drzwi, a będziesz bezpieczna. Zrób to dla mnie, kochanie. Niech chociaż o was nie muszę się martwić.

– Ale wtedy zostaniesz tu całkiem sam.

Benedict przygarbił nieco szerokie ramiona i mocniej ścisnął w dłoni pistolet.

– Tu jest moje miejsce. Mężczyzna powinien stawiać czoło niebezpieczeństwu w obronie rodziny. Zawsze tak było.

– Rodzina... – powiedziała Maria i nagle rozejrzała się wokół. – A gdzie Matthew i Agnes?

– Bezpieczni z twoją matką. Obiecała się nimi zająć, aż się zjawimy. Wolałbym, żebyś też tam poszła.

– Nie, nie mogę. Nie teraz. Nie zostawię małego, byłby głodny.

Spojrzała na niemowlę, które wciąż popiskiwało. Zaczęła rozpinać górę sukni.

– Proszę, kochanie – powiedział Benedict, odsuwając się od drzwi. – Idź z dzieckiem do łazienki i zostań tam. Tak trzeba. On może przyjść w każdej chwili.

Posłuchała go niechętnie. Począł, aż zamknie za sobą drzwi i przekręci klucz w zamku. Potem spróbował usunąć z myśli nazbyt rozprasający go obraz żony i dziecka.

Przygotował sobie wszystko już wcześniej i teraz obszedł tylko powoli mieszkanie, sprawdzając, czy niczego nie przeoczył. Przede wszystkim spojrzał na drzwi, jedyne wejście do mieszkania. Były zamknięte, zaryglowane, z założonym łańcuchem. Pozostało tylko zastawić je szafą, by napastnik nie mógł sforsować ich bezgłośnie. Gdy się przedrze, Benedict będzie czekał już na niego z bronią. Drzwi zatem miał z głowy.

W kuchni i łazience nie było okien, więc te dwa pomieszczenia mógł pominąć. Co innego sypialnia, której okno wychodziło na drabinę przeciwpożarową. Ale i to przemyślał.

Okno zostało starannie zamknięte i zabójca musiałby wybić szybę. Brzęk szkła to wystarczające ostrzeżenie. Benedict miałby dość czasu, by przepchnąć kanapę pod drzwi sypialni. Nie chciał robić tego już teraz, na wypadek, gdyby sam musiał się wycofywać do sypialni.

Pozostał tylko salonik, miejsce wybrane na bastion obrony. Miał dwa okna, z czego dalsze dość blisko drabiny przeciwpożarowej, zabójca mógłby więc próbować przez nie wejść. Drugie było za daleko, ale dawało dostęp kulom, gdyby ktoś usadowił się w budynku po drugiej stronie podwórza. Tak czy inaczej, jeden z kątów saloniku znajdował się w martwym polu ostrzału; tam należało usiąść.

Benedict przepchnął wielki fotel pod ścianę i sprawdziwszy raz jeszcze, czy oba okna zostały zamknięte, usiadł.

Broń wsparł na kolanach i wycelował w dalsze okno, to obok drabinki na zewnątrz budynku, gotów zastrzelić każdego, kto by usiłował przez nie wejść. Bliższe okno nie stanowiło żadnego niebezpieczeństwa, jak długo nie stanie się przy parapecie. Cienkie zasłony pograżyły pokój w półmroku, dając szansę dostrzeżenia intruza, zanim ten zauważy Benedicta. Obracając pistoletem ledwie o kilkanaście stopni, miał on w polu ostrzału całe pomieszczenie, od okien do drzwi przedpokoju. Gdyby cokolwiek się działo przy wejściu do mieszkania, wystarczyłoby kilka kroków, aby tam zajrzeć. Zrobił, co w jego mocy. Oparł się wygodnie w fotelu.

Światło dnia zaczęło gasnąć i pokój pograżył się w ciemności maconej jedynie poblaskiem miasta przezierającym przez zasłony. Było bardzo cicho i tylko sprężyny fotela jęczały pod nim, ilekroć zmieniał pozycję. Po kilku godzinach zorientował się, że w całym misternym planie nie uwzględnił jednego. Chciało mu się pić.

Z początku próbował zignorować pragnienie, ale o dziewiątej wyschnięte usta zaczęły przypominać papier ścierny. Wiedział już, że nie wytrzyma tak całej nocy, wrażenie było zbyt dokuczliwe. Trzeba było zabrać jakieś większe naczynie z wodą. Najlepiej byłoby wstać jak najszybciej i przynieść coś stosownego, nie chciał jednak opuszczać bezpiecznego kąta.

Zabójca nie dał do tej pory nawet znaku życia, co czyniło jego milczącą obecność tym groźniejszą.

Potem usłyszał, że woła go Maria. Z początku cicho, jednak z czasem to coraz głośniej. Niepokoiła się. Czy wszystko z nim w porządku? Nie śmiał odpowiedzieć, nie z tego kąta. Pozostało podejść do drzwi łazienki i szepnąć, by się uciszyła. Może wtedy zaśnie, a on weźmie z kuchni jakiś dzbanek z wodą.

Wstał jak najciszej i napiął zdrtwiałe mięśnie nóg. Nie spuszczając wzroku z szarego prostokąta drugiego okna, zsunął ostrożnie buty i na palcach przeszedł przez pokój. Maria zawodziła coraz głośniej, stukając w drzwi łazienki. Trzeba ją uciszyć. Czy ona nie rozumie, na jakie niebezpieczeństwo go naraża?

Mijał właśnie drzwi na korytarzyk, gdy w pokoju rozbłysło światło.

– Co ty wyrabiasz?! – krzyknął na stojącą obok włącznika Marię, oślepiiony nagłym blaskiem.

– Tak się martwiłam...

Przerwał jej brzęk tłuczonej szyby i jazgot pistoletu maszynowego. Nagły impuls bólu przeszył ciało Benedicta, który szczupakiem zanurkował do przedpokoju.

– Do łazienki! – krzyknął i wystrzelił w ciemne drzwi.

Ledwie słyszał przytłumiony płacz Marii, gdy dziewczyna zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Na chwilę zapomniał o bolesnych ranach. W powietrzu niebieskawą mgiełką rozchodził się cierpki i smrodliwy dym wypalonego prochu. Coś stuknęło w saloniku, strzelił w ciemność. Skrzywił się, gdy w odpowiedzi cała seria kul podziubała tynk naprzeciw drzwi.

Ogień ustał, ale Benedict nie opuszczał broni. W końcu pojął, że zabójca nie sięgnie go na podłodze pod ścianą, obok otwartych drzwi. Żeby to uczynić, musiałby wejść do korytarzyka, a wówczas sam wystawi się na strzał. Kolejne pociski uderzyły w mur, ale Benedict nie odpowiedział. Gdy cisza przeciągnęła się ponad minutę, wysunął bębenek broni i wyjął puste łuski, zastępując je nowymi nabojami. Wokół jego nogi rozlewała się z wolna kałuża krwi.

Mierząc wciąż w drzwi, podwinął niezgrabnie lewą nogawkę i spojrzął na nogę. Krew ciekła po kostce, przemoczyła już całą skarpetkę. Kula przeszła przez mięśnie łydki, zostawiając dwa okrągłe otwory, z których ciurkiem sączyły się czerwone strużki. Benedict wpatrywał się w ranę jak

zauroczony, aż opamiętał się i znów wycelował w drzwi. W saloniku panowała cisza. Piekło go też z boku, ale gdy podniósł koszulę, stwierdził, że ta druga rana, chociaż bolesna, nie jest tak groźna. Ledwie zadrażnienie, kula musiała zrykoszetować po krzywiźnie żebra. Krwawienie było dość słabe. Ale z nogą trzeba coś zrobić.

– Szybki jesteś, Benedict, moje gratulacje...

Benedict odruchowo wysłał dwie kule w ciemność pokoju, ale odpowiedział mu tylko śmiech.

– Te nerwy, Benedict, te nerwy... Nawet jeśli zamierzam cię zabić, to nie znaczy jeszcze, że nie możemy sobie pogadać.

– Jesteś bydlę, zafajdane bydlę – zaczął Benedict, zaraz potem sięgając po przekleństwa i obsceniczne porównania, których nie używał, ba, nie słyszał nawet od ukończenia szkoły. Umilkł raptownie, pomyślawszy, że przecież Maria też pewnie go słyszy.

Nigdy jeszcze nie przeklinał przy niej.

– Ponosi nas, co, Benedict? – roześmiał się znów tamten. – Obelgi nic nie zmieniają.

– Czemu nas nie zostawisz? Idź sobie, nie będę cię zatrzymywał – powiedział Benedict, wolno wyciągając lewą rękę zza koszuli. – Nie chcę cię więcej widzieć, nie chcę cię znać. Czemu sobie nie pójdziesz?

– Obawiam się, że to nie takie proste. Sam ściągnąłeś sobie kłopoty na głowę, można powiedzieć, że zwabiłeś mnie tutaj. Jak czarnoksiężnik przyzywający złe moce. Miłe porównanie, prawda? Pozwól, że się przedstawię. Na imię mam Mortimer...

– Nie chcę znać twojego imienia, ty... zasrańcu.

Ostatnie słowo Benedict raczej wymamrotał, niż powiedział, niemal całą uwagę skupiając na możliwie bezgłośnym ściąganiu koszuli. Przełożył broń do lewej ręki, by zdjąć prawy rękaw, i omal nie upuścił rewolweru. Noga pulsowała bólem, gdy obwiązywał łydkę powyżej rany. Zacisnął węzeł, syknął z bólu i szybko się odezwał, aby zamaskować jęk.

– Przyszedłeś tutaj, bo chciałeś. I zamierzam zabić cię za to.

– Bardzo dobrze, panie Vernall, niczego innego od ciebie nie oczekiwałem.

Ostatecznie w obecnych czasach trudno naruszyć literę prawa bardziej, niż ty to uczyniłeś.

Jesteś aspołecznym indywidualistą, samotnym kryminalistą pielęgnującym tradycje Dillingerów i braci James. Co prawda oni zabijali, a ty się uparłeś siać życie i masz pukawkę wiele mizerniejszą niż oni... – obleśny chichot zakończył kwestię.

– Masz robaczywy umysł, Mortimer, zresztą czego się można spodziewać po kimś, kto lubi zabijać. Jesteś chory.

Benedict chciał związać tamtego rozmową przynajmniej do chwili, aż opatrzy nogę.

Koszula przesiąkła już krwią i trudno było zaciągnąć węzeł samą lewą dłonią.

– Musisz być chory, jeśli tu przyszedłeś. Jaki mógłbyś mieć inny powód?

Bezgłośnie odłożył broń i pospiesznie dokończył zakładania opatrunku.

– Względna sprawa – odparł głos z ciemności. – Podobnie jak względne jest pojęcie przestępstwa. Człowiek stworzył społeczne zasady życia, a społeczeństwa zdefiniowały pojęcie przestępstwa. O temporal O mores! W Atenach Peryklesa homoseksualiści otaczani byli szacunkiem, jako jedyni zdolni do prawdziwej miłości. W Anglii okresu industrializacji pogardzano nimi i osądzano ich jak kryminalistów. I kto tu naprawdę popełnia przestępstwo?

Jednostka czy społeczeństwo? Możesz się odwoływać do autorytetów stojących ponad człowiekiem, ale wszystko to będą tylko abstrakcyjne inwokacje, nie mające się nijak do otaczającej człowieka rzeczywistości, do tego, co człowiek postrzega.

Kilka strzałów dodało wagi tym słowom, aż drzazgi poleciały z futryny. Benedict zacisnął

ostatni węzeł i znów sięgnął po rewolwer.

– Owszem, uznaję wyższe autorytety – powiedział. – Istnieje prawo naturalne, istnieje świętość życia, istnieje nierozzerwalny węzeł małżeństwa. To właśnie pozwala kochać, pobierać się, a dzieci świadczą o pobłogosławieniu mojego związku.

– To twoje błogosławieństwo, i nie tylko twoje zresztą, pustoszy ten świat jak szarańcza – powiedział Mortimer. – Ale to tylko stwierdzenie faktu. Przede wszystkim trzeba się uporać z twoimi argumentami.

Primo: Jedyne znane nam naturalne prawo to prawo grawitacji. To, co ty nazywasz prawem naturalnym, to prawa ustanowione przez człowieka, odmienne w każdej z niezliczonych religii. Tym samym argument traci moc.

Secundo: Życie pełni się żywiłowo. To, co żyje dzisiaj, będzie musiało umrzeć, by zrobić miejsce dla jutrzejszego wylęgu. Wszystkie religie mają janusowe oblicza. Niby gromią wszelkie zabijanie, lecz równocześnie z uśmiechem pobłażania spoglądają na wojny i karę śmierci. Tym samym argument traci moc.

Ultimo: Związek mężczyzny i kobiety przybiera rozmaite postaci w różnych społeczeństwach. Tym samym argument traci moc. Całe to gadanie o wyższych autorytetach nie odnosi się do realnego świata faktów i definiowalnych praw. Możesz wierzyć, w co zechcesz, o ile sprawia ci to satysfakcję, ale nie upoważnia cię to jeszcze do popełniania przestępstw.

– Przestępstw?! – krzyknął Benedict i wystrzelił dwukrotnie w otwór drzwi, po czym skulił się pod gradem bijących nad nim kul.

Za drzwi łazienki dobiegał płacz obudzonego hukiem dziecka. Benedict wymienił energicznie łuski na pełne naboje i wsunął bębenek na miejsce.

– Sam jesteś kryminalistą, jeśli chcesz mnie zamordować – powiedział. – Jesteś narzędziem w rękach kryminalistów, którzy narzucili mi bluźniercze prawa i zakazali mieć więcej dzieci. Nikt nie może mi rozkazywać w tej sprawie.

– Głupiś – westchnął Mortimer. – Człowiek jest zwierzęciem społecznym i chętnie przyjmuje wszystko, czym społeczeństwo go obdarza. Bez oporów stosujesz lekarstwa, bez których twoje dzieci mogłyby umrzeć, jak często zdarzało się to w przeszłości. Akceptujesz przyznawanie twoim dzieciom dodatkowych racji żywnościowych, za które nie musisz nawet płacić. Ale planowania rodziny już nie akceptujesz. Wybacz, ale na dłuższą metę tak się nie da. Albo zaakceptujesz wszystko, albo wszystko odrzucisz. Pozostanie ci albo opuścić społeczeństwo, które cię żywi, albo uznasz dyktowane przezeń zasady. Nie ma darmowego wiktów...

– O nic takiego nie proszę. Dziecko pije mleko matki, potem podzielimy nasze racje żywnościowe...

– Nie rób z siebie durnia. Ty i tobie podobni, zupełnie nieodpowiedzialni, gotowi jesteście zgubić ten świat, do ostatniej chwili nie nabierając rozumu. Próbowano przekonywać was po dobroci, a gdy to nie dało efektów, sięgnięto po ostrzejsze środki, wciąż bez skutku.

Pochlebiano wam, przekupywano, grożono, wszystko na próżno. Pozostaje powstrzymać was siłą. Odmawiacie wciąż pomocy i rady, jak zapobiec przybyciu jeszcze jednej istoty na głodujący świat, i dalej mnożycie się bez opamiętania. Skoro tak, to na was spada odpowiedzialność za zrobienie miejsca na świecie. Ktoś przybywa, ktoś musi ubyc. To całkiem humanitarne prawo, wyrosłe z naszej dawnej tradycji pionierów i osadników zajmujących ten kontynent. Daje wam szansę obrony przekonań z bronią w ręku. Przekonań i życia...

– To nieludzkie prawo – powiedział Benedict. – Jak możesz tak myśleć? To okrutne, bezsensowne...

– Wręcz przeciwnie, cała sprawa została dobrze pomyślana. Spróbuj na chwilę dla odmiany uruchomić szare komórki, pozbadź się na moment uprzedzeń i spójrz na problem z perspektywy gatunku, do którego należysz. Cały świat jest okrutny, ale nie jest bezlitosny.

Rządzi nim prawo zachowania masy, które człowiek łamie ze szczególnym upodobaniem.

Czynił to już od tak dawna, zapominając w swym zaślepieniu o istnieniu owego prawa, że uruchomił inne mechanizmy mające ograniczyć przyrost ludzkich mas na powierzchni tego globu. Odwoływanie się do zwykłego zdrowego rozsądku nie odniosło żadnego skutku i nie ograniczyło przyrostu naturalnego, tak więc trzeba było sięgnąć po drastyczne prawa. Sama miłość, rodzina czy małżeństwo nie doznają żadnego uszczerbku, o ile poprzestaną na rozsądnej liczbie dzieci. Jeśli ktoś dobrowolnie przyjmuje opiekę i pomoc społeczeństwa, musi ponosić konsekwencje swoich poczynań. Jeśli zatraci się w swojej samolubności i egoizmie, musi zginąć dla dobra społeczeństwa. Jeśli jednak przetrwa próbę i okaże dość determinacji i zimnej krwi, by przeżyć, wówczas uznaje się go za jednego z tych ludzi, których społeczeństwo potrzebuje szczególnie, jako nosicieli wartościowej puli genetycznej.

Jednak zasady tej nie stosuje się nigdy wobec obywateli przestrzegających prawa.

– Jak śmiesz! – krzyknął Benedict. – Czy ta bezbronna matka i jej, jak mówisz, nielegalne dziecko to kryminaliści?!

– Nie, o ile owa matka zrezygnuje z wszelkiej pomocy społecznej. Spokojnie może urodzić nawet dodatkowe dziecko, ale jeśli potem trwa w głupocie, musi za to zapłacić. Jest wiele sfrustrowanych kobiet, które wiele by dały, aby mieć choć jedno dziecko. One to, podobnie jak ja, popierają znane ci prawo, żądają nawet jego zaostrzenia. Staraj się, jeśli potrafisz, Benedict, bo zrobię, co w mojej mocy, aby ujrzeć wreszcie twoje zimne zwłoki.

– Wariat! – syknął Benedict, zaciskając mocno zęby w złości. – Wyrzutek społeczeństwa. To bluźniercze prawo wyciąga z rynsztoka takie męty jak ty. Tworzy zawodowych zabójców.

– Do pewnego stopnia. I słusznie czyni. W ten sposób patologiczne typy same się ujawniają i można mieć ich na oku. Chyba tak lepiej, niż żeby ktoś taki miał czyhać w parku z nożem na twoje dzieci. Zamiast tego ryzykuje życie i czy zabije, czy sam zginie, przysłuży się ludzkości.

– Zatem przyznajesz, że jesteś szaleńcem... i mordercą? – Benedict usiłował wstać, ale zakręciło mu się w głowie i ciężko opadł na podłogę.

– Ja nie – odparł beznamiętnie Mortimer. – Ja wspieram prawo i usuwam typy aspołeczne.

– To musisz być zboczeńcem, jeśli nienawidzisz miłości... Tym razem jedyną odpowiedzią był lodowaty śmiech, który jeszcze bardziej rozwścieczył Benedicta.

– Chory! A może szalony? A może bezpłodny, nie mogący mieć własnych dzieci i nienawidzący wszystkich, którzy je mają...?

– Dość tego! Pogadaliśmy sobie, a teraz cię zabiję.

Benedict po raz pierwszy wyczuł w głosie tamtego zimną złość i wiedział już, że trafił w czułe miejsce. Milczał jednak, słaby i bliski mdłości, a krew sączyła się przez prowizoryczny opatrunek i rozlewała coraz szerszą kałużą na podłodze. Musiał zachować chociaż tyle siły, by unieść dłoń z rewolwerem, gdy zabójca będzie wchodził do przepokoju.

Usłyszał, jak drzwi łazienki otworzyły się niemal bezgłośnie, dobiegł go cichy szmer kroków.

Bezradnie spojrział na zalaną łzami twarz Marii.

– Kto tam jest z tobą? – krzyknął Mortimer, skulony za fotelem. – Słyszę, jak szepczecie. Jeśli to twoja żona, lepiej każ jej odejść. Nie odpowiadam za jej bezpieczeństwo.

Sam jesteś sobie winien i przyszła pora zapłacić za popełnione błędy. Zrobię, co do mnie należy.



Wstał i opróżnił magazynek, celując w drzwi, potem przycisnął zatrzask, wyjął pusty magazynek, cisnął go w ślad za kulami i natychmiast założył nowy. Szybkim ruchem przeładował broń i przykucnął, gotów do ostatecznego ataku.

Tak trzeba, nawet bez noża. Starczy podejść do drzwi, strzelić parę razy do środka, rzucić tam miniaturowy granat z gazem łzawiącym i wejść, siejąc kulami po podłodze i po gościu. Mortimer z drzeniem wciągnął głęboko powietrze i nagle zamarł, widząc dłoń Benedicta wyłaniającą się zza framugi i sunącą w górę po ścianie.

Było to tak nieoczekiwane, że strzelił dopiero po chwili, a i wtedy spudłował. Taka dłoń to kiepski cel dla broni automatycznej. Palce zacisnęły się na włączniku lampy i zniknęły, ledwie zapłonęło światło pod sufitem.

Mortimer zaklął i strzelił w ślad za dłonią, dziurawiąc ścianę. Czuł się bezbronny i obnażony w blasku żarówki.

Pierwszego strzału z rewolweru nawet nie usłyszał, huk zginął w jazgocie jego automatu. Dopiero gdy druga kula uderzyła w podłogę tuż obok jego stóp, przestał strzelać, obrócił się na pięcie i zamarł wpatrzony.

Na podeście drabinki przeciwpożarowej za wybitym oknem stała kobieta. Wiotka, o wielkich oczach, kołysała się lekko niby targana wiatrem. Broń trzymała w obu rękach, raz za razem kurczowo naciskając na spust. Jak dotąd nie trafiła Mortimera, ale ten, przerażony, uniósł automat i przejechał serią po ścianie nad oknem.

– Nie! Nie chcę cię skrzywdzić! – krzyknął jednocześnie.

Ostatni pocisk przeorał tynk i iglica szczęknęła głucho. Mortimer szybko wyciągnął pusty magazynek i spróbował ubić nowy, gdy rewolwer znów się odezwał. Kula trafiła go w bok, aż upadł i wypuścił broń z ręki. Benedict doczołgał się zaraz do zabójcy i zacisnął mu dłoń na gardle.

– Nie... – wychrypiał Mortimer i zamachał rękami.

Nigdy nie wprawiał się w bezpośredniej walce i niezbyt wiedział, co teraz robić.

– Proszę, Ben, nie – odezwała się Maria, wchodząc przez okno z powrotem do mieszkania i podbiegając do męża. – Zabijesz go.

– Nie... – wysapał Benedict. – Brak mi sił. Ręce mi osłabły...

Nagle tuż obok swej głowy ujrzał lufę rewolweru. Szybko wydarł go żonie z dłoni.

– Jedna gęba mniej do wyżywienia! – krzyknął, naciskając wygrzany spust i pakując kulę w pierś Mortimera.

Ten tylko raz wierzgnął nogami i skonał.

– Nic ci nie jest, kochanie? – zaczęła nagle zawodzić Maria, przyklękając przy mężu i tuląc go do siebie.

– Nie... Jestem słaby, ale to chyba z utraty krwi. Już przestała lecieć. Skończone.

Wygraliśmy. Dostaniemy jeszcze jedną rację żywnościową i wszyscy wyjdą na swoje. Już nigdy nikt nie będzie się nas czepiał.

– Tak się cieszę – powiedziała, uśmiechając się przez łzy. – Bo wcześniej nie chciałam ci tego mówić... Wiesz, to całe zamieszanie. Ale będziemy mieli... – Opuściła oczy.

– Co? – spytał nie dowierzając. – Chyba nie chcesz powiedzieć...

– Ależ tak. – Poklepała się po lekko uwypuklonym już brzuchu. – Cieszysz się?

Ale on jedynie patrzył na nią w milczeniu, otwierając usta szeroko, jak wyrzucona na brzeg ryba.

Przełożył Radosław Kot

# I kto to mówi...

O zmarłym profesorze Ephraimie Hakachniku napisano miliony słów pełnych nienawiści i jadu, oczerniając go i obrażając na papierze. Papier jest cierpliwy, więc wszystko przyjął. Mnie już nie starczyło cierpliwości, toteż zdecydowałem się wreszcie skorygować pewne opinie i wyjaśnić sporne kwestie. Zdaję sobie sprawę, że ryzykuję ściągnięcie na siebie gniewu tak zwanych autorytetów, ale nie zmusi mnie to do milczenia – nie zabierałem głosu już zbyt długo. Nadszedł czas prawdy, gdyż tylko prawda, obojętne jak zwariowana by się wydawała, może ukazać zmarłego we właściwym świetle, na co bezwzględnie zasłużył.

Uczciwie przyznaję, że na początku naszej znajomości byłem przekonany, iż profesor jest – eufemistycznie rzecz ujmując – ekscentrykiem przekraczającym nawet normy przyjęte na zapyziałych uczelniach położonych tam, gdzie bociany nie dolatują. Z wyglądu robił wrażenie wielkiej klasy niechlujka ukrytego za bujną brodą, z zasady nie czesaną. Nie golił się z dwóch powodów – po pierwsze oszczędzał na żyłtkach, po drugie nie znosił krawatów.

Notabene prawie każdym jego zachowaniem kierowała chęć osiągnięcia podwójnego celu, o czym dobitnie świadczy to, że był profesorem tak nauk humanistycznych, jak i ścisłych. Na Uniwersytecie Miskatonic prowadził dwa przedmioty – fizykę kwantową i konwersatorium indoeuropejskie. Takie właśnie, pozornie nie związane ze sobą umiejętności umożliwiły mu dokonanie odkrycia, o którym chcę opowiedzieć, oraz pozwoliły teorię połączyć z praktyką, czyli zbudować urządzenie, bez którego cała teoria byłaby kolejną naukową mrzonką.

Jako magistrant byłem blisko profesora i prawdę mówiąc byłem przy tym, gdy wpadł na pomysł, który zaowocował słynnym odkryciem. Gdyby zostało ono właściwie wykorzystane, znacznie zwiększyłoby sumę ludzkiej wiedzy, ale cóż... Było słoneczne czerwcowe popołudnie i przyznaję, że drzemałem nad kolejnym zwojem z Morza Martwego, którego lektura była wybitnie usypiająca. Obudził mnie chrapliwy wrzask odbijający się echem nawet od osłoniętych regałami ścian biblioteki.

– Neobican! – Profesor w stanie podniecenia miał skłonności do serbsko-chorwackiego. – Neobican!

– Co jest tak wspaniałe, panie profesorze? – zdziwiłem się uprzejmie.

– Posłuchaj no tego cytatu z Edwarda Gibbona, jest zaiste inspirujący. Zwiedzał właśnie ruiny Kapitolu, gdy był łaskaw zapisać, co następuje: ”Gdy tak siedziałem wśród ruin Kapitolu, słuchając śpiewu modlitw bosych kapłanów w świątyni Jupitera... przyszedł mi do głowy pomysł opisanie zmierzchu i upadku tego miasta. ” Czyż to nie wspaniałe, mój chłopcze? Toż to dech zapiera, prawdę mówiąc: oto mamy historyczny początek znanego i wielkiego przedsięwzięcia. Po dwunastu latach i napisaniu pięciuset tysięcy słów Gibbon ukończył Zmierzch cesarstwa rzymskiego. Nadzwyczaj inspirujące.

– Inspirujące? – spytałem tępo, czując, że ponownie ogarnia mnie senność.

– Osieł! – oświadczył dobitnie profesor, po czym dodał kwiecistą wiązanek babilońską, zdecydowanie nie nadającą się ani do przekładu, ani do publikacji. – Nie masz poczucia perspektywy? Nie rozumiesz, że każde wielkie wydarzenie w naszej historii musiało mieć jakiś początek? Że ktoś kiedyś musiał powiedzieć coś, co jego albo innych natchnęło pomysłem?

– To raczej oczywiste – zauważyłem skromnie.

– Imbecyl! Nie rozumiesz nawet najogólniejszego zarysu pomysłu?! Pomyśl, niemoto: potężna sekwoja o pniu tak szerokim, że przebito przezeń tunel, aby samochody mogły tam przejeżdżać, kiedyś była drobiazgiem, na który żaden szanujący się pies nie zwróciłby uwagi!

Czy to cię nie fascynuje?

Wymamrotałem coś niewyraźnie, że niespecjalnie, i ledwie profesor się odwrócił, ponownie przysnąłem.

Przyznaję, że o całej sprawie nie pamiętałem, dopóki po jakichś dwóch tygodniach nie dostałem zaproszenia do gabinetu profesora.

– Przypatrz no się temu – zagaił z dumą profesor, pokazując na zwykłe radio, tyle że z pękniętą obudową i ze znacznie większą niż zwykle liczbą pokręteł i skal.

– Fajnie! To finałów posłuchamy sobie razem!

– Stumpfsinnig Schwein! – warknął, gdy odzyskał głos. – To nie jest jakieś tam głupie radio, ty techniczny analfabeto! To całkowicie nowe urządzenie, które najpierw wymyśliłem, a teraz właśnie skończyłem konstruować. To jest Temporalny Akustyczny Psychoenergetyczny Odbiornik, w skrócie TAPO. Teorii i techniki nie będę ci tłumaczył, bo i tak słowa nie pojmiesz. Praktycznie urządzenie to wychwytuje i wzmacnia głosy z przeszłości, dzięki czemu można je zapisywać. Słuchaj i podziwiaj!

Profesor włączył owo cudo techniki i przez dobrą chwilę dostrajał je, aż w końcu uzyskał coś, co do złudzenia przypominało faceta z katarem, usiłującego udawać świnię z czkawką.

– I kto to mówi? – zaciekawilem się.

– Protojapoński, przecież słychać – mruknął, nie odrywając rąk od pokręteł. – Mniej więcej osiemnasty wiek przed naszą erą. Coś gadają o zbożach i barbarzyńcach. Widzisz, chłopcze, największym problemem jest to, że muszę słuchać wszystkich tego typu bzdur, zanim trafi się okazja na początek czegoś naprawdę ważnego. Ale muszę przyznać, że sporo ciekawostek już zapisałem: ta sterta papieru, którą tu widzisz, to moje pierwsze sukcesy.

Jeszcze nieco fragmentaryczne, ale wiadomo: najtrudniejszy pierwszy krok. Udało mi się dotrzeć do początków kilku naprawdę ważnych wydarzeń i dokładnie spisać, co, kto i kiedy powiedział. Naturalnie przekłady są do poprawienia i wygładzenia językowego i historycznego, ale tym możemy się zająć później. Nareszcie badam coś naprawdę istotnego.

Obawiam się, że dobrowolnie wówczas zrezygnowałem z jego towarzystwa i wybrałem mecze finałowe. To właśnie wtedy ostatni raz widziałem go żywego. Podobnie zresztą jak reszta ludzkości. Kartki, które mi pokazał, uznano za bązgroły obłąkańca, nie rozumiejąc ich prawdziwej wartości, i wyrzucono. Część z nich udało mi się uratować i teraz przedstawiam je po raz pierwszy szerszej publiczności, aby oceniła ich rzeczywistą wartość.

Choć bowiem są fragmentaryczne, jednak ich treść rzuca nowe światło na wiele dotąd mrocznych zakamarków naszej historii.

„...nawet jeśli ten pałac jest moim domem, to i tak jest za mały, odkąd pojawiła się tu moja nowa macocha, która jest okropnym babsztylem. Miałem nadzieję spokojnie kontynuować studia filozoficzne, ale coś mi się zdaje, że to zdecydowanie niemożliwe. Chyba lepiej będzie zebrać wojsko i dać wycisk sąsiadom, może mi cholera przejdzie.”

Aleksander, Macedonia, 336 r. p.n.e.

„... ”gorąco” nie jest właściwym słowem: cała Wirginia przypomina tego lata jeden wielki piekarnik. Kiedy nadarzy się okazja, żeby trochę zarobić, jak będą mierzyli te wzgórza, muszę się tym zająć, zanim Ministerstwo Finansów zmieni zdanie. W ten sposób dziś spotkałem w gospodzie tego, jak mu było... cholera, zapomniałem, będę musiał go jutro spytać! Wypiliśmy po piwku, narzekając na upał. Od słowa do słowa, i po paru następnych piwkach nabrał do mnie zaufania. Jest członkiem jakiegoś tajnego klubu, jeśli dobrze pamiętam, Synowie Wolności czy jakoś tak...”

George Washington, 1765 r.

„...Francja straciła wielkość, skoro uczciwy wynalazca nie jest w stanie czerpać korzyści ze

swej pomysłowości. Przez miesiące doskonaliłem Maszynkę Do Cięcia Salami, co powinno mi przynieść fortunę: każdy rzeźnik w kraju powinien zabijać się o przenośny egzemplarz. I co mam? Gówno – Konwent używa modelu stacjonarnego, nie płacąc mi ani sou. A po tym, jak ją zaczęli wykorzystywać, nie dziwię się, że żaden uczciwy rzeźnik nie ma ochoty jej kupić”. dr n. med. J. I. Guillotine, 1791 r.

„Jezu, ale mnie głowa boli! Niech no ja dorwę tego skurwysyna, który na Fetter Lane wyrzucił wczoraj nocnik! Nogi z tyłka mu powyrywam albo łeb rozwalę tym gównianym naczyniem... Już się zdążyłem nauczyć, że w tym zawszonym Londynie trzeba ciągle uważać i szybko się ruszać, jeśli się chce uniknąć zawartości nocników wylewanych bez ładu, składu i porządku z górnych pięt. Niech już będzie; co kraj to obyczaj. Ale zawartości, nie pojemników! Swoją drogą trzeba mieć pecha, żeby człowieka trafił akurat jedyny spadający nocnik w okolicy... Gdy mi łeb przestanie pękać, muszę się dokładniej zastanowić, jak to jest z tym spadaniem...” sir Isaak Newton, 1682 r.

„...I. boi się, że F. wie! A jeśli faktycznie wie, to marny mój los. Gdyby I. nie była tak pociągająca, może bym znalazł drogę do innej łożnicy, a tak sama mnie do niej zaprosiła.

Powiedziała, że sprzeda trochę biżuterii i kupi mi te trzy statki, o których niedawno rozmawialiśmy. Ostatnim miejscem, gdzie chciałbym się znaleźć w pełni madryckiego sezonu, są te zapowietrzane Wyspy Korzenne, ale to F. tu rządzi. A jak król się dowie, to lepiej być jak najdalej stąd...”

Cristoforo Colombo z Genui, 1492 r.

[prawdopodobnie, bo były niesamowite zakłócenia]

„Na szczęście kupiłem Pierre’owi tego Małego Budowniczego! Jak tylko zaśnie, muszę mu zabrać tę śmieszna wieżę, którą właśnie skończył. Na nic się nie przyda organizatorom Wystawy, ale przynajmniej dadzą mi święty spokój!”

Alexandra Gustave Eiffel, 1888 r.

„Biada Chinom! Kolejny rok nieurodzaju i coraz gorszego kryzysu. Miliony bezrobotnych, a jedyny plan wydający się mieć szansę odrodzenia to projekt budowlany Wah-

Ping-Aha. Ten zapaleniec twierdzi, że ta budowa rozbudzi ekonomię i ponownie spowoduje cyrkulację pieniądza. Może i prawda, ale pomysł zupełnie obłąkany – budować mur długości tysiąca pięciuset mil! I jeszcze chce, żeby go nazywać budową WPA! Jeszcze czego! Trzeba to jakoś sensownie nazwać i wmówić ludziom, że to powstrzyma barbarzyńców. Wszystkie wydatki na zbrojenia da się przepchnąć, byle ludność była wystarczająco nastraszona.” cesarz Shih Hwangti, 252 r. p.n.e.

„Dziś będzie pełnia, to spokojnie znajdę drogę na właściwy balkon. Wolałbym co prawda nie zbliżać się do tej zwariowanej rodzinki, ale Maria to najlepsza cizia w całym mieście! Julia przy niej wygląda jak kwit na węgiel, a niby siostry! Obiecała, że zostawi otwarte okno...”

Romeus Montague, 1562 r.

[Wyjątek z dziennika okrętowego:]

„Dziś wylądowaliśmy na skalistym brzegu. Nawigacja woła o pomstę do nieba – kierowaliśmy się do Wirginii, a wylądowaliśmy w Massachusetts! Jak kiedyś dorwę tego gówniarza, co świsnął kompas, to kwakier, nie kwakier...”

Mayflower, 1620 r.

Przykładów jest znacznie więcej, ale powyższe są chyba wystarczającym dowodem, że profesor Hakachinik był geniuszem wyprzedzającym swoje czasy, a nie niezrównoważonym szaleńcem, jak go po śmierci określano. Ponieważ ta śmierć i jej przyczyny stały się pożywką dla rozlicznych plotek, podaję prawdę, do czego mam pełne prawo, ponieważ to ja odkryłem jego ciało. To kłamstwo, i to

wierutne, że popełnił samobójstwo. Zawsze kochał życie, na pewno nie dolegało mu nic nieuleczalnego i, o ile wiem, miał nader konkretne plany na kilka najbliższych lat. Nie został też porażony prądem, choć siedział w pobliżu TAPO, który był stopiony, jakby przepłynął prąd wyjątkowo silny prąd elektryczny. Oficjalnie przyczyną zgonu, jak zapisano, był atak serca; jest to częściowo prawda – skoro był martwy, a serce nie funkcjonowało, to bez dwóch zdań można było wszystko zwać na serce.

Gdy go znalazłem, siedział przy biurku tak, aby głośnik odbiornika skierowany był prosto w jego ucho. W palcach ścisnął jeszcze pióro, a na leżącej na blacie kartce zapisana była niekompletna relacja kolejnego nasłuchu – najwyraźniej zmarł w trakcie notowania.

Notatka była w staronormańskim, który dla wygody nie znających tego interesującego skądinąd języka przetłumaczyłem na angielski:

„...ta narada w końcu się odbędzie, więc jak nie skończycie chlać i nie odstawicie tych obślinionych rogów, to dam po łbach, pijaki jedne! Tak już lepiej. No, to do rzeczy.

Probleмами Yggdrasilla zajmiemy się później, ważniejszy jest doprowadzony piachem beton w fundamentach mostu Bilfrost. Już zaczyna się sypać i chcę, żeby... Chwileczkę! To miała być zamknięta narada, prawda? To jakim prawem ktoś nas podsłuchuje?! Thor, bądź łaskaw zająć się tym natrętem...”

Przełożył – Jarosław Kotarski

# Uwiedzenie

## Opowieść z dnia nader pojutrzejszego

Pojawienie się pięknej dziewczyny nie było tu niczym nowym. Na obszernym, komfortowo urządzonej dachu dwustupietrowego wieżowca Sardiego dziewczyny, szczególnie te piękne, uchodziły za zjawisko powszednie. Nikt zatem nie zwrócił uwagi na rudzielca w zielonym kostiumie aż do chwili, gdy dziewczyna stanęła przed Ronem Lowellem-Steinem i wymierzyła mu policzek, aż echo poszło.

Nadrabiający wcześniejszy brak czujności ochroniarze napięli muskulaturę i odciągnęli dziewczynę, a jeden posunął się nawet tak daleko, że przytknął jej lufę pistoletu do podstawy kręgosłupa.

– No dalej, zabij mnie – powiedziała napastniczka, potrząsając długimi do ramion włosami. Na jej twarzy bladość ustępowała miejsca rumieńcowi gniewu. – Dodaj jeszcze jedno morderstwo do długiej listy twoich występów.

Ron był zawsze uprzejmy wobec kobiet, wstał zatem niezwłocznie i skinieniem głowy odprawił ochronę.

– Może zechce pani usiąść i wyjaśnić, o jakich to występach mowa? – spytał.

– Nie sil się na hipokryzję, ty młodociany Don Juanie. Mówię o mojej przyjaciółce, Dolores, dziewczynie, którą zniszczyłeś.

– Doprawdy? Skłonny byłem sądzić, że ma zapewniony byt na wiele lat. – Tym razem zdążył złapać jej nadgarstek; dzięki częstej grze w polo i helihokeja oraz strzelaniu do rzutków miał wyrobione mięśnie i szybki refleks. – To głupota. Może byśmy tak usiedli i porozmawiali jak cywilizowani ludzie? Zamówię black velvet. Jeśli nigdy nie próbowała pani tego szampana, to zapewniam, że znakomicie koi skołatane nerwy.

– Nie usiądę przy jednym stoliku z mężczyzną pańskiego pokroju – prychnęła dziewczyna, zajmując jednak miejsce. Trzymana wciąż za nadgarstek, nie miała większego wyboru.

– Jestem Ron Lowell-Stein. Wiem, że mnie pani nie cierpi, ale nie przedstawiła się pani...

– Pieprzę konwenanse. Nie pańska sprawa.

– Kobiety powinny zostawić przeklinanie mężczyznom, którzy są w tym o wiele lepsi.

Spojrzał na ochroniarza, który właśnie podawał mu wydruk z kieszonkowego faksu.

– Beatrice Carfax – odczytał. – Ponieważ nie przepadam za klasycznymi imionami, będę nazywał panią Bea. Ojciec... matka... urodzona... No proszę, kochana, ma pani dopiero dwadzieścia dwa lata, grupa krwi O, tancerka. – Otaksował spojrzeniem jej sylwetkę. – Tancerki są zwykle cudownie umięśnione.

Dziewczyna splonęła rumieńcem i odsunęła ustawiony właśnie przed nią kryształowy puchar z ciemnym, musującym płynem. Ron postawił naczynie z powrotem na miejsce.

– Nie sądzę, abym rzeczywiście zaszkodził pani przyjaciółce imieniem Dolores – powiedział. – Skłonny byłem raczej uważać, że czynię jej przysługę. Niemniej, ponieważ jest pani osobą atrakcyjną i zdecydowaną, przekazę jej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które to wiano wytlumi wszelkie możliwe obiekcje jej potencjalnego męża.

Beatrice aż zatkało, gdy usłyszała, o jaką chodzi sumę.

– Nie mówi pan poważnie.

– Ależ jak najbardziej. Jest tylko jeden warunek. Zje pani dziś ze mną kolację. Potem obejrzymy przedstawienie baletowe w wykonaniu chorwackiego zespołu tanecznego.

– Myśli pan, że może narzucić mi swoją wolę? – spytała zaczepnie dziewczyna.

– Och, bogowie – westchnął Ron, ocierając oczy białą chusteczką. – Przepraszam za mój atak śmiechu, ale muszę przyznać, że nigdy jeszcze nikt nie powiedział mi tego głośno.

Podoba mi się pani, Beo. Jest pani naturalna i naiwna, to czyste błogosławieństwo dla dziewczyny, szczególnie tak kształtnej. Mój szofer przyjedzie po panią o siódmej. A co do pytania, to będę szczery, o wiele bardziej szczery niż z innymi dziewczętami, które zazwyczaj oczekują po mnie stworzenia romantycznej aury: tak, zamierzam skłonić panią, aby była mi powolna.

– Nie uda się panu!

– No to tym bardziej nie ma się pani czego obawiać. Proszę założyć suknię ze złotymi cekinami. Bardzo chcę ujrzeć panią w takim właśnie stroju.

– O czym pan mówi? Nie mam takiej sukni.

– Ma pani. Zostanie doręczona, zanim jeszcze wróci pani do domu.

Nim dziewczyna zdążyła zaprotestować, przy stoliku wyrósł szef sali.

– Scusi mille, panie Lowell-Stein, ale pańscy goście już przyszli.

W polu widzenia pojawiło się dwóch łysiejących biznesmenów z zaokrąglonymi brzuskami, na oko Brazylijczyków. Przywitali się z gospodarzem, ochroniarze tymczasem pomogli Bei wstać i w nie znoszący sprzeciwu sposób poprowadzili ją do wyjścia. Starając się zachować resztki godności, dziewczyna odsunęła się od przewodników i sama zniknęła za progiem. Skonfundowana wróciła do domu, to jest mieszkania, które zajmowała razem z nieszczęsną Dolores.

– Święta matko! – pisnęła przyjaciółka, gdy Beatrice stanęła w drzwiach. – Popatrz tylko na to!

W dłoniach trzymała dopiero co wypakowaną suknię, dzieło prawdziwego artysty.

Tkanina mieniła się niczym złociste zwierciadło, a w tym otoczeniu (i okolicznościach) wydawało się, że naprawdę jest z drogiego kruszcu. W rzeczy samej, wprowadzie dziewczyny o tym nie wiedziały, ale cekiny wykonano z osiemnastokaratowego złota.

– To od niego – warknęła Beatrice, odwracając głowę.

Nie przyszło jej to łatwo, suknia bowiem była naprawdę przepiękna. W krótkich słowach dziewczyna wyjaśniła przyjaciółce, co zaszło, a gdy skończyła, Dolores pogładziła materiał i uśmiechnęła się.

– No, to masz dziś z nim randkę – powiedziała. – Nie chodzi tylko o mnie, chociaż sama wiesz, pięćdziesiąt kawałków to kupa forsy. Idź i baw się dobrze.

Beatrice zapłonęła oburzeniem.

– Chcesz, żebym poszła? Po tym, co ci zrobił?

– Stało się i trudno. Ale skoro możemy jednak na tym skorzystać... Podzielę się z tobą po połowie. Na dodatek najesz się. Ale jedno ci radzę, bo nigdy nic nie wiadomo: uważaj na tylne siedzenie w jego samochodzie.

– To zbyt intymne sprawy...

– Nie pękaj. Całkiem miłe miejsce, lepsze niż zwykła tapicerka, którą wygniatało się w szkolnych czasach. To było zaraz po przedstawieniu, czekałam na taksówkę, gdy ten wielki wóz zatrzymał się dokładnie przede mną. Gość zaproponował, że mnie podwiezie. Żadna sprawa. Z przodu siedział kierowca i jeszcze dwóch goryli, ale skąd miałam wiedzieć, że szyby dają się przyciemnić, światła przygasić, a całość zmienia się błyskawicznie w łożę z jedwabnymi prześcieradłami. I jeszcze muzyczka, coś do picia... Po prawdzie, słońko, to wszystko stało się tak nagle i było tak niesamowite, że połapałam się we wszystkim dopiero wtedy, gdy wysiadałam z samochodu. A ty się jeszcze najesz. Ja miałam z tego tylko podarte pończochy, chociaż zaoszczędziłam na taksówce.

Beatrice pomyślała chwilę.

– Chcesz powiedzieć – spytała zdumiona – że ze mną będzie tak samo? Nie jestem taka!

– I co z tego? Ja też nie. Ale byłam bez szans.

– Ja załatwię to inaczej! – stwierdziła pewnym głosem, a w szarzielonych oczach zapaliły się uparte ogniki. – Żaden mężczyzna nie zmusi mnie do... do czegokolwiek, czego bym nie chciała.

– No to mu pokażesz, słonko – powiedziała Dolores, przesuwając pieśczośliwie dłonią po sukni. – Miłej kolacji.

O szóstej chłopak w liberii przyniósł perfumy. Całą kwartę aperge.

O szóstej trzydziści inny posłaniec dostarczył szarawą etolę i liścik następującej treści: "By ogrzać bezcenne ramiona".

Złota suknia pozbawiona była rękawów i naramek, a etola pasowała do niej wręcz idealnie. Całość robiła wrażenie. O siódmej, gdy znów zakołatano do drzwi, dziewczyna była gotowa. Wyszła, trzymając się prosto i dumnie. Już ona mu pokaże.

– Pan Lowell-Stein przysłał swój helikopter, zamiast samochodu. Powiedział też, że...

– Tutaj posłaniec dotknął schowanego w kieszeni odtwarzacza i rozległ się melodyjny głos Rona: – Im szybszy pojazd, tym rychlej będziesz ze mną, kochana.

– Prowadź – stwierdziła opryskliwie dziewczyna. Po cichu cieszyła się, że ominie ją podróż zautomatyzowaną sypialnią na kółkach. Chociaż, z drugiej strony, kto wie, jakie innowacje zamontowano w tym śmigłowcu...

Jeśli nawet maszyna miała swoje tajemnice, tym razem ich nie ujawniła. Lot był krótki i zakończył się na marmurowym balkonie lśniącego wieżowca Lowella-Steina. Była to monumentalna budowla, biurowiec i mieszkanie zarazem, siedziba ogarniającej swymi mackami cały świat korporacji Lowell-Stein Industries.

– Wyglądasz cudownie, kochana. Witaj w moim domu – powiedział przystojny i pełen szacunku gospodarz.

Beatrice postanowiła podgrzać nieco atmosferę.

– Całkiem udany śmigłowiec – stwierdziła lodowatym głosem. – Szczególnie, że nie zmienia się w latający kurwi-spodek.

– Ależ oczywiście, że może zmienić się w niejedno, chociaż nie dla ciebie. Nas czeka najpierw kolacja i przedstawienie.

– Jak śmiesz!

– Ja? Bierzesz w tym udział z własnej woli, sama mi to powiedziałaś. Teraz proszę do środka.

Szklana ściana uniosła się i bezgłośnie opadła za nimi.

– Proponuję koktajl. Jestem nieco staroświecki, zatem drinki też będą tradycyjne.

Martini, wódka albo gin, co wolisz?

Ron wskazał na obraz Goi Maja naga (oczywiście oryginał), który odsunął się, ukazując barek, a w nim niezliczone szeregi butelek zawierających wszystkie gatunki wódki i ginu, jakie ludzkość wyprodukowała od czasów, gdy świat był jeszcze młody. Beatrice musiała uznać swą ignorancję. Nie dość, że nie miała ulubionego gatunku wódki, ale nie wiedziała nawet, co to jest takiego martini. Machnęła zatem beztrąsko ręką.

– Ty zapraszałeś, to wybierz teraz coś stosownego.

– Wspaniale. Zatem gin bombay i kropelka noilly prat, w proporcji tysiąc do jednego, bo tak należy to podawać.

Automatyczny barman dosłyszał polecenie, szeregi butelek poruszyły się. Królowa Wiktoria zmierzyła je z góry spojrzeniem. Chromowane ramię odłowiło stosowną butlę, otworzyło,



przechyliło i wylało zawartość prosto w powietrze.

– Och – szepnęła Beatrice, gdy trunek pociekł prosto na dywan.

– To taki pokaz – wyjaśnił Ron – ale lubię podobne efekty.

W ostatniej chwili spod podłogi wyrósł kielich i przechwycił strugę, nie roniąc przy tym ani kropelki.

Z zafascynowaniem przyglądała się, jak maszyna produkuje drinka. Pole magnetycznie pojmało objęty metalową taśmą kielich i uniosło go do poziomego oczu. Do zawieszzonego w powietrzu kielicha maleńka dysza dodała rozpyloną esencję wermutu. Ron lekko trącił kielich i po pokoju rozszedł się delikatny aromat.

– Lubię kończyć rzecz osobiście – stwierdził. – Dopiero wtedy trunek nabiera prawdziwego smaku.

Raz, dwa, trzy... Wypełniona helem spirala zmroziła płyn do pożądanej temperatury (z dokładnością do tysięcznych części stopnia), na krańcu teleskopowego ramienia pojawiły się identycznie schłodzone szklanki.

– Cebulka czy cytrynka? – spytał Ron.

– Zostawiam decyzję tobie – odparła z uśmiechem.

– Zatem jedno i drugie. Niech to będzie wieczór sybarytów.

Stosowny manipulator dostarczył plasterki cebulki oraz cytryny i po chwili gospodarz mógł wręczyć Beatrice gotowy napitek.

– Proponuję toast – oznajmił. – Za naszą miłość.

– Proszę bez takich poufałości – mruknęła dziewczyna, smakując drinka. – Całkiem dobre.

– Jest tak dobre, że uzależnia. To nie była poufałość. Przypominam jedynie, że nim ta noc się skończy, zaznasz najwyższej rozkoszy.

– Nic z tych rzeczy. – Odstawiła szklankę i wstała. – Jestem głodna i chętnie poszłabym coś zjeść.

– Przepraszam, ale nie wspomniałem, że jeść będziemy u mnie. Pewien jestem, że ci zasmakuje. Mamy twój ulubiony ristaffel. Jak wiem, uwielbiasz indonezyjską kuchnię. – Ujął jej łokieć i poprowadził dziewczynę do jadalni. – Zaczniemy od loempii, potem nasi-goreng sambal olek, co zaś do wina, to znalazłem coś idealnie pasującego do tych egzotycznych potraw.

Ukryta orkiestra zaczęła grać, pojawiły się świątynne tancerki. Pierwsze danie parowało już na stole, krąg z przyprawami i sosami obracał się z wolna. Beatrice nie wątpiła już, że ryż będzie dogotowany i syпки. Owszem, uwielbiała taką kuchnię, ale należało nieco popsuć szyki przeciwnikowi.

– Owszem, jadam to czasem, ale to tyle – powiedziała jakby znudzonym głosem, łowiąc jednocześnie zapachy tak smakowite, aż ślinka zaczęła jej się zbierać mimowolnie pod językiem. – Najbardziej lubię...

Co niby? Spróbowała przypomnieć sobie coś naprawdę egzotycznego.

– Duńską kuchnię. Te kanapki przyrządzone na duński sposób...

– Uchroniłaś mnie od popełnienia niewybaczalnego błędu – powiedział Ron. – Usunąć to.

Beatrice aż się wzdrygnęła, gdy cały stół z zastawą zapadł się pod podłogę. Zanim drzwi zapadły wróciły na swoje miejsce, dobiegł ją jeszcze łomot i brzęk. Bardzo dobrze, musi teraz wyrzucić srebrną zastawę, kryształ, żarcie. Orkiestra i tancerki zniknęły z podium tak gwałtownie, że przez chwilę dziewczyna gotowa była sądzić, że i oni trafią do zsypu.

– Podoba ci się Rembrandt? – spytał gospodarz, wskazując na obraz na tylnej ścianie.

Spojrzała.

– Nocna straż. Jeden z moich ulubionych...

– Myślałam, że to było w Holandii... – zaczęła, ale urwała, aby spojrzeć na środek jadalni, gdzie znów coś się działo.

Z podłogi wyłonił się długi dębowy stół i pasujące doń wysokie krzesła. Stół był, rzecz jasna, nakryty.

– Smrrebrod – powiedział Ron – to nie są zwykłe kanapki. Jest ich tu pięćset, zatem chyba trafisz na ulubione. I jest piwo, tuborg, rzecz jasna. Oto ciasteczka, jedyne szlachetne potrawy, które najlepsze są właśnie z piwem i okowitą. Podaje się je zmrożone w bloku lodu.

Wszystko zgodnie z regułami.

Tego akurat nie wiedziała, ale uznała, że nigdy za późno na naukę. Nałożyła sobie i wzięła się do jedzenia. Nie mogła zebrać myśli, co rusz gubiła wątek migoczący niby płomień stojących przed nią świec. Zanim jednak skończyła konsumpcję, ochłonęła i wróciła jej pewność siebie. Przypomniała sobie, gdzie jest i o co chodzi.

– Uważasz, że można mnie kupić – powiedziała, przełykając ostatnie łyżki rofrde grobd med flide. – Mam dać się ponieść wrażeniu i z wdzięczności...

– W żadnym wypadku. – Uśmiechnął się czarująco. – Nie zaprzeczam, że wiele dziewczyn można kupić samym tylko drinkiem i zaproszeniem do stołu, ale nie ciebie. To tylko dla twojej przyjemności, ja zaś muszę, chcąc nie chcąc, czekać na następny twój kaprys.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. W prostych kulturach obowiązuje wzór zachowania podobny do układu partnerskiego: obie strony dogadują się, nie ma zwycięzcy ani pokonanego. My straciliśmy tę umiejętność, odeszliśmy od prostoty zachowań na rzecz różnych symbolicznych substytutów, na rzecz rytuału. Wróciliśmy w ten sposób do czegoś na kształt tańca godowego, który zwykliśmy zwać uwodzeniem. Kobieta ulega mężczyźnie, przez co pozostaje bez winy.

Chociaż w rzeczywistości oboje czerpią z tego tyle samo radości, to zgodnie z regułami naszej kultury kobieta jest niewinna. Uwiedzenie jest prostą wymówką i kobiety nie mają zwykle nic przeciwko takiemu semantycznemu oszustwu. Wystarczy znać figury tańca godowego i wobec każdej kobiety trzeba zastosować nieco inne kroki. Sprawą kobiety jest wówczas ulegać, sprawą mężczyzny znajdować sposoby osiągnięcia celu.

– Nie wobec mnie!

– Mylisz się, także wobec ciebie. Nie jesteś inna, skoro wychowałaś się w tej kulturze, tkwisz w niej. Tyle tylko, że reprezentując pewien poziom, nie zadowolasz się chwytami takimi jak upicie, brutalna siła, prosta zapłata czy coś podobnie plebejskiego. Znajdziemy jednak. Zanim świt wstanie, poznamy klucz i do twojej osoby.

– Nie chcę o tym więcej słyszeć – powiedziała, upuszczając łyżkę i wstając. – Chodźmy już do tego teatru.

Może gdy wyjdą, będzie wreszcie bezpieczna. Już tu nie wróci.

– Proszę bardzo.

Podał jej ramię. Ruszyli ku przeciwległej ścianie, a ta uniosła się bezszelestnie, odsłaniając widownię z dwoma tylko miejscami.

– Wynająłem cały zespół na dzisiejszy wieczór. Czekają tylko na znak.

Mowę jej odjęło, usiadła więc i aż do końca przedstawienia trwała w zdumieniu.

Nagrodziwszy artystów oklaskami, czekała już tylko na jego następny ruch. Zdumiała się, że jedynie wziął ją za rękę.

– Nie powinnaś się mnie bać – powiedział. – Nie bywam gwałtowny. Wobec ciebie takie

zachowanie byłoby zresztą bez sensu, kochana. Proponuję ci teraz kieliszek zwykłego koniaku i porozmawiamy może o wspaniałym przedstawieniu, które dane nam było obejrzeć.

Wyszli przez jedyne tu drzwi, które prowadziły do nastrojowego wnętrza, gdzie węgierski skrzypek grał rzewne cygańskie pieśni. Ledwie usiedli przy stoliku, pojawił się kelner z butelką w wyściełanym koszyku. Ustawił ją troskliwie pośrodku stołu.

– Nie pozwalam nikomu otwierać butelek w mojej obecności, zawsze robię to sam.

Korki są tak kruche – stwierdził Ron i dodał: – Podejrzewam, że nigdy jeszcze nie próbowałaś napoleona?

– Jeśli to jest z Kalifornii, to musiałam próbować – powiedziała szczerze.

Ron przymknął oczy.

– Nie – odparł zduszonym głosem. – Tego trunku nie robi się w stanie Kalifornia, ale we Francji, ojczyźnie win. Koniak ten został wydestylowany, zabutelkowany i złożony w piwnicach za krótkiego, ale pełnego chwały panowania cesarza Napoleona Bonaparte...

– To chyba setki lat temu?

– Właśnie. A z każdym rokiem cesarski koniak nabierał nieco smaku. Zatrudniam ludzi, których jedynym zadaniem jest przetrząsanie najdalszych zakątków świata, by za każdą cenę zdobyć to, co najlepsze. Nie będę się zniżał do spraw tak przyziemnych, jak koszt tej butelki. Sama uznasz z pewnością, że było warto.

Mówiąc to, ostrożnie zajął się wyciąganiem korka w jednym kawałku. Z lekkim cmoknięciem zamknięcie ustąpiło i butelka została błyskawicznie opatulona serwetką.

Gospodarz napełnił pieczołowicie dwa pękate kieliszki, każdy do połowy wysokości.

– Najpierw powąchaj bukiet – powiedział, podając jeden dziewczynie. – Potem dopiero upij odrobinę.

Posłuchała.

Gdy unieśli kieliszki do warg, w pokoju zapadła cisza. Dziewczyna spojrzała ze zdumieniem, w oczach miała łzy.

– Czemu... to jest, jest...

– Wiem – wyszeptał i pochylił się nad nią.

Światła przygasły, skrzypek zniknął dyskretnie. Ron musnął wargami białą skórę na ramieniu dziewczyny, ucałował ją, przesunął wargi ku szyi...

– Och – jęknęła i uniosła rękę, by pogłaskać go po włosach. – Nie! – krzyknęła głośno i odsunęła się.

– Byliśmy blisko – rzekł gospodarz i uśmiechnął się, siadając wygodnie na krześle. – Naprawdę blisko. Ulegasz emocjom, dajesz się porwać chwili. Musimy jeszcze dograć szczegóły, a znajdziemy klucz.

– Nigdy – wykrztusiła.

Ron tylko się roześmiał.

Dokończyli brandy, światła pojaśniały i dyskretny promyk srebrzystego światła wystrzelił z nogi krzesła, muskając suknię dziewczyny. Kiedy Beatrice wstała, strój zaczął się nagle rozsypywać, złotymi drobinami opadając na podłogę.

– Moja suknia! – jęknęła dziewczyna, chwytając strzępy materiału. – Co się dzieje?

– Znika – odparł Ron i usiadł, by w wygodnej pozycji podziwiać widowisko.

Tkanina rozpadała się coraz szybciej, aż została z niej tylko kupka złotych cekinów na podłodze.

– Czarne koronki na białym ciele – mruknął z aprobatą Ron. – Założyłaś je specjalnie dla mnie.

I te różowe wstążeczki przy pończochach.

– To paskudne i chamskie. Nie cierpię pana. Proszę mi oddać ubranie – powiedziała gniewnie, zaciskając pięści.

Była zbyt dumna, by zakryć dłońmi ledwie okryte cieniutką bielizną miejsca intymne.

– Brawo. Widzę, że jesteś rudzielcem z temperamentem. Godne podziwu. Za tymi drzwiami znajdziesz całą garderobę, a w niej kostium kąpielowy. Teraz będziemy pływać.

– Ale ja nie chcę... – powiedziała. Na próżno jednak, bowiem podłoga przesunęła się i poniosła ją w kierunku dyskretnie ukrytego buduaru, gdzie czekała już wystrojona w biel i czerń francuska pokojówka. Przez ramię przewiesiła jednocześnie biały kostium kąpielowy. Uśmiechała się tylko, gdy mechaniczne ramiona zdjęły resztę własnej garderoby dziewczyny.

– Proszę sobie nie zaprzętać tym głowy, mademoiselle – powiedziała pokojówka. – Te koronki i tak były bez wartości, teraz dostanie pani o wiele lepsze i będą służyć długie lata.

Jeśli tylko pani zechce.

– I tak nie mam wyboru. Ale nic mu z tego nie przyjdzie – mruknęła Beatrice i spróbowała się wyrwać, gdy manipulatory znów ją złapały i coś zimnego wpełzło jej do nozdrzy.

– Współczesna nauka czyni cuda – stwierdziła pokojówka, wygładzając maleńkie fałdki na przylegającym ciasno do ciała kostiumie. – Proszę oddychać tylko przez nos, a wszystko będzie w porządku. Au revoir. Et bonne chance.

Zanim Beatrice zdążyła zaprotestować lub choć dotknąć nosa, podłoga zniknęła i dziewczyna wpadła do wody. Zacisnęła usta i stwierdziła, że przez nos oddychać może równie łatwo jak zawsze. Było to miłe, a w każdym razie nowe. Dobrze przewodząca dźwięki woda rozbrzmiała muzyką, poniżej bieleło piaszczyste dno. Zanurkowała, zawróciła i gotowa była już roześmiać się głośno, ale pod wodą okazało się to niemożliwe. Rude włosy ciągnęły się za nią barwną wstęgą.

Smukły i opalony Ron podpłynął w kąpielówkach tak dobranych, by harmonizowały z jej kostiumem. Uśmiechnął się czarująco i połaskotał ją w stopę. Odwróciła się, też z uśmiechem, i zaczęła uciekać, ale on pogonił za nią. Tańczyli w trójwymiarowej przestrzeni wolni, radośni, beztroscy.

W końcu słodko zmęczona zawisła w wodzie i zamknęła oczy, a wtedy poczuła obejmujące ją ramiona i mocne ciało obok siebie. I jeszcze usta przy jej ustach, odpowiadających...

– Nie – powiedziała głośno, wypuszczając chmurę bąbelków.

Wyrwała filtry z nozdrzy. Było to bolesne, ale ból szybko minął. Upuściła oba sztuczne skrzela.

– Wolalabym umrzeć – mruknęła, wykorzystując resztkę powietrza.

Z wielkim szumem cała woda zniknęła z basenu. Siedzieli na wilgotnym piasku.

– Stanowcza dziewczyna – powiedział Ron, wręczając jej monstrualnych rozmiarów biały ręcznik. – Uwielbiam cię. Teraz zatańczymy. Gawota. Spodoba ci się. Kwartet smyczkowy już czeka, ubierzemy też kostiumy z epoki. Dobrze ci będzie w wysokiej, białej peruce, szerokiej kryzce...

– Nie. Wracam do domu. – Zadrżała i owinęła się ręcznikiem.

– Oczywiście. Taniec byłby dla ciebie czymś nazbyt zwyczajnym. Zamiast tego...

– Nie. Moje rzeczy. Wychodzę. Nie zatrzymasz mnie.

Skłonił się uprzejmie i wskazał na nagle ujawnione drzwi.

– Sama się ubierz. Jak powiedziałem, wobec ciebie przymus jest niestosowny. To nie twoja wymówka.

– Nie uznaję żadnych wymówek – wyszczełała i zdumiała się, skąd te dreszcze, skoro jest ciepło.

Mała pokojówka już czekała. Szybko rozebrała dziewczynę, wytarła ją, pozwoliła automatycznej suszarce w parę sekund uporać się z włosami. Beatrice jednak nie zauważała tej całej

aktywności. Nie zauważała nawet swego roztargnienia. Dopiero gdy pokojówka pokazała jej suknię, zaprotestowała i sama przejrzała zawartość garderoby, wybierając spośród bezliku wspaniałych rzeczy (wszystkich w jej rozmiarze) prosty czarny kostium zagrzebany na samym dnie. Przeczekała jeszcze manicure, pudrowanie i inne zabiegi, aż jak nowo narodzona stanęła przed Ronem, który czekał na nią w pokoju z boazerią z dębu i orzecha.

– Ostatni drink – powiedział, wskazując na stojącą na blacie butelkę napoleona.

– Idę sobie! – krzyknęła, głównie dlatego, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu bardzo chciała zostać. Wyminęła go, otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Schody biegły w górę i w dół. Pokonywała piętro za piętro, aż zaczęło brakować jej tchu i musiała przystanąć. Oparła się o ścianę, potem wyprostowała, musnęła włosy i otworzyła jakieś drzwi. Weszła do tego samego pokoju, który przed chwilą opuściła.

– Ostatni drink – powiedział, unosząc butelkę.

Nie mówiąc ani słowa, wybiegła, zamknęła drzwi i ruszyła w górę, na ile starczyło jej sił. Dotarła do zakurzonych drzwi przeciwpożarowych u wyjścia na dach. Otwierając je, wiedziała już, gdzie trafi.

– Ostatni drink – powiedział, nalewając złocisty płyn. Spojrzała na drzwi po przeciwległej stronie pokoju. Zauważył to.

– Wszystkie drzwi, wszystkie korytarze i schody przyprowadzą cię w to samo miejsce – oznajmił uprzejmie. – Musisz wypić. Siadaj, odpocznij. Proponuję toast. Za miłość, kochanie.

Wyczerpana ujęła kieliszek w obie dłonie. Ogrzewała przez chwilę trunek własnym ciepłem, po czym wypiała. Było wspaniale, jak w niebie. Jego twarz coraz bliżej, wargi tuż przy uchu...

– Czy uwierzysz – szepnął – że ta brandy zawiera narkotyk, który złamie twą wolę? Nie pozwoli ci się sprzeciwić. Opór na nic się nie zda, jesteś moja.

– Nie, nie... – wyszeptała, obejmując go wszakże i przytakując całym ciałem. – Nie, nigdy...

Zapadł mrok.

– Zatem narkotyki, oszalamiające prochy – powiedziała później, tkwiąc w ciepłej ciemności i muskając opuszkami palców chłodne prześcieradła. Wydawała się w pełni usatysfakcjonowana. – Nie było już innego sposobu, jak tylko łamiące wolną wolę narkotyki.

– A czy uwierzysz, gdy powiem, że tak naprawdę nie dodałem niczego do tej brandy? – spytał nieco zdumiony Ron. – Bo tam nic nie było. Naprawdę. Trafiłem jedynie na właściwą tobie wymówkę.

Przełożył Radosław Kot

# Jeżeli

– Jesteśmy na miejscu! Obliczenia były idealne! – ucieszyła się Trzydziestka Piątka. – To jest to miejsce!

– Jesteś idiotką! – oznajmiła zimno Siedemnastka. – Miejsce jest to, ale czas nie ten: jesteśmy o dziewięć lat za wcześnie!

– Jestem idiotką i uwolnię cię od mej bezużytecznej obecności! – zgodziła się Trzydziestka Piątka, wyciągając z pochwy nóż i przykładając go do szyi zdecydowanym ruchem.

– Nie teraz! – syknęła Siedemnastka. – Już jest nas zbyt mało, a twój trup na nic się nam nie przyda! Bierz się do roboty i znajdź właściwy czas: wiesz, że mamy ograniczone zasoby energii.

– Tak jest! – Trzydziestka Piątka schowała nóż i podeszła do tablicy przyrządów.

Czterdziestka Czwórka nie zwracała uwagi na pozostałe i obserwowała ekrany reaktora, gotowa do natychmiastowej reakcji.

– Gotowe! – oznajmiła po chwili Siedemnastka, zacierając dłonie. – Właściwy czas, właściwe miejsce! Lądujemy na chwałę Saura, od którego zależy los wszystkich.

– Na chwałę Saura – mruknęły jej towarzyszeki.

Z błękitnego nieba opadał kulisty pojazd o gładkiej powłoce, rozciętej jedynie w dolnej części prostokątną śluzą. Opadał powoli, choć nie było słyhać ani widać, w jaki sposób się porusza, aż zniknął za północnym grzbietem otaczającym Jezioro Johnsona na skraju sosnowego lasu.

W pobliżu nie było żadnego człowieka, a krowy pasące się opodal nie zwróciły najmniejszej uwagi na metalową kulę, która zniknęła w krzakach przy ścieżce łączącej jezioro z autostradą.

Ptaszki ćwierkały, a królik podgryzał coś ze smakiem, gdy rozległo się szuranie stóp i monotonne pogwizdywanie. Ptaszki umilkły, królik prysnął w zarośla, a od strony jeziora nadszedł chłopiec. Ubrany normalnie, z teczką w jednej i niewielką, domowej roboty klatką w drugiej ręce. Wewnątrz drucianej klatki siedziała niewielka jaszczurka, gorączkowo przewracając ślepkami, najprawdopodobniej ze strachu. Chłopak gwizdał zdecydowanie niemelodyjnie i nie spiesząc się, szedł ku autostradzie.

– Chłopcze! – rozległ się cienki głosik, gdy wszedł w cień drzew. – Słyszysz mnie?

– Pewnie, że słyszę – zgodził się zapytany. – Gdzie jesteś?

– Obok ciebie, ale nie zobaczysz mnie, bo jestem twoją opiekuńczą wróżką...

– Guzik prawda! – parsknął chłopak pogardliwie. Wróżek nie ma! Wyłaż z lasu, kimkolwiek tam jesteś. Nie wierzę we wróżki.

– Wszyscy chłopcy wierzą we wróżki – w głosie pojawiła się lekka panika. – Znam mnóstwo tajemnic. Wiem, że masz na imię Don i...

– Wszyscy wiedzą, że mam na imię Don, i nikt nie wierzy w żadne wróżki. Teraz wierzy się w rakiety, okręty podwodne i energię jądrową.

– A uwierzyłbyś w podróż kosmiczną?

– Uwierzyłbym.

– Nie chciałam cię przestraszyć. – W głosie słyhać było ulgę. – Tak naprawdę to jestem z Marsa i właśnie wylądowałam.

Don smarknął pogardliwie i zażądał:

– Mars nie ma atmosfery i życia. Wyłaż z krzaków i przestań się wygłupiać!

Zapadła długa cisza, którą przerwał w końcu niepewny głos:

– Uwierzyłbyś w podróżę w czasie?

– Może. Zaraz mi powiesz, że jesteś z przyszłości?

– Jestem – przytaknęło z ulgą z krzaków.

– No to wyłaż, żebym mógł ci się przyjrzeć.

– Są rzeczy, których człowiek nie powinien oglądać...

– Przestań pleść bzdury! Człowiek może oglądać wszystko, co chce. Wyłazisz albo sobie idę!

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – głos był zupełnie skonsternowany. – Mogę ci udowodnić, że jestem z przyszłości, podając ci rozwiązania jutrzejszej klasówki z matematyki. Zadanie pierwsze: jeden, siedemdziesiąt sześć. Zadanie drugie...

– To na nic: sam wynik nic nie daje, trzeba znać równanie. Liczę do dziesięciu: albo wyjdiesz, albo sobie idę.

– Nie możesz! Muszę cię prosić o przysługę: wypuść tę jaszczurkę, którą trzymasz w klatce, a spełnię twoje trzy życzenia... to jest, chciałam powiedzieć, odpowiem na trzy pytania.

– A niby dlaczego miałbym ją wypuścić?

– To pierwsze pytanie?

– Nie, to zdrowy rozsądek. Chcę wiedzieć, o co chodzi, zanim cokolwiek zrobię. Ta jaszczurka jest wyjątkowa, nigdy tu takiej nie widziałem.

– Masz rację. Należy do rodziny Rhiptoglossa i popularnie zwana jest kameleonem.

– O! – Don po raz pierwszy wyraźnie się ucieszył. Przykucnął, wyjął z teczki książkę z czerwoną okładką i umieścił na niej klatkę, wszystko razem stawiając na ścieżce. – Zmieni kolor? – zainteresował się.

– W zauważamy sposób. Teraz do rzeczy: jeśli ją uwolnisz...

– Skąd wiesz, że to ona? Z przyszłości?

– Widzę, że muszę ci wszystko opowiedzieć. – Głos westchnął z rezygnacją. – Została kupiona w sklepie zoologicznym przez niejakiego Jima Benana wraz z drugim kameleonem płci męskiej. Wydostała się na wolność dwa dni temu, gdy Benan upojony płynem zawierającym alkohol etylowy siadł na klatce. Jej partner, niestety, zmarł z odniesionych ran.

Uwolnienie jej...

– Myślę, że robisz sobie ze mnie jaja i idę zaraz do domu – przerwał Don. – Chyba że się pokażesz!

– Ostrzegam cię...

– Pa, pa! – Don złapał klatkę i książkę. – O, faktycznie poczerwieniała!

– Zostań! – pisnęło rozpaczliwie z krzaków. – Wychodzę!

Don przyglądał się z zaciekawieniem postaci, która wynurzyła się z zarośli. Stwór był purpurowy, miał wylupiate oczy i dobrze skrojony, brązowy kombinezon. Na plecach niósł prostokątny ładunek na szelkach. Poza tym miał jakieś siedem cali wysokości.

– Nie bardzo wyglądasz jak człowiek z przyszłości – przyznał. – Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyglądasz jak człowiek. I jesteś za mały.

– Mogłabym powiedzieć, że ty jesteś za duży. Wielkość to pojęcie względne. Poza tym przybywam z przyszłości i nie jestem człowiekiem. Nigdy nie mówiłam, że jestem.

– Też fakt. Jesteś jaszczurką... prawdę mówiąc jesteś bardzo podobna do tego kameleona. Co was łączy?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Teraz wykonasz moje polecenie, jeśli nie chcesz, żebym zrobiła ci krzywdę. – Purpurowy przybysz odwrócił się i wrzasnął w stronę lasu: – Trzydziestka Piątka, to rozkaz: zniszcz te zarośla!

Wcale nie przestraszony, Don obserwował z zainteresowaniem pojawienie się błękitnej,

metalowej piłki, która powoli wysunęła się spomiędzy drzew. W jej powierzchni odsłoniła się kolistą klapka, z której wyjeżdżało coś do złudzenia przypominającego wylot strażackiego węża i skierowało się ku zaroślom odległym o jakieś trzydzieści stóp. Z wnętrza metalowej kuli dobiegło burczenie przybierające na sile tak, że stało się ledwie słyszalne, i ku zaroślom wystrzeliła nitka światła. Zarośla zapłonęły niczym pochodnia i po sekundzie zmieniły się w osmolone szczątki.

– To urządzenie nazywa się roxidizer i jest śmiertelnie groźne – oznajmiła jaszczurka. – Uwolnij kameleona!

– Dobra, dobra – mruknął Don. – Na co komu stara jaszczurka?

Postawił klatkę na ścieżce i zaczął ją otwierać. Nagle znieruchomiał, pociągnął nosem i bez słowa złapał klatkę i ruszył ku pogorzeliisku.

– Wracaj! – pisnęła jaszczurka, podskakując nerwowo. – Jeszcze krok, a otworzymy ogień!

Chłopak zignorował ją zupełnie i wyciągnął rękę – dłoń przeszła przez resztki spalonego krzaka jak przez powietrze.

– Tak też sobie myślałem – stwierdził zadowolony. – Całe to ognisko o parę stóp i żadnego zapachu... Hej, ty, to jakaś trójwymiarowa projekcja, nie? – Ponieważ odpowiedziała mu cisza, podszedł do metalowej piłki i spróbował jej dotknąć; dłoń przeszła przez obraz bez oporu. – Tego też tu nie ma – oznajmił z satysfakcją. – A ty jesteś!

– Nie musisz eksperymentować. Ja i okręt jesteśmy tu jedynie w postaci tak zwanego temporalnego echa. Materia nie może poruszać się w czasie, ale jej obraz i głos można przesyłać. Skończmy z tym, to dla ciebie zbyt trudne...

– Jak na razie wszystko rozumiem – sprzeciwił się Don. – Mamy ze sobą kontakt, ale fizycznie nas tu nie ma, a i tak operacja taka pochłania olbrzymie ilości energii. Prawie wszystkie nasze elektrownie współpracują przy transferze czasowym.

– Dlaczego? I przestań wreszcie kłamać! Żadnych wróżek i tym podobnych bajeczek.

– Było to konieczne, gdyż tajemnica jest zbyt wielka dla nas, żebyśmy ją wyjawiali od razu, nie próbując wcześniej innych sposobów przekonania cię.

– No to może wreszcie powiesz dla odmiany prawdę. – Don siadł wygodnie i dodał: – Słucham!

– Potrzebujemy twojej pomocy, gdyż zagrożone jest całe nasze społeczeństwo. Ostatnio, według naszej skali czasu ma się rozumieć, wykryliśmy dziwne zakłócenia czasoprzestrzeni.

Żyjemy jakiś milion lat w przyszłości jako dominujący gatunek na tej planecie. Wasza rasa wyginęła w wyniku kataklizmu, ale oszczędzę ci szczegółów. Coś zagraża teraz naszej rasie, zaczęliśmy badać to zagrożenie i okazało się, że mamy zostać ogarnięci przez falę prawdopodobieństwa, w wyniku której przestaniemy najprawdopodobniej istnieć, jako że z naszej własnej przeszłości nadciąga potężna fala migracyjna...

– Czy ty nie potrafisz mówić po ludzku? Znaczy się tak, żeby dało się to zrozumieć?

– Dam ci przykład z waszej własnej, ludzkiej literatury: jeśliby twój dziadek zginął bezpotomnie, nie narodziłby się twój ojciec, i ciebie także by nie było.

– Ale jestem.

– Mówię przecież: ”jeżeli”. Teraz zresztą nie pora na teoretyczne rozważania, gdyż mamy już niewiele energii. Upraszczaając problem: prześledziliśmy nasze pochodzenie poprzez rozmaite mutacje i zmiany, aż dotarliśmy do tej pierwszej protojaszczurki, od której wywodzi się nasza rasa.

– Zgaduję, że to ta, którą mam w klatce!

– Ta – przyznała poważnie jaszczurka. – Gdzieś w tej okolicy urodzi potomstwo, a że skały w pobliżu jeziora są w pewien sposób radioaktywne, spowoduje to mutacje, w wyniku których zyskamy rozum. Stulecia później nasza rasa zapanuje nad całą planetą... Co nie nastąpi, jeśli nie otworzysz



klatki.

Don podrapał się w głowę i na wszelki wypadek zapytał:

– I tym razem mówisz prawdę? Żadnych kantów?

– Przysięgam na Saura. – Jaszczurka gorączkowo zamachała rękoma (albo przednimi łapami, jak kto woli). – Przysięgam na gwiazdy wieczne i sezony mleczne...

– Przestań gadać do rymu – przerwał jej Don. – Nie cierpię wierszyków! Dobra, niech już będzie moja strata, nie chcę być odpowiedzialny za wytępienie całej rasy.

I odgiął drut zamykający drzwi klatki. Kameleon spojrzał nań podejrzliwie jednym okiem, drugim zezując na otwarte drzwi. Jaszczurka w kombinezonie obserwowała wszystko w pełnej szacunku ciszy.

– Zmiataj! – polecił Don, wytrząsając kameleona na trawę.

Tym razem został właściwie zrozumiany – eks-więzień czym prędzej prysnął w krzaki.

– No, to przyszłość mamy spokojną – oznajmił Don – albo przeszłość, jeśli o was chodzi.

Jaszczurka i pojazd zniknęły bez jednego choćby dźwięku.

– Moglibyście chociaż podziękować! – parsknął Don. – Ludzie są lepiej wychowani.

Zebrał teczkę i pustą klatkę z ziemi, otrzepał portki i ruszył w stronę domu.

Nie zwrócił uwagi na nagły szelest w krzakach, toteż nie zauważył dorodnego kocura przemykającego z martwym kameleonem w pysku.

A oprócz niego nie było już nikogo, kogo mogłoby to zainteresować.

Przełożył Jarosław Kotarski

# Milczący Milton

Wielki autobus Greyhounda zahamował zdumiewająco gładko dokładnie przy przystanku i kierowca otworzył drzwi.

– Springville! – krzyknął. – Koniec trasy!

Pasażerowie wysypali się na gorący blask słońca. Sam Morrison został sam na szerokim tylnym siedzeniu. Począł, aż ostatni wysiadający znajdą się przy drzwiach, wyciągnął spod ramienia pudełko po cygarach, wstał i też ruszył do wyjścia. W pierwszej chwili nie tłumiony już przyciemnianymi szybami autobusu blask słońca oślepił go, a wilgotne i rozgrzane powietrze upalnego lata w Missisipi zaparło mu dech w piersiach.

Ostrożnie i patrząc pod nogi zszedł po stopniach, po jednym na raz, i nie zauważył czekającego nań mężczyzny aż do chwili, gdy coś twardego wparło mu się w okolice żołądka.

– Czego szukasz w Springville, chłopcze?

Sam zamrugał i spojrzał przez oprawne w stalowy drut okulary na rosnącego mężczyznę w szarym mundurze, który stał naprzeciwko i mierzył weń krótką i grubą pałką. Był rostry, ale i otyły, wielki brzuch wylewał się zza mocno opuszczonego pasa.

– Ja tylko przejazdem, proszę pana – odparł Sam Morrison.

Wolną ręką zdjął kapelusz, ukazując posiwiałe, krótko przycięte włosy. Przesunął spojrzeniem po poczerwieniałej twarzy i złotej oznace tamtego i opuścił oczy.

– A dokąd niby jedziesz, chłoptasiu? Lepiej nie ukrywaj niczego przede mną...

– Do Carteret, proszę pana, mam autobus za godzinę.

W odpowiedzi usłyszał jedynie nieartykułowane chrząknięcie. Obciążona ołowiem pałka postukała w pudełko po cygarach, które Sam ścisnął pod pachą.

– A tam co masz, spluwę?

– Nie, proszę pana. Nie ośmieliłbym się nosić broni.

Sam otworzył pudełko i pokazał zawartość: trochę metalowych części, odrobina elektroniki i dwucalowy głośniczek, wszystko porządnie polutowane i oplecione drucikami.

– To... radio, proszę pana.

– Włącz.

Sam przycisnął włącznik, poprawił ostrożnie podłączenie paru drucików i z głośniczka zaczęła dobiegać cicha muzyka, ledwie słyszalna ponad warkotem silników autobusów.

Czerwonolicy roześmiał się.

– Prawdziwe radio prawdziwego czarnucha... co za gówno. – Znów przybrał urzędowy ton. – Pilnij tego swojego autobusu, słyszysz?

– Tak, proszę pana – powiedział Sam, ale mówił to już do zapoconych pleców odchodzącego.

Ostrożnie zamknął pudełko i skierował się do jaskrawo pomalowanej poczekalni, ale gdy zajrzał tam przez okno, stwierdził, że jest pusta. Nigdzie na ulicy nie było widać żadnych czarnych twarzy. Nie zwalniając kroku, Sam minął poczekalnię i klucząc pomiędzy zaparkowanymi autobusami, dotarł do tylnej bramy. Całe swe sześćdziesiąt siedem lat przeżył w stanie Missisipi i potrafił wyczuć, kiedy szykują się jakieś kłopoty. Jediną radą na takie kłopoty było trzymać się z daleka. Szedł uliczkami, które stawały się coraz węższe, coraz bardziej zapuszczone. Znajome chodniki doprowadziły go w końcu do drzwi, nad którymi widniał złuszczający się napis BAR. Do środka wchodził akurat jakiś facet w poplamionym kombinezonie, takim, w jakich pracuje się na polu. Sam też się tam skierował; poczeka tu do odjazdu autobusu.

– Butelkę jaxa poproszę.

Położył kilka monet na mokrym i odrapanym kontuarze i wziął chłodną butelkę.

Barman nie odezwał się ani słowem, nie dał też szklanki. Zrobiwszy swoje, wycofał się na krzesło na drugim końcu baru i przytknął głowę do mruczącego z cicha radia, ciemny i niewzruszony. Jedyne światło we wnętrzu wpadało z ulicy i boksy w głębi wyglądały wręcz odstręczająco. Klientów było tylko kilku, każdy z nich siedział przy swoim stoliku z butelką piwa przed oczami. Sam przepchnął się między ciasno ustawionymi stolikami i już zamierzał przycupnąć w boksie przy tylnych drzwiach, gdy zorientował się, że ktoś już tam siedzi po drugiej stronie stołu.

– Przepraszam, nie zauważyłem – powiedział Sam. Chciał się cofnąć, gdy mężczyzna machnął zapraszająco w kierunku ławy, wziął ze stołu torbę z reklamą TWA i postawił ją obok siebie na podłodze.

– Starczy miejsca i dla dwóch – powiedział, unosząc znacząco swą butelkę piwa.

Sam upił łyk, ale tamten opróżnił od razu połowę zawartości. W końcu opuścił butelkę i westchnął z ulgą.

– Paskudztwo – powiedział.

– Wydawało mi się, że panu smakuje – odparł Sam, uśmiechając się przy tym z leciutką ironią.

– Bo jest zimne i mokre, ale tylko dlatego. Wiele bym oddał za butlę budweisera lub ballentine’a.

– Domyślam się, że jest pan z Pomocy? – Świadczyć o tym mógł też wyraźny akcent i ostra intonacja towarzysza od stolika. Dopiero teraz Sam zauważył, że jest to młody, dwudziestoparoletni mężczyzna o lekko ciemnej skórze, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na jego twarzy malowało się jakby napięcie, a zmarszczki na czole wydawały się wpisane tam na trwałe.

– Racja, cholera. Jestem z Północy i wracam... – Raptownie sięgnął znów po butelkę. – A pan jest z tych okolic? – spytał, jakby naszły go jakieś podejrzenia.

– Urodziłem się niedaleko stąd, ale teraz mieszkam w Carteret. Czekać tylko na przesiadkę.

– Carteret to tam, gdzie jest uczelnia?

– Zgadza się. Uczę tam.

Po raz pierwszy młodzieniec zdobył się na uśmiech.

– No to mamy coś wspólnego. Ja jadę na uniwersytet w Nowym Jorku, zajmuję się ekonomią. – Wyciągnął dłoń. – Charles Wright, wszyscy prócz matki mówią mi Charlie.

– Miło pana poznać – powiedział Sam powoli, z nieco staroświecką uprzejmością. – Jestem Sam Morrison. Sam i w życiu i w papierach.

– Interesuje mnie pańska uczelnia, chciałem tam nawet wstąpić, ale... – Młodzieniec urwał nagle, słysząc dochodzący z ulicy warkot samochodu i pochylił się, by dojrzeć drzwi baru. Trwał tak, aż samochód zmienił bieg i odjechał. Dopiero wtedy opadł z powrotem na krzesło. Strumyki potu spływały mu po czole, gdy upił kolejny szybki łyk. – Nie spotkał pan przypadkiem na dworcu autobusowym takiego dużego gliniarza ze sporym kałdunem i obliczem jak burak?

– Owszem, widziałem go. Zaczepił mnie, ledwie wysiadłem z autobusu.

– To sukinsyn!

– Nie ma się co podniecać. To tylko policjant na służbie i robi swoje.

– Tylko...! – Młodzieniec uzupełnił kwestię krótkim, soczystym słowem. – To Brinkley, musiał pan o nim słyszeć, najpaskudniejszy typ na południe od Bombingham.

Przyszłej jesieni zamierza wygrać wybory na szeryfa, a już teraz jest szychą w Klanie.

Prawdziwa podpora tutejszej społeczności.

– Takie gadanie przysporzy panu tylko kłopotów – zauważył półgłosem Sam.

– Wuj Tom też tak mówił i o ile pamiętam, umarł jako niewolnik. Ktoś musi wreszcie powiedzieć to głośno, nie można wciąż milczeć.

– Tekst jak z wiecu. – Sam spróbował przybrać surową minę, ale nigdy nie wychodziło mu to za bardzo.

– No dobrze, jeśli chce pan wiedzieć, to jestem jednym z wiecujących, ale koniec.

Wracam do domu. Boję się i nie wstydzę się przyznać do strachu. Wy życie tu w dżungli, nie zdawałem sobie sprawy, jak paskudnie to wygląda, nim nie ujrzałem Południa na własne oczy. Pracowałem w komitecie wyborczym, a ten tam, Brinkley, usłyszał o tym i przyrzekł, że albo mnie zabije, albo wpakuje na resztę życia za kratki. I wie pan, uwierzyłem mu.

Wyjeżdżam dzisiaj, czekam tylko na samochód, który mnie zabierze. Wracam na Północ, tam moje miejsce.

– Domyślam się, że tam też nie bywa łatwo...

– Może. – Charlie dokończył piwo i wstał. – Ale nie ma porównania z tym, co zobaczyłem tutaj. Nowy Jork to nie raj, ale żyje się zupełnie znośnie. Wyrosłem na południu Jamajki, tam było ciężko, a teraz mamy własny dom, porządných sąsiadów... Jeszcze jedno piwo?

– Nie, dziękuję, jedno mi wystarczy.

Charlie wrócił z nowym piwem i zaraz podjął wątek.

– Może jesteśmy na Północy obywatelami drugiej kategorii, ale jednak liczy się nas pośród obywateli i też mamy szansę zdobyć coś dla siebie, trochę własnego szczęścia. I ma się szansę dożyć późnej starości. Tutaj człowiek jest wyłącznie bydlęciem, wystarczy, by miał nie ten kolor skóry.

– Tego bym nie powiedział, sprawy mają się coraz lepiej. Mój ojciec robił całe życie w polu, był synem niewolnika, a ja jestem nauczycielem akademickim. To już jakiś postęp.

– Niby jaki? – Charlie uderzył w stół, ale przyciszył głos do gniewnego szeptu. – Co z tego, że jedna setna procenta Murzynów zdobywa jakieś wykształcenie i ciągnie dalej na prowincjonalnych uczelniach? Proszę zrozumieć, nie chcę pana urazić, robi pan swoje, i bardzo dobrze, ale na każdego panu podobnego przypada tysiąc innych, którzy rodzą się, żyją i umierają w skrajnym brudzie i smrodzie i rok za rokiem mija im bez żadnej nadziei. To są miliony ludzi. Gdzie ten postęp? A nawet pan... czy nie wolałby pan uczyć na jakimś uznanym uniwersytecie?

– Nie. – Sam się roześmiał. – Jestem tylko zwykłym belfrem. Wbijanie studentom do głów podstawowych wiadomości z zakresu geometrii i algebry jest wystarczająco trudne.

Gdybym jeszcze miał wyjaśniać im zagadnienia topologii czy algebry Boole'a...

– Czyjej? Nigdy o tym nie słyszałem.

– No, to jest nieinterpretowalny rachunek logiczny, szczególna gałąź matematyki. Nie bardzo potrafię to wyjaśnić, chociaż poruszam się w tym dość łatwo. Wyższa matematyka to moje hobby. Gdybym pracował na jakiejś wielkiej uczelni, to nie miałbym czasu na takie rzeczy.

– Skąd pan może wiedzieć? A gdyby mieli jakiś porządny komputer, nie przydałby się panu?

– Zapewne tak, oczywiście. Ścieżki już wydeptałem, żeby uzyskać dostęp do jakiegoś.

W końcu się uda.

– A jak długo może pan jeszcze na to czekać? – spytał cicho Charlie i zaraz zrobiło mu się przykro, gdy ujrzał, jak starszy pan opuszcza w milczeniu głowę. – Cofam to. Mam niewyparzoną gębę. Przepraszam, złość mnie wzięła. Ale czy może pan wiedzieć na pewno, ile udałoby się panu dokonać, gdyby miał pan stosowne kwalifikacje i wyposażenie... – Zamknął się, pojmując, że z każdym słowem tylko pogarsza sprawę.

Przez chwilę w rozgrzanym wnętrzu słychać było jedynie odległy warkot ruchu ulicznego i cichą muzykę z radia za barem. Barman wstał, wyłączył odbiornik i zniknął na zapleczu, by przynieść

kolejną skrzynkę piwa. Muzyka jednak nie umilkła, aż Charlie zrozumiał, że dochodzi ona z leżącego obok na stole pudełka po cygarach.

– Ma pan w tym radio? – spytał szczęśliwy, że może zmienić temat.

– Tak, nie... chociaż odbiera fale radiowe.

– Czy może pan mówić jaśniej? Jak wspomniałem, zajmuję się ekonomią...

Sam uśmiechnął się, otworzył pudełko i wskazał na misternie podłączone obwody.

– Zbudował je mój bratanek. Ma mały sklepik dla majsterkowiczów. Wcześniej służył w lotnictwie i nauczył się sporo o elektronice. Dałem mu rysunki, a on połączył wszystko jak trzeba.

Charlie pomyślał o specu od elektroniki, który musi prowadzić tani sklepik, ale uznał, że nie ma już sensu ruszać tego tematu.

– I co to ma robić?

– W zasadzie nic. Chciałem tylko zobaczyć, czy moje obliczenia dadzą coś w praktyce. Pewnie nie słyszał pan zbyt wiele o Einsteinowskiej jednolitej teorii pola...?

Charlie uśmiechnął się przepaszajaco i uniósł dłonie, poddając się bez walki.

– Trudno to wyjaśnić. Mówiąc najprościej, podejrzewa się, iż wszystkie zjawiska są ze sobą w jakiś sposób powiązane niezależnie od tego, czy manifestują się poprzez materię, czy energię. Coś jak zwykła przemiana energii cieplnej w mechaniczną w silniku, elektrycznej w światło...

– W żarówce!

– Właśnie. Idąc dalej, istnieje postulat, że czas oddziałuje na energię świetlną w podobny sposób jak grawitacja na światło. To drugie zostało już dowiedzione. Czy grawitacja ma energię elektryczną? Tym się właśnie zajmuję. Przyjąłem, że stany energetyczne związane są ze stałą grawitacji i że stany te można zmierzyć, podobnie jak dają się określić linie pola magnetycznego wokół magnesu... chociaż nie, lepiej opisać to w odniesieniu do idealnego drutu przewodzącego prąd w warunkach nadprzewodnictwa superniskich temperatur...

– Zgubiłem się, profesorze. I wcale mi nie wstyd. Czy mógłby pan podać jakiś prostszy przykład? Albo powiedzieć po prostu, co takiego niezwykłego dzieje się w tym radiu?

Sam poruszył coś ostrożnie i muzyka przycichła do progu słyszalności.

– Nie części radiowe są tu najważniejsze, ale to, że całość działa. Wykazałem w ten sposób, że istnieje pewien przeciek... nie, winienem powiedzieć raczej, że istnieje pewna różnica między stałą grawitacji pola ziemskiego a polem tego kawałka ołowiu, który tkwi w rogu pudełka.

– A gdzie są baterie?

Sam uśmiechnął się z dumą.

– I o to właśnie chodzi. Nie ma baterii. Obwód zasilania nie jest zamknięty...

– Chce pan powiedzieć, że to radio gra na grawitację? Czerpie elektryczność z niczego?

– No, tak by można powiedzieć, chociaż dokładnie to oczywiście, że nie. Tak naprawdę...

– Ale tak to właśnie wygląda! – Podekscytowany Charlie pochylił się nad stołem, by zajrzeć do pudełka. – Może nie mam bladego pojęcia o elektronice, ale podczas studiów ekonomicznych mieliśmy sporo o źródłach energii. Czy ta pańska zabawka mogłaby zostać tak rozbudowana, aby produkować energię elektryczną przy znikomych kosztach własnych lub zgoła za darmo?

– Nie od razu, to dopiero pierwsza próba...

– Ale ostatecznie byłoby to możliwe, a to oznacza...

Sam pomyślał, że młodemu człowiekowi zrobiło się nagle niedobrze. Oddalona ledwie o kilka cali twarz okryła się szarością, a oczy patrzyły w przerażeniu w coś za plecami Sama. Charlie opadł powoli na krzesło, a zanim starszy pan zdołał spytać go o cokolwiek, inny głos zagrzmiął w pomieszczeniu:

– Czy ktoś widział tu może chłopaka imieniem Charlie Wright? Gadać. Nie bać się, nie dam skrzywdzić nikogo, kto powie prawdę.

– Święty Jezu... – szepnął Charlie, osuwając się jak najniżej na krześle.

Brinkley podszedł do kontuaru i rozejrzał się po mrocznym wnętrzu. Nikt mu nie odpowiedział.

– Kto będzie go ukrywał, narobi sobie kłopotów! – krzyknął gniewnie gliniarz. – I tak znajdę tego czarnego matacza!

Ruszył ku tyłom baru. Charlie złapał torbę, zanurkował w cień boksu i ruszył ku tylnym drzwiom.

– Wracaj, sukinsynu!

Stół zakołysał się, potrącony przez Charliego, i pudełko po cygarach spadło na podłogę. Zadudniły ciężkie buciory. Drzwi otworzyły się z piskiem i Charlie wybiegł z baru, a Sam pochylił się, by podnieść swoje pudełko.

– Przysięgam, że ukatrupię drania!

Obwody nie były uszkodzone. Sam odetchnął z ulgą i wstał. Z pudełka wciąż sączyła się cicha muzyka.

Mógł usłyszeć jeszcze pierwszy strzał, ale z pewnością nie słyszał już drugiego, gdyż kula kalibru 38 trafiła go dokładnie w potylicę, zabijając na miejscu. Bezwładnie padł na podłogę.

Marger, policjant z patrolu, wyskoczył z radiowozu z bronią w dłoni i wbiegł do baru, ale ujrzał, jak Brinkley wraca spokojnie tylnymi drzwiami na salę.

– Uciekł, skurwiel.

– A co tu się stało? – spytał Marger, chowając broń do kabury i spoglądając na skulone na podłodze, martwe ciało.

– Nie mam pojęcia. Musiał wyskoczyć mi na strzał, gdy waliłem do tamtego. Pewnie też jakiś komunista, siedzieli przy jednym stoliku.

– Będą z tego kłopoty...

– Jakie kłopoty? – spytał Brinkley głosem pełnym świętego oburzenia. – Przecież to był tylko jakiś murzyński staruch.

Odwracając się, nastąpił ciężkim buciorem na pudełko po cygarach, miażdżąc je całkowicie.

Przełożył: Radosław Kot

# Symulowany trening

Mars był brudnym, przerażającym piekłem. Suchy jak kość i czerwony jak krew.

Przekopywali się przez sypki, sięgający kolan piach i zgodnym chórem klęli inżyniera, który skonstruował system fizjologiczny skafandrow. Przy testach skafandry były idealne. Szlag je trafił dopiero w warunkach praktycznych. Przy stałym użytkowaniu przez parę tygodni nawaliły systemy absorpcyjne płynów. Atmosfera Marsa miała temperaturę minus sześćdziesiąt stopni Celsjusza, wewnątrz zaś kombinezonów pływali we własnym pocie i powoli się gotowali. Morley wściekle potrząsnął głową, chcąc się pozbyć upartej kropli potu, która najbezpieczniej w świecie usadowiła się na czubku jego nosa. W tym samym momencie coś o rdzawym kolorze z błyskawiczną szybkością wpadło na niego i trafiło go prosto w pierś. Była to pierwsza napotkana przez nich forma tutejszego życia. Zamiast naukowego zainteresowania, poczuł wściekłość. Gwałtowny kopniak posłał oszołomionego zwierzaka wysoko w powietrze. On sam natomiast, wytrącony z równowagi, runął do tyłu, rozdzierając bok kombinezonu o wystający odłamek obsydianowej, ostrej jak brzytwa skały. Tony Bannerman usłyszał w słuchawkach przerażony krzyk towarzysza i odwrócił się błyskawicznie. Morley leżał na piachu, obydwoma rękami przyciskając brzegi rozdartego skafandra, przez które ze świstem uciekało powietrze, zmieniające się błyskawicznie w kryształki lodu. Tony przyklęknął przy nim tak, że przysłony hełmów prawie się zetknęły, i dojrzał na twarzy Morleya przerażenie.

– Pomóż mi! – krzyk prawie rozsadzał słuchawki.

Niestety, nie było to możliwe. Nie zabrali ze sobą pakietów ratunkowych. Wszystkie były w rakiemie oddalonej o jakieś ćwierć mili. Zanim zdążyłby dobiec tam i wrócić, Morley byłby już zestaloną mumią. Mógł sobie zaoszczędzić wysiłku. Na Marsie było tylko ich dwóch. Nikt nie mógłby pomóc Morleyowi. Musiało to dojść do świadomości leżącego, gdyż przestał wrzeszczeć i spytał normalnym głosem:

– Żadnej nadziei, Tony? Jestem martwy?

– Jak tylko tlen wyleci. Około trzydziestu sekund. Nic nie mogę zrobić.

Morley bluznął kunsztowną wiązką i wdusił czerwony przycisk NIEBEZPIECZEŃSTWO, umieszczony na rękawie tuż nad nadgarstkiem. Jakies pięć metrów od nich grunt rozpadł się i dwóch facetów w białych skafandrach wyskoczyło z dziury. Na hełmach mieli czerwone krzyże, a w dłoniach hermetyczny pojemnik. Wtłoczyli do niego Morleya z szybkością wskazującą na dużą praktykę i pogнали z powrotem do otworu.

Wyrzucili przezeń kukłę w kosmicznym kombinezonie i pokryte piaskiem drzwi zamknęły się, nie pozostawiając śladu. Kukła ważyła tyle co Morley, miała nawet głowę, choć niepodobną do głowy Morleya. Tony zarzucił ją sobie na plecy i ruszył w stronę rakiety. Po drodze minął leżącego nieruchomo zwierzaka. Kopnął go mocno, wywołując lawinę śrubek i innego elektronicznego drobiazgu. Ulżyło mu trochę. Gdy dobrnął na miejsce, chemiczne słoneczko prawie skryło się za horyzontem. Pogrzeb będzie musiał odłożyć do jutra. Zostawił bagaż w śluzie i wszedł do części mieszkalnej, po drodze rozpinając skafander. Kopniakiem posłał do diabła stół z resztkami jedzenia. Na tym poprzestał i poszedł do łóżka. Tym razem byli tak blisko! Gdyby Morley miał oczy otwarte! Wyrzucił z głowy zarzuty pod jego adresem i zasnął.

Rano pochował Morleya, potem ostrożnie przeczekał dwa dni do wyznaczonego terminu. Większość pomiarów była wykonana, a te, które pozostały, można było zrobić automatycznie. Skorzystał z tej możliwości. Powybierał wiadomości z ostatnimi zapisami i poprzemienił instrumenty poza zasięg ognia z dysz. Przeniósł też pozostałe zapasy, zbędne w drodze powrotnej, oraz

niepotrzebne wyposażenie. Wracając z ostatniej wycieczki, oddał ironiczny salut nad grobem Morleya. Na koniec pobieżnie posprzątał segment mieszkalny i czekał. Trzask zegara przerwał ciszę panującą w kabinie. W ślad za nim ożyły silniki, a pasy jego pojemnika opięły go ściśle. Obserwował opadające wieko i ramię manipulatora zakończone igłą, zbliżające się na podobieństwo węża do jego ramienia. Poczł ukłucie i potem była już tylko ciemność. Jak tylko kłapa się zamknęła, na zewnątrz statku otworzył się fragment korytarza i pojawiło się w nim dwóch mężczyzn z noszami. Nie mieli kombinezonów, a za nimi widać było fragment błękitnego, ziemskiego nieba.

Powrót do świadomości był taki jak zwykle. Najpierw zobaczył śnieżnobiały sufit izolatki. Tyle że tym razem na pierwszym planie znajdowała się apoplektycznie nabiegła twarz pułkownika Steghama. Tony starał się przypomnieć sobie, czy leżąc w łóżku, należy oddawać honory. Nie wiedząc, co zrobić, postanowił leżeć spokojnie.

– Cholera, Bannerman – warknęła głowa – witamy na Ziemi. Tylko dlaczego, do wszystkich diabłów, jesteś tu sam? Śmierć Morleya przekreśla całą wyprawę. A to oznacza, że nie ma ani jednego kompletu załogi, która ukończyłaby szkolenie na czas.

– A co z zespołem numer dwa, sir?

– Gówno! O ile to możliwe, to poszło im jeszcze gorzej. Obaj zabici w drugim dniu po wylądowaniu. Meteor przebił im zbiornik tlenu, a obaj byli zbyt zajęci okazami marsjańskiej flory, żeby zwrócić na ten drobiazg uwagę. Mimo wszystko nie dlatego tu jestem. Zbieraj rzeczy, idziemy do mojego biura.

Coś musiało być nie tak w duszy pułkownika, gdyż na samym wstępie poczęstował Tony'ego cygarem. Gdy sam zapalił, wskazał na widoczek za oknem.

– Widzisz to? Wiesz, co to jest?

– Tak jest, sir. Marsjańska rakieta, to znaczy rakieta marsjańskiej ekspedycji.

– To ma być rakieta marsjańskiej ekspedycji. Teraz jest to w połowie gotowa kupa złomu. Silniki i elektronika są robione na terenie całego kraju. Dopiero za sześć miesięcy będzie złożona i przetestowana. Za pół roku statek będzie gotów, tylko że nie mamy go kim obsadzić. W tej chwili nie mamy ani jednego człowieka, który miałby potrzebne kwalifikacje.

Włącznie z tobą! Ten program szkoleniowy był zawsze moim oczkiem w głowie.

Wiedzieliśmy od dawna, że jesteśmy w stanie wybudować jednostkę na tyle dobrą i na tyle silną, aby taka wycieczka stała się bezpieczna i możliwa. Ale potrzebni są ludzie, którzy mogliby polecieć, dokonać badań i wrócić żywi, albo ta cała robota nie jest warta funta kłaków. Statek i pilot zostali przetestowani w symulowanych warunkach prawdziwego lotu i działają. To był mój pomysł, aby ludzi przetestować tak samo. Zostały wybudowane dwie komory, w których odtworzyliśmy warunki i rzeczywistość Marsa na tyle, na ile je znamy.

Prowadziliśmy ten symulowany trening – suchą zaprawę – z najdrobniejszymi szczegółami przez osiemnaście miesięcy w dwuosobowych zespołach. Oblicz sobie, ilu przez to przeszło.

A w efekcie nie mamy ani jednej symulowanej ekspedycji zakończonej sukcesem. Z tego czterech ludzi wróciło żywych z tych wypraw, wliczając ciebie. Jeśli z was nie wyłonimy zespołu, któremu się to w końcu uda, to możemy spokojnie zamknąć kramik i wracać do domu.

Tony siedział wmurowany w fotel, z wygasłym cygarem w zębach. To, co mówił Stegham, nie było dla niego całkowitą nowością. O pewnych szczegółach wiedział już wcześniej, ale nie przypuszczał, że sprawa przybrała aż taką skalę i że jak dotąd jest z tego jedna wielka kłapa. Głos pułkownika przerwał te żalosne rozważania:

– Psychologowie zwrócili się do mnie z problemem, który według nich jest w tym wszystkim najważniejszy. Oni twierdzą, iż powodem takich wyników jest świadomość, że to jest trening. Że



ludzie wiedzą, iż to nie jest realne. Że zawsze mogą być wyciągnięci z tego, w co się wplątali. Tak jak Morley. Sądząc po rezultatach, jakie osiągamy, zaczynam się z nimi zgadzać. Zamierzam przeprowadzić ostatnią próbę w dwóch zespołach, tyle że w czysto bojowych warunkach.

– Nie rozumiem, panie pułkowniku...

– Proste. Tym razem nie będzie żadnej pomocy i żadnego wyciągania przez dziurę.

Obojętne, jak bardzo byście tego potrzebowali. To będą manewry z ostrą amunicją.

Zamierzamy urozmaicić wam pobyt wszystkim, co zdołamy wymyślić – i wy będziecie zmuszeni to przeżyć. Jeśli tym razem ktoś rozedrze skafander, to umrze w marsjańskiej próżni, o parę stóp od całego powietrza Ziemi. Chciałbym, aby był inny sposób, ale nie mamy wyboru. Musimy za dwa miesiące mieć załogę do tej ekspedycji i nie mamy innej możliwości, aby zdobyć pewność co do jej fachowości.

Tony dostał trzy dni wolnego – pierwszego dnia się spał, drugiego naćpał, a na trzeci doszedł do siebie i poszedł się zabawić. Wszyscy uczestnicy programu byli ochotnikami i mieli możliwość wycofania się w każdym momencie, tylko on jakoś nie miał na to zbytnej ochoty. Pozostało mu więc dalej ciągnąć tę głupią grę. A kiedy się ona skończy, nie omieszka dać Steghamowi do zrozumienia, co sądzi o pomysle i jego autorze. Swego towarzysza Hala Mendozę poznał, gdy poszedł na badania. Podali sobie ręce z rezerwą i otaksowali się chłodnymi spojrzeniami. Jeden miał zależeć od drugiego i lepiej było wyrobić sobie zdanie o partnerze, gdy ma się jeszcze w miarę obiektywne możliwości oceny. Mendoza był jego przeciwieństwem – wysoki i chudy, podczas gdy Tony był krępy i zwalisty jak niedźwiedź.

Hal palił prawie bez przerwy, a jego oczy były wciąż rozbiegane. Tony poczuł lekkie zaniepokojenie – zaraz jednak pomyślał, że Hal musi być dobry, skoro zaszedł tak daleko.

Łapiduch wziął go w obroty i na dalsze rozważania nie starczyło już Tony'emu czasu.

– Co to jest? – zdumiał się lekarz, wskazując jego policzek ze świeżą ranką.

– Aa, to. Zaciałem się przy goleniu.

Doktor mruknął coś o roztrzepańcach i założył opatrunek.

– Uważaj na wszelkie otwarte rany – ostrzegł – to idealne wejście dla bakterii. Diabli wiedzą, co możesz zastać na Marsie.

Chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Po co wyjaśniać, że prawdziwa wyprawa (jeśli kiedykolwiek nastąpi) zajmie dwieście sześćdziesiąt dni. Każda rana zdąży się przez ten czas skutecznie trzy razy zagoić – nawet w oziębającym śnie. Po badaniach, jak zawsze, wbili się w kombinezony i ruszyli do hali testów. Przez drzwi hangaru numer dwa weszli do atrapy marsjańskiej rakiety. Gdy zamknięto klapy, jak zwykle nastąpiły zastrzyki i ciemność.

Po przebudzeniu wszystko było takie normalne, że aż podejrzane. Tony zerwał opatrunek i przyjrzał się podejrzliwie zacięciu – było świeże, w kąciku krzepła właśnie kropelka krwi. Odprężył się. Co prawda nie podejrzewał wojskowych o to, że zrezygnują z oficjalnej pompy przy odlocie ekspedycji marsjańskiej, jak to się oficjalnie nazywało, ale czasami obawiał się, że za którymś razem zamiast na poligonie obudzi się na Marsie. Było to silniejsze od zdrowego rozsądku. Tym razem im to nie groziło. W tym momencie ożył obwód bezpieczeństwa – najpierw seria gwizdów, potem głos dyżurnego oficera.

– Poruczniku Bannerman, wstaliście już?

– Tak jest, sir!

– Sekundę, Tony. – Słysząc było, jak zwraca się do kogoś stojącego obok, po czym głos stał się ponownie czysty. – Mamy problem z komorą, siadła jedna z pomp i ciśnienie jest niższe niż faktyczne, marsjańskie. Poczekajcie z wyjściem, dopóki jej nie wymienimy.

– Tak jest, sir! – Wyłączył mikrofon akurat na czas, aby nie puścić opinii Hala na temat gotowości i pracowitości ekipy treningowej.

Jakiś kwadrans później radio znowu ożyło. – Wszystko w porządku. Zaczynajcie, jak było ustalone. Odsunęli rygle i otworzyli drzwi śluzy.

– No cóż, w końcu chociaż raz dali nam spokój z tym cholernym wiatrem – odezwał się Hal. – Ostatnim razem wiał jak opętany. Dzięki Steghamowi choć za to.

Kontemplował przez chwilę znany krajobraz rdzawego piachu i brunatnego nieba, gdy Hal, szukając czegoś w sterowni, ryknął nagle dziko:

– Chodź tu, szybko!

Nie musiał powtarzać, gdyż Tony był już przy nim, gapiąc się niezbyt przytomnie w ślad za wyciągniętym palcem Hala.

– Wskaźnik poziomu wody. Albo się zepsuł, albo mamy połowę zbiornika.

Rzucili się do roboty. Odkręcone pokrywy pokazały pęknięcie przy jednym ze wsporników, z którego wypływał strumyk.

– Cholerny Stegham i jego durne dowcipy. Założę się, że on to nazwał skutkiem lądowania. Trzeba to w coś łapać, dopóki tego nie zatkamy.

– To będzie dosłownie ”suchy” miesiąc – mruknął Hal, gdy skończyli łątać zbiornik i obliczyli ilość wody na osobę.

Pierwsze dni były identyczne jak w poprzednich ”podróżach”. Zatknęli flagi i wypakowali ekwipunek. Trzeciego dnia instrumenty pomiarowe były włączone, a czwartego byli gotowi do wypraw kolekcjonerskich. W tym właśnie dniu zaczęli sobie zdawać sprawę z obecności pyłu. Tony akurat przeżuwał swoją rację żywnościową (wody starczyło na jedno porządne picie w ciągu dnia), gdy Hal spytał:

– Zauważyłeś, ile tu się zebrało tego rdzawego świństwa? – Jak mógłbym nie zauważyć? Mam tyle tego gówna w ubraniu, jakby mnie obsiadło całe mrowisko. Do tej pory tego nie było.

– Następną niespodzianka naszego ukochanego szefa! – Nie ma innej rady. Trzeba się dokładniej czyścić przed wejściem na statek.

Pomysł był dobry, tylko nie dało się go wykonać. Pył miał konsystencję talku i trzepanie powodowało wyłącznie powstawanie nowej chmury, która wlatywała za nimi i osiadała na wszystkim. Próbowali go zignorować, klnąc w żywy kamień genialne pomysły Steghama i jego techników.

Skutkowało do ósmego dnia, gdy wracali z wycieczki badawczej, targając kontener z próbkami. Weszli do komory, otrzepali się jak umieli i Hal uruchomił mechanizm otwierania śluzy wewnętrznej. Potrzebna do tego była hermetyzacja komory, czyli zamknięcie zewnętrznych drzwi. Zamknęły się do połowy. Nawet poprzez skafandry czuć było wibrację poruszającego nimi silnika. Warczał przez chwilę bez żadnych efektów, po czym zapłonęła czerwona lampka awarii.

– Pył! – ryknął Tony. – Ten cholerny pył dostał się do mechanizmu!

Otwarta płyta kontrolna potwierdziła przypuszczenie – pył ze smarem stworzył piękną, stwardniałą już bryłę uniemożliwiającą dopchnięcie do końca tłoków zamykających śluzę.

Opisanie problemu było o wiele łatwiejsze od naprawy. Mieli przy sobie zaledwie kilka podstawowych narzędzi. Reszta wyposażenia była na statku. Aby się tam dostać, trzeba było zamknąć drzwi, a żeby je zamknąć, potrzebowali narzędzi. Błędne koło.

Prawie trzy godziny zajęło im usunięcie przeszkody tym, co mieli do dyspozycji – zbiorniki tlenu były puste i przez ostatni kwadrans pracowali na rezerwie. Ledwie dostali się do środka, Hal zdjął kask i padł na kolę. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Tony wmusił w niego parę łyków

lecniczej brandy z apteczki pokładowej i po jakichś dwudziestu minutach chłop wrócił do siebie.

Po powrocie z całodziennych wypraw po próbki mieli dwie do trzech godzin dla siebie. Hal był dobrym kumplem i najlepszym szachistą, jakiego Tony znał. Dość szybko się zorientował, że Hal spala się wewnątrznie – roznosiła go energia, nie mógł usiedzieć spokojnie.

Dwa dni po tym spostrzeżeniu Tony zaczął mieć problemy ze spaniem. Efektem było coraz wyraźniejsze podrażnienie nerwowe. A pył robił swoje – włączając w najdrobniejsze szczeliny, doprowadzał mechanizmy do stanu równego wyczerpaniu nerwowemu załogi. Na domiar tych wszystkich przyjemności przez cały czas musieli racjonować wodę, ciągle zatem byli spragnieni.

W najbliższym czasie coś musiało pęknąć.

Okazało się, że Hal. Nastąpiło to osiemnastego dnia pobytu. Musiał go w końcu dobić brak snu. Zawsze sypiał nader lekko, a teraz pył i związane z nim problemy praktycznie mu to uniemożliwiły. Tony słyszał, jak się wierci w koi, gdy sam zmuszał się do snu. Spał źle i bardzo krótko, ale zawsze. Po czarnych cieniach okalających oczy Hala można było poznać, że on nie sypiał wcale. Tego dnia wkładali właśnie skafandry, gdy Hal dostał ponownie ataku drgawek. Tony wlał w niego resztę leczniczej nalewki. Gdy się trochę uspokoił, zdołał wykrztusić urywanym głosem:

– Nie mogę... nie wytrzymam! Skafandry nie wytrzymają! – głos przeszedł w ryk. – Mogę zawieść, gdy będziemy na zewnątrz...! Nie zostanę tu ani chwili... wracamy...!

– Dobrze wiesz, że nie możemy. To ma trwać pełne dwadzieścia osiem dni – Tony starał się trafić mu do przekonania. – To już tylko dziesięć dni. Możesz to wytrzymać. Ten termin jest zakodowany w pamięci maszyn. Nic się wcześniej nie ruszy, nie możemy się stąd wcześniej wydostać. Ciesz się, że nie kazali nam tu siedzieć pełnego marsjańskiego roku, aż do zbliżenia planet.

– Przestań głądzić i nie próbuj mnie robić w konia. Gówno mnie obchodzi, co się stanie z pierwszą walną ekspedycją. Nie zamierzam oszaleć z braku snu tylko dlatego, że jakiś zidiociały na punkcie realizmu trep chce znać odpowiedź na swoje durne wątpliwości.

Jeśli nie przerwą eksperymentu, gdy im każą, to będzie morderstwo. – Hal wyskoczył z kabiny, zanim Tony zdążył zareagować, i dopadł pulpitu komputera. Przycisk NIEBEZPIECZEŃSTWO był tu jak zwykle do tej pory, ale sami nie wiedzieli, czy tym razem jest podłączony. A jeśli nawet jest, to czy ktokolwiek odpowie na wezwanie. Hal nacisnął go. Obaj spoglądali na głośnik, wstrzymując oddechy. Nagle coś w nim zgrzytnęło i odezwał się zimny głos pułkownika Steghama, wypełniając całą kabinę:

– Znacie warunki doświadczenia, a więc jakie są powody wezwania? Radzę wam, aby były naprawdę zasadne.

Hal złapał mikrofon i zaczął nieskładnie opowiadać. Ledwie zaczął, Tony wiedział, że nic z tego nie będzie. Łatwo było przewidzieć reakcję Steghama. Hal nie zdążył skończyć, gdy głośnik gwałtownie mu przerwał:

– Wystarczy. Twoje wyjaśnienia nie spowodują żadnych zmian w planie. Jesteście zdani na siebie i tak pozostanie. W tej chwili połączenie zostaje odcięte. Nie próbujcie się ze mną skontaktować, zanim eksperyment zostanie ukończony.

Szczęk wyłącznika był wystarczająco jasny. Hal stał osłupiały, po policzkach ciekły mu łzy wściekłości. Jednym szarpnięciem Tony wyrwał mikrofon i cisnął nim o ścianę.

– Poczekaj, gnoju, aż się to skończy, a poczujesz moje dłonie na swojej przeklętej szyi!

– Przynieś apteczkę! – Hal zwrócił się nagle do Tony'ego. – Pokażę temu kretynowi, że nie tylko on może sobie lecieć w kulki z tym cholernym eksperymentem.

W apteczce były cztery strzykawkki wypełnione morfiną. Hal złapał pierwszą z brzegu i wbił igłę w ramię. Tony nie próbował go powstrzymać, ponieważ zgadzał się całkowicie z jego

postępowaniem. W ciągu paru minut Hal wyciągnął się plackiem na stole i zachrapał.

Tony podniósł bezwładne ciało i zaniósł je na koję. Hal spał przeszło dwadzieścia godzin, a gdy się obudził, ślady obłądu zniknęły z jego twarzy i wzroku. Żaden nie wspominał o tym, co się stało. Hal racjonował sobie morfinę tak, aby spać jedną noc na trzy. Nie było to wiele, ale wyglądało na to, że mu wystarcza.

Do końca pozostały im cztery dni, gdy Tony znalazł pierwsze żywe stworzenie. Było wielkości kota i przycupnęło koło wspornika. Zawołał Hala i razem przypatrywali się temu.

– Piękne – stwierdził Hal – ale w czasie swojej drugiej ekspedycji znalazłem taką puszystą kulkę: była cudowna. Gdy ją rozciąłem, te wszystkie zębaki i obwody też były cudowne. Technicy tego drania odstawili kawał solidnej roboty. Nie mam ochoty tego wybebeszać. Może zostawimy to tu, gdzie jest?

Tony prawie się z nim zgodził, gdy nagle coś mu zaświtało.

– Prawdopodobnie tego od nas oczekują. Nie ma. Jak sobie gramy, to do oporu.

Przynieś pojemnik.

Po krótkim namyśle Hal spełnił prośbę. Wibracja śluzy musiała spłoszyć kolczatkę, bo ruszyła ku otwartej przestrzeni. Tony zastąpił jej drogę. Chciała go ominąć, toteż nastąpił na parę z jej nader licznych odnóży. Coś tam popękało i reszta korpusu usiłowała powlec się dalej. Celnie wymierzony kopniak położył kres tym próbom. Ostrożnie przyklęknął i podniósł parę zgruchotanych kończyn. Poprzez skórę przebijały w paru miejscach kości, a z ran ciekł mleczny płyn.

– Realizm – mruknął do siebie. – Ci technicy naprawdę wierzą w realizm.

I wtedy właśnie uderzyła go pewna myśl, której straszliwe nieprawdopodobieństwo zmroziło mu krew w żyłach. Musiał znaleźć na nią odpowiedź nawet za cenę ruiny ich spokoju. Złapał nieruchome ciało i nożem rozciął na połowę.

– Co ty, u diabła, robisz? – w głosie Hala było słycać niebotyczne zdumienie.

Tony'emu zrozumienie tego, co zobaczył, zajęło prawie dziesięć sekund, po czym ryknął:

– To jest żywe! Krwawi i nie ma wewnątrz mechanizmu! To nie może być żywe, a jeśli jest, to my nie jesteśmy na Ziemi! Jesteśmy na Marsie!

Usłyszawszy tę radosną wieść, Hal zerwał się do biegu, lecz po paru krokach zakopał się w piasku i przewrócił. Tony rozumiał, że ma tylko jedną szansę. Jeśli mu się nie uda, to obaj tu zostaną na skutek szaleństwa Hala. Zbliżył się do wstającego partnera i całą swą siłę włożył w ten właśnie cios – poniżej mostka, gdzie znajdował się zawór butli tlenowych. Ręka go zaboląa, ale Hal oklapł i osunął się bezwładnie. Wziął go pod ramiona i zaciągnął na statek. Pierwsze oznaki życia Hal zaczął dawać, gdy zdejmował mu skafander, ale problemy pojawiły się przy hibernatorze. Tony zainkasował trzy ciosy, zanim opanował sytuację na tyle, aby manipulator z igłą zrobił, co trzeba. Gdy wieko pojemnika zamknęło się ze świstem, Tony osunął się na podłogę. Był wyczerpany. Całe szczęście, że hibernatory można było uruchamiać cały czas, a nie dopiero po zakończeniu misji – ot, zwykły środek zapobiegawczy w wypadkach wymagających opieki lekarskiej. Mała rzecz, a cieszy. W końcu prawda odnalazła drogę do jego świadomości: Mars istniał rzeczywiście – to nie był symulowany trening czy sucha zaprawa. To był prawdziwy Mars, na którym on jest sam, o miliony lat świetlnych od domu. Z tą myślą zapadł w ciemność.

Tym razem otwierał oczy powoli i ostrożnie, obawiając się, że zamiast sali szpitalnej zobaczy sufit kabiny. Nie zobaczył. Był w szpitalu.

Gdy odwrócił głowę, zobaczył pułkownika Steghama siedzącego przy łóżku.

– Zrobiliśmy to? – spytał słabym głosem.

– Zrobiliście. Obaj. Hal leży tu po sąsiedzku.

W głosie pułkownika było coś dziwnego. Poraz pierwszy od czasu ich znajomości Stegham mówił z uczuciem innym niż złość.

– Pierwsza wyprawa na Marsa. Możecie sobie wyobrazić, co gazety piszą na ten temat.

Ale są ważniejsze sprawy. Kiedy się zorientowaliście, że to nie trening?

– Dwudziestego czwartego dnia. Znaleźliśmy jakiegoś zwierzaka. Byliśmy głupi, że zorientowaliśmy się tak późno.

– Nie tak bardzo. Cały wasz trening był tak ułożony, by do tego nie dopuścić. Nigdy nie byliśmy pewni, czy to się uda, ale należało spróbować. Psychologowie byli zdania, że osamotnienie i dezorientacja mogą spowodować załamanie. Nigdy się z nimi nie zgadzałem.

– A oni mieli rację – stwierdził Tony.

– Teraz wiemy, że mieli rację, pomimo że zwalczałem ich cały czas. Wygrali i cały ten program został ułożony według ich wskazówek. To nie było łatwe, ale zrobili wszystko, żeby was ogłupić tak długo, jak to tylko możliwe.

– Przepraszam, stary, za to, co mi się porobiło – to był Hal z sąsiedniego łóżka.

– Jasne, że wszystkie rozmowy, które prowadziliście ze mną, były nagrane na taśmę.

To znaczy moje wystąpienia szły z taśmy – przerwał mu Stegham. – Chodziło o maksymalny realizm, gdybyście coś podejrzewali. A poza tym użyliśmy odmiennej hibernacji, o której nic nie wiedzieliście: obniżenie temperatury ciała o dziewięćdziesiąt dziewięć procent. To i odpowiednio spreparowane skaleczenie na twoim policzku, Tony, miały was utwierdzić w przekonaniu, że od startu minęło niewiele czasu.

– A co ze statkiem? – Hal był niedoinformowany. – Widzieliśmy go... był do połowy ukończony...

– Makieta ustawiona dla publiczności i wszystkich tych ciekawskich służb wywiadowczych z sąsiedztwa. Prawdziwy został złożony i sprawdzony przeszło miesiąc przed waszym odlotem. Najtrudniejsza była kwestia dobrania załogi. To, co mówiłem o wynikach testów, było prawdą. Praktycznie pozostało was dwóch. No i nie było innej rady.

Psychologowie twierdzą, że następni nie będą już mieli takich problemów. Dzięki temu, że ktoś już był na Marsie przed nimi, będą inaczej nastawieni. Rozumiecie? Chodzi o to, że nie jest to już całkowicie obcy świat. – Przez chwilę panowało milczenie, po czym Stegham zmusił się do wypowiedzenia następnych słów: – Chciałbym, żebyście zrozumieli obaj... że wołałbym lecieć... sam, niż wykręcać wam ten numer. Wiem, co musieliście czuć. To tak, jakbyśmy zrobili coś...

– Jak międzyplanetarny kawał – mruknął Tony. – Tyle że dość kiepski.

– Tak, coś w tym stylu. Mam nadzieję, że rozumiecie. To było nie fair, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Wy dwaj byliście jedynymi, wszyscy inni odpadli w testach. To musieliście być wy, a chcieliśmy, żeby odbyło się to w maksymalnie bezpieczny sposób. O tym, co się działo, wiedziałem tylko ja i trzech innych ludzi. Nikt inny nigdy się o tym nie dowie. Gwarantuję wam to.

Głos Hala był cichy, ale ciął jak ostrze noża:

– Może pan być pewien, pułkowniku, że my nikomu o tym nie powiemy.

Gdy pułkownik Stegham wychodził, miał nisko zwieszoną głowę – nie mógł się zdobyć na to, aby spojrzeć w oczy pierwszym dwóm badaczom Marsa...

Przełożył Jarosław Kotarski

# Nareszcie prawdziwa historia Frankenstein

– A oto widzą państwo potwora zbudowanego przez mego pradziadka, wielkiego Victora Frankenstein, z fragmentów ciał pochodzących z sal sekcyjnych i wykradzonych świeżo zakopanych na cmentarzu trupów. Proszę o uwagę... – Wysoki mężczyzna na podwyższeniu uniósł teatralnie rękę i przy wtórze jęku zebranych za rozsuniętą zasłoną ukazał się oświetlony od góry zgniłym, zielonkawym blaskiem potwór, którego reklamował.

Stojący tuż przy sznurowej barierce, czyli w pierwszym rzędzie zatłoczonego namiotu, Dan Bream otarł zroszone potem czoło – wewnątrz było gorzej niż w łaźni – i przyjrzał się uważnie eksponatowi. Wyglądał nie najgorzej, zwłaszcza biorąc pod uwagę jarmarczny charakter imprezy zwanej odpustem oraz miejsce, w którym wszystko się działo, czyli zabita dechami dziurę na głębokim południu. Błada skóra bez kropli potu, szwy w miejscach zeszywania skóry, oczy bez wyrazu i dwa metalowe gniazda na skroniach – dokładnie jak w filmie.

– Unieś prawą rękę! – polecił Victor Frankenstein V z twardym, pruskim akcentem i powoli, niczym źle naoliwiony mechanizm, potwór uniósł prawą rękę do wysokości ramienia i znieruchomiał. – Ten stwór zbudowany z kawałków trupów nie może umrzeć, a gdy jakaś jego część za bardzo się zużyje, po prostu doszywam nową zgodnie z przepisem przekazywanym w naszej rodzinie z ojca na syna. On także nie czuje bólu, jak widzicie...

Tym razem jęk był głośniejszy, jako że mówiący przebił biceps potwora długą na stopę szpilą o harpunowatym zakończeniu, tak że wystawała z drugiej strony. Potwór nie drgnął, a na metalu nie pojawiła się nawet kropelka krwi.

– ...obojętne mu gorąco czy mróz i ma siłę dziesięciu ludzi... – ciągnął głos z niemieckim akcentem, ale Don miał już dość: widział całe przedstawienie trzy razy, co w zupełności mu wystarczyło, a pozostanie w namiocie groziło uduszeniem albo rozpuszczeniem, toteż energicznie przepchnął się do wyjścia.

Na zewnątrz było niewiele chłodniej, ale przynajmniej tak nie śmierdziało. Tubylcy wyraźnie wychodzili z założenia, że częste mycie skraca życie. Ponieważ jednak na Florydzie wszystkie bary mają klimatyzację, ruszył do najbliższego krokiem kogoś, kto ma jasno wytyczony cel w życiu.

Piwo, kufel i butelka były przyjemnie zimne, a pierwszy orzeźwiający łyk postawił go na nogi. Drugie piwo można było wypić wolniej, toteż zabrał je do stolika, wytarł blat papierową serwetką, po czym usiadł i wyjął z kieszeni kilka pogniecionych i przepoconych kartek. Przeczytał starannie ich treść, dopisał parę zdań i schował je do wewnętrznej kieszeni.

Dotarł do połowy kufelka, gdy w drzwiach stanął Victor Frankenstein V, bez monokla i reszty artystycznego przyodziewku.

– Wspaniały numer! – zawołał radośnie Dan. – Pozwolisz, że ci postawię?!

– Głupi byłbym, odmawiając – odparł zapytany z nosowym akcentem rodem z Nowego Jorku; niemiecki zniknął wraz z monoklem. – Jeśli mają schitza lub buda, to piwo, jeśli tylko lokalne popłuczyny, to burbon...

Spokojnie usiadł przy stole, a Dan zajął się piwem.

– Całe szczęście, że zimne – mruknął i wsypał sól do kufła, aby się wymieszała, po czym duszkiem wypił połowę zawartości naczynia. – Widziałem cię dziś na paru pokazach.

Podoba ci się numer czy jesteś po prostu maniakiem odpustów?

– Numer jest dobry, a z zawodu jestem dziennikarzem. Dan Bream.

– Zawsze miło spotkać kogoś z prasy, reklama to dźwignia show-businessu. Jestem Stanley

Arnold, nazywaj mnie Stan.

– Frankenstein V to pseudo?

– A co myślałeś? Jak na reportera nie jesteś zbyt bystry... schowaj legitymację, żartowałem. Co powiesz o moim potworku?

– Wygląda autentycznie: szwy, gniazdka...

– Makijaż i klej dobrej jakości. Wszystko, bracie, jest iluzją, ale miło słyszeć, że numer wygląda autentycznie nawet dla doświadczonego dziennikarza. Tak na marginesie: dla jakiej gazety piszesz?

– Jestem wolnym strzelcem. O tobie dowiedziałem się z pół roku temu i zainteresowałem się, przyznaję. Trochę poszperałem w różnych miejscach i tak sobie myślę, że tak naprawdę to chyba nie chcesz, żebym cię nazywał Stan: w papierach naturalizacyjnych figurujesz jako Victor Frankenstein, więc Stein byłoby bliższe prawdy...

– I co jeszcze wyszperałeś? – głos Frankensteina stał się chłodny i pozbawiony emocji.

– Że urodziłeś się w Genewie, a do Stanów przybyłeś w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym...

– Zaraz usłyszę, że jestem właścicielem prawdziwego potwora.

– Tak właśnie sędzę. Ani hipnoza, ani joga nie potrafi aż tak znieczulić na ból, nie mówiąc już o wzroście siły. A twój podopieczny ma i jedno, i drugie. Wiesz, czego chcę?

Chcę poznać prawdę.

– Prawdę... – Frankenstein roześmiał się nagle i klepnął rozmówcę w ramię. – Dobra, Dan. Poznasz prawdę: jesteś upartym dziennikarzem i należy ci się nagroda. Ale najpierw przynieś coś do picia, i to nie lokalną wodę z bagien.

Akcent z Nowego Jorku zniknął, podobnie jak przedtem niemiecki, i jego angielski nie miał teraz żadnych naleciałości.

– Wolę piwo. – Dan zabrał butelki. – Tutaj panuje prohibicja, jakbyś zapomniał.

– Nie zapomniałem, gdzie żyję, Dan. To wielki i wolny kraj. Może i obowiązuje tu zakaz sprzedaży alkoholu, ale jak położysz pięć dolarów na ladzie i powiesz, że chcesz mountain dew, to na pewno nie dostaniesz soku pomarańczowego. Reszty zresztą też nie.

Dan zrobił, co mu kazano, i wrócił z butelką kukurydzianej wódki i dwiema szklankami.

– Możesz mi mówić Victor, chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi – oznajmił Frankenstein po pierwszej kolejce. – Opowiem ci zaskakującą, ale prawdziwą historię, którą zna niewielu. Prawdziwą, a nie wypływającą z ignorancji stek półprawd i czystych bujdy, które tworzą tę głupią książkę Mary Godwin. Mój ojciec do śmierci pluł sobie w brodę, że w chwili słabości zwierzył się tej głupiej gęsi z tego, czym się w tajemnicy zajmował. Na szczęście nie powiedział jej wszystkiego...

– Momencik. Powiedziałeś, że to będzie prawda, a Mary Godwin Shelley napisała Frankensteina albo Nowego Prometeusza w tysiąc osiemset osiemnastym roku. Nie chcesz mi chyba wmówić, że twój ojciec...

– Poczekaj i nie przerywaj. Obiecałem ci prawdę i mówię prawdę: ojciec zajmował się wieloma rodzajami badań. Wszystkie miały jedną cechę wspólną: tajemnicę życia. Potwór, jak go nazywano, był tylko jednym z jego osiągnięć, głównie zaś interesował się długowiecznością i przyznać należy, że umarł bardzo późno. Nie powiem ci, w którym roku ja się urodziłem, bo to nie ma nic do rzeczy. Co się tyczy tej głupiej Mary Godwin, to ojciec znał ją, zanim wyszła za tego całego poetę, i miał nadzieję, że wybierze jego, gdyż mu się podobała. Finał znasz: spisała wszystko, co zdołała zrozumieć z wynurzeń ojca, rzuciła go i napisała tę parszywą książkę. Roi się w niej od

błędów, że aż coś! – Ponownie klepnął reportera w ramię. – Po pierwsze: ojciec nie był Szwajcarem, tylko pochodził z porządnej bawarskiej rodziny o długim rodowodzie. Po drugie, uniwersytet nie mieścił się w Ingolstadt, bo w tysiąc osiemsetnym roku przeniesiono go do Landshut, o czym wie każdy uczeń w okolicy. Po trzecie, całkowicie i złośliwie zmieniła charakter ojca: nigdy nie płakał i na pewno nie był niezdecydowany, wręcz przeciwnie. No, a na koniec nic nie rozumiała z doświadczeń, jakie prowadził: tak była zafascynowana ideą Golema, że wszystko przekreśliła.

Ojciec nie budował niczego z fragmentów nieboszczyków, bo to nonsensowny pomysł.

Ojciec zajmował się, i to z powodzeniem, przywracaniem martwych do życia, choć naturalnie nie w pełni i nie do końca. Faktem jest, że trupy chodziły i wykonywały polecenia. Wyszedł w tych badaniach od zombie, ale znacznie udoskonalił technikę i osiągnął lepszy efekt niż szamani. I to jest właśnie prawda i cała tajemnica. Teraz pozostaje jedna drobna kwestia: co należy zrobić, by nadal była tajemnicą, panie Bream?

Pytanie zadane było takim tonem, że reporter aż się cofnął. Po paru sekundach rozluźnił się jednak – tu, wśród ludzi, był bezpieczny, a co dalej, to się zobaczy.

– Boisz się, Dan? – spytał Victor, ponownie klepiąc go w ramię. – Nie ma czego.

– Co to było? – zdziwił się Dan, gdy poczuł ukłucie w ramię.

– Nic takiego. – Frankenstein uśmiechnął się, ale tym razem bez cienia wesołości, i pokazał mu otwartą dłoń, na której leżała pusta ministrzykawka, jakich używają chorzy na cukrzycę.

– Siadaj! – powiedział cicho, widząc, że Dan wstaje, i tamten posłusznie usiadł.

– Coś mi zrobił? – spytał przerażony dziennikarz.

– Zastrzyk niegroźny dla zdrowia, którego receptura jest właśnie rodzinnym sekretem.

Jest nieszkodliwy, ale ma dziwne działanie: umożliwi mi panowanie nad twoim ciałem; bez mojego rozkazu nic nie zrobisz ani nie powiesz, choć często będziesz miał ochotę. Jak długo jesteśmy razem, musisz wykonywać moje polecenia, a zapewniam cię, że cały czas będziemy razem. Zanim działanie specyfiku się skończy, będziesz już martwy. Napij się piwa i posłuchaj finału.

Przerażony dziennikarz bezradnie patrzył, jak jego mięśnie wykonują polecenie Victora wbrew jego woli.

– Tak więc słynny Frankenstein nie jest żadnym arcydziełem krawiectwa, tylko uczciwym zombie: trupem, który może chodzić, ale nie może mówić, może wykonywać rozkazy, ale nie może myśleć. Ruszające się w rytm rozkazów ciało, idealny niewolnik. Tak jak Charley, którego tyle razy oglądałeś. Jest tylko jeden problem: trup nie ma funkcji życiowych i komórki nie regenerują się, nie mówiąc już o dziurach powstających w wyniku przedstawienia. Stary Charley przypomina zużytą poduszkę do igieł, a poza tym nie ma palców u nóg: odłamują się, kiedy zbyt szybko chodzi. Czas posłać go na emeryturę, jako że miał długie życie i jeszcze dłuższą śmierć. Wstań, Dan! Ślicznie. Taak, na koniec ciekawostka: wiesz, kim był Charley, zanim rozpoczął karierę artystyczną? Dziennikarzem, tak jak ty i podobnie jak ty wścibskim, który wreszcie tak samo jak ty nie zrozumiał wagi swego odkrycia i najpierw postanowił pogawędzić ze mną. Pokażę ci karty wizytowe twoich poprzedników, naturalnie zanim cię zabiję, potem nie byłbyś w stanie ich docenić. Mówię ci, stary: prasa to potęga! A teraz chodź!

I Dan poszedł za nim w gorącą noc, grzecznie i cicho, tylko wewnątrz resztki jego "ja" były z przerażenia.

Przełożył Jarosław Kotarski



# Robot, który chciał wiedzieć

Całe nieszczęście polegało na tym, że Filer 13B-445-K chciał wiedzieć wszystko na świecie. W tym również to, co zupełnie go nie dotyczyło i co nie miało prawa interesować żadnego robota, nie mówiąc już o wnikliwszym badaniu. Niestety – Filer pod tym względem był robotem szczególnym. A przecież historia z blondynką z Dwudziestego Drugiego Wydziału powinna była posłużyć mu za dobrą lekcję. Wychodził właśnie z hałasem z magazynu, trzymając w rękach stertę książek, i podążał przez Dwudziesty Drugi, kiedy ją zauważył. Pochyliła się nad jakąś książką, która znajdowała się na najniższej półce. Robot zwolnił i zatrzymał się kilka kroków od niej, nie spuszczając z niej wzroku ani na chwilę.

Jego metaliczne oczy dziwnie błyszcząły. Kiedy dziewczyna się schyliła, jej krótka spódniczka ukazała oczom robota obciążnięte nylonowymi pończochami nogi. Ale nogi – chociaż, co prawda, nieprzeciętnie zgrabne – robota nie powinny w ogóle interesować. A mimo to Filer zwrócił na nie uwagę. Stał i patrzył. Wreszcie dziewczyna, zauważywszy jego spojrzenie, odwróciła się.

– Gdybyś był człowiekiem, Buster, dałabym ci po fizjonomii – powiedziała. – Ale ponieważ jesteś robotem, to bardzo chciałabym wiedzieć, w co tak wlepiłeś te swoje foto-oczka?

– Szew się pani przekrzywił – nie namyślając się ani chwili odparł Filer, po czym odwrócił się i z mechanicznym pomrukiem ruszył dalej.

Zaskoczona blondynka z niedowierzaniem pokręciła głową, poprawiła szew na łydce i po raz kolejny pomyślała, jaka z tej elektroniki chytra nauka. Gdyby wiedziała, na co rzeczywiście patrzył Filer, jej zdumienie nie miałoby zapewne granic. Bo on patrzył na jej nogi. Oczywiście – Filer nie skłamał – roboty po prostu nie są w stanie kłamać, ale w żadnym wypadku nie patrzył tylko na przekrzywiony szew. Filer napotkał problem, którego nie próbował rozwiązać jeszcze żaden robot na świecie. Miłość, romantyzm, problemy płci – oto, co z godziny na godzinę coraz bardziej go zajmowało. Rozumie się, było to zainteresowanie o podłożu czysto akademickim, a mimo to była to również bezspornie jego pasja. Sama praca obudziła w nim zaciekawienie tą dziedziną życia, w której króluje bogini Wenus.

Roboty systemu FILER odznaczają się wyjątkowymi walorami intelektualnymi i nie produkuje się ich zbyt wiele. Można je ujrzeć tylko w największych bibliotekach, a i tam pracują jedynie przy największych i najbardziej skomplikowanych księgozbiorach. Nie można ich nazwać po prostu bibliotekarzami – oznaczałoby to bowiem ukazanie w fałszywym świetle pracy samych bibliotekarzy, jako łatwej i prostej. Jasne jest również, że do rozmieszczania książek na półkach i stemplowania kart bibliotecznych nie potrzeba wielkiego intelektu. Ale też już od dawna wszystkie te czynności wykonują najprostsze roboty, w istocie niewiele bardziej skomplikowane niż prymitywne IBM na kółkach. Wprowadzanie jednak do systemu elektronicznego pewnego zasobu ludzkiej wiedzy było zawsze niewiarygodnie trudne.

Warunki te spełniły w końcu roboty systemu Filer. Ich metalowe ramiona nie ugięły się pod tym brzemieniem – podobnie jak kiedyś nie ugięły się ramiona ich poprzedników, bibliotekarzy z krwi i kości. Oprócz zwykłej pamięci Filery dysponowały zdolnościami właściwymi w normalnych warunkach tylko mózgowi ludzkiemu. Umiały one na przykład budować i kojarzyć pojęcia abstrakcyjne.

Jeśli Filera proszono o książkę dotyczącą jakiegokolwiek problemu, natychmiast przypominał on sobie wszystkie książki traktujące o dziedzinach pokrewnych i mogące również się przydać. Wystarczyła mu tylko sugestia, by mógł zbudować logiczny łańcuch pojęć i przedstawić go w

najzupełniej realnej postaci sterty książek. Umiejętności takie właściwe są tylko homo sapiens – człowiekowi rozumnemu. One to właśnie pomogły człowiekowi wybić się ponad jego krewniaków ze świata zwierzęcego. I jeśli Filer okazał się bardziej ludzki niż inne roboty, to winić za to można było tylko jego twórcę – człowieka. Sam Filer nikogo za nic nie winił – on był po prostu żądny wiedzy. Zresztą wszystkie roboty tego systemu są żądne wiedzy, bo tak już zostały skonstruowane.

Na przykład pod ręką jednego z Filerów 9B-367-0 – bibliotekarza Uniwersytetu Taszkienckiego – znalazła się nieprzebrana liczba podręczników do nauki języków, zajął się więc lingwistyką. Znał tysiące języków i narzeczy – praktycznie wszystkie, w jakich można było znaleźć jakiegokolwiek teksty. W kręgach naukowych uważano go za niedościgły autorytet. A wszystko dzięki bibliotece, w której pracował. Natomiast 13B, ten, który z takim zainteresowaniem oglądał dziewczęce nogi, był zatrudniony w zakurzonych labiryntach Nowego Waszyngtonu. Tutaj miał dostęp nie tylko do najnowszych mikrofilmów, ale i do ton starożytnych ksiąg, wydrukowanych jeszcze na papierze, wiele wieków temu. Jednakże najbardziej zajmowały Filera powieści napisane w owych minionych czasach. Początkowo zupełnie zbiły go z tropu niezliczone wzmianki i aluzje do romantycznych przeżyć, uniesień, mąk ciała i duszy, nieodmiennie towarzyszących wielkiej miłości. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć pełnej definicji tych pojęć, co naturalnie zainteresowało go jeszcze bardziej.

Stopniowo zaintrygowanie przeszło w pasję, a pasja w manię.

I nikt na świecie nie podejrzewał nawet, że Filer stał się ekspertem w sprawach miłości.

Już na początku swych badań zdał sobie sprawę z tego, że ze wszystkich form stosunków międzyludzkich miłość jest najsubtelniejsza i najbardziej krucha. Dlatego badania te utrzymywał w największej tajemnicy i wszystko, co udało mu się odkryć, starannie chronił w pojemnych zakamarkach swojego elektronicznego mózgu. W tym samym mniej więcej czasie doszedł do wniosku, że swoją wiedzę książkową uzupełnić może obserwacjami rzeczywistości. Stało się to wówczas, gdy w oddziale nauk zoologicznych natknął się niechcący na zastygłą w objęciach parę. Błyskawicznie uskoczył wtedy w cień i przełączył urządzenia słuchowe na maksymalną czułość. Ale rozmowa, którą podsłuchał, wydała mu się, delikatnie mówiąc, nudnawa. Wszystko to stanowiło tylko żalosne, niesłychanie ubogie naśladownictwo wspaniałych miłosnych tyrad, z którymi zetknął się w książkach. Ale porównanie okazało się cenne i pouczające. Po tym wypadku starał się nie przeoczyć żadnej okazji przysłuchania się rozmowie między kobietą i mężczyzną. Próbował oglądać kobiety z męskiego punktu widzenia i na odwrót. I dlatego właśnie z takim zaciekawieniem przyglądał się dolnym kończynom blondynki z Dwudziestego Drugiego.

Dlatego też – koniec końców – popełnił ów fatalny błąd.

Kilka tygodni temu Filer asystował jakiemuś szperaczowi, który życzył sobie jego usług. Przy tej okazji tamten wyrzucił z kieszeni na stół masę różnych papierków. Spomiędzy nich wysliznęła się jakaś karteczka i upadła na podłogę. Filer podniósł ją i oddał właścicielowi, który wymruczał podziękowanie i schował ją do kieszeni. Kiedy wszystkie potrzebne książki zostały już skompletowane i facet poszedł swoją drogą, Filer usiadł i odczytał tekst zapisany na karteczce. Widział ją tylko jakiś ułamek sekundy – i to w dodatku do góry nogami – ale więcej nie było mu trzeba. Obraz karteczki na wieki utrwalił się w jego mózgu.

Filer długo nad nią rozmyślał, dopóki nie zaczął się przed nim rysować pewien konkretny plan. Bilecik był zaproszeniem na bal kostiumowy. Znał dobrze ten rodzaj rozrywek, gdyż opisy takich zabaw raz po raz pojawiały się na zakurzonych stronicach starych romansów. Na takie bale ludzie zwykle chadzali przebrani za romantycznych bohaterów. Dlaczegożby i robot nie miał pójść na taki bal, przebrany za człowieka? Kiedy ta właśnie myśl raz zrodziła się w jego głowie, nie był już w stanie się jej pozbyć.

Oczywiście, takie myśli były robotom w ogóle zakazane, nie mówiąc już o ich realizacji. Filer po raz pierwszy uświadomił sobie, że łamie barierę oddzielającą go od sekretów miłości i romantycznych przygód. To jednak, jak należało się spodziewać, jeszcze bardziej go podnieciło. I, rozumie się, postanowił się wybrać na bal. Oczywiście Filer nie śmiał kupić kostiumu. Ale przecież w magazynach zawsze można znaleźć stare portiery! W jakiejś książce przeczytał o sztuce kroju i szycia, w innej znalazł obrazek kostiumu, który wydał mu się najodpowiedniejszy. Sam los przeznaczył mu odegranie roli rycerza.

Starannie zaostrzonym piórem odmalował na kartonie kopię zaproszenia. Zrobienie maski, a ściślej mówiąc, połowy maski, drugą połowę stanowiła bowiem maska ludzkiej twarzy, nie było przy jego talencie i możliwościach technicznych zbyt skomplikowane. Na długo przed wyznaczonym dniem wszystko było gotowe.

Pozostały czas wypełniło mu kartkowanie wszelkich dostępnych opisów balów kostiumowych oraz staranne studiowanie najnowszych tańców. Filera do tego stopnia zaabsorbował ten pomysł, że ani razu nie pomyślał nawet o tym, jak obce powinny być robotowi tego rodzaju zajęcia. Czuł się po prostu jak uczony badający osobliwy gatunek żywych istot. Rodzaj ludzki. A ściślej mówiąc – żeński.

Aż wreszcie nadszedł długo oczekiwany wieczór. Filer wyszedł z biblioteki, trzymając w ręku zawiniątko podobne do paczki książek.

Nikt nie zauważył, kiedy skrył się w zaroślach porastających biblioteczny ogród. A jeśli nawet zauważył, to z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że to właśnie Filer jest tym eleganckim młodym człowiekiem, który kilka minut później wyszedł z drugiej strony.

Jedynym, niemym świadkiem owej metamorfozy był arkusz papieru pakowego pozostawiony w krzakach.

W swoim nowym wcieleniu Filer prezentował się nieskazitelnie – jak przystało robotowi najwyższej klasy, który doskonale przestudiował swoje zadanie. Lekko wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i niedbale okazał swoje zaproszenie. Po wejściu skierował się wprost do bufetu i wlał do plastikowej rurki, podłączonej do zbiorniczka w jego klatce piersiowej, trzy kieliszki szampana. Dopiero potem pozwolił sobie na obrzucenie leniwym spojrzeniem zebranych na sali kobiet.

Tak, ten wieczór był stworzony do miłości. Spośród wszystkich kobiet jedna od razu przykuła jego uwagę. Zrozumiał, że to właśnie ona jest królową balu i ona jedna jest godna jego adoracji.

Czyż mógł przystać na coś innego – on, spadkobierca pięćdziesięciu tysięcy romantycznych bohaterów dawno zapomnianych książek?

Caroll Ann van Damm była, jak zawsze, smutna. Jej twarz skrywała maska, ale żadne przebranie nie było w stanie ukryć cudownych kształtów jej ciała. Liczne grono wielbicieli w dziwacznych kostiumach tłoczyło się przy niej, gotowe do usług. Każdy z nich marzył o zawładnięciu jej młodością i pięknem, a przy okazji milionami jej ojca. Wszystko to dawno jej się znudziło i teraz z trudem powstrzymywała ziewanie. I wtedy tłum adoratorów uprzejmie, lecz stanowczo rozsunęły szerokie ramiona nieznanego. Rozstąpili się w milczeniu, a on stanął pośród nich jak lew wśród stada wilków.

– Ten taniec należy do mnie – powiedział wyniośle głębokim, niskim tonem.

Machinalnie wsparła się na wyciągniętym ramieniu, niezdolna sprzeciwić się człowiekowi, w którego oczach taił się taki przedziwny blask. Jeszcze chwila... i już wirowali w walcu... Miał mięśnie krzepkie jak stal, lecz tańczył z lekkością i gracją młodego boga.

– Kim pan jest? – szepnęła.

– Pani księciem. Przybyłem, by panią stąd uprowadzić – odpowiedział półgłosem.

– Mówi pan rzeczywiście jak książkę z bajki – roześmiała się.

– Bo to jest bajka, a pani jest księżniczką...

Te słowa jak iskra rozpały jej duszę i całą jej istotę przeszył jakby prąd. W istocie było to wyładowanie elektryczne. Jego usta szeptały słowa, o których usłyszeniu marzyła przez całe życie. Nogi, jak zaczarowane, same poniosły poprzez wysokie drzwi na taras.

Słowa przemieniły się w czyn, a gorące usta dotknęły jej ust. I to jeszcze jak gorące – termostat był nastawiony na czterdzieści dwa stopnie!

– Usiądźmy – wyszeptała resztkami tchu, czując, jak słabnie od nieoczekiwanej ogarniającej ją namiętności.

Usiadł obok niej, ściskając jej ręce w swoich, tak nieludzko silnych, a mimo to delikatnych. Mówili sobie słowa znane tylko zakochanym, dopóki znów nie zagrała orkiestra.

– Północ – wyszeptała. – Czas zdjąć maski, kochany.

Zdjęła swoją, lecz Filer, oczywiście, nawet nie drgnął.

– A ty? – zapytała. – Także musisz zdjąć swoją.

Te słowa zabrzmiały jak rozkaz, a robot nie mógł odmówić wykonania rozkazu.

Szerokim gestem zrzucił maskę i plastikową atrapę z podbródkiem. Carroll Ann najpierw przeraźliwie krzyknęła, a potem aż pozieleniała z wściekłości.

– Co to znaczy?! Odpowiadaj, ty blaszanko!!!

– To miłość, najdroższa. To miłość mnie tu przywiodła i rzuciła w twoje objęcia...

Odpowiedź była najzupełniej prawdziwa, chociaż Filer przyoblekł ją w formę odpowiadającą jego roli. Usłyszawszy te pieszczotliwe słowa, dobiegające z bezdusznej, elektronowej paszczy, Carroll Ann ponownie krzyknęła. Zrozumiała, że padła ofiarą okrutnego żartu.

– Kto cię tu nasłał? Odpowiadaj! Co oznacza ta maskarada? Odpowiadaj! Odpowiadaj!

Odpowiadaj! Ty skrzyńo złomu!!!

Filer pragnął posortować tę lawinę pytań i odpowiedzi na każde z nich z osobna, ale Carroll Ann nie dała mu czasu na otworzenie ust.

– Coś podobnego! Przysłać cię tu w przebraniu człowieka! W życiu nikt tak ze mnie nie zakpił! Jesteś robotem, rozumiesz? Niczym! Dwunogą maszyną z głośnikiem! Jak śmiałeś udawać człowieka, kiedy jesteś robotem?! Odpowiadaj!!!

Filer nieoczekiwanie powstał.

– Jestem robotem – wyrwały się z urządzenia mówiącego urywane słowa.

To już nie był pieszczotliwy głos kochanka, lecz wrzask zrozpaczonej maszyny. Myśli jak huragan krążyły w elektronowym mózgu, ale w gruncie rzeczy była to tylko jedna, wciąż ta sama myśl...

Jestem robotem... robotem... widać zapomniałem, że... jestem robotem... i co powinien czynić robot z kobietą... robot nie może całować kobiety... kobieta nie może kochać... robota... ale przecież ona powiedziała, że... kocha mnie... i mimo to jestem robotem... robotem...

Cały drżący odwrócił się i zgrzytając, warcząc, ruszył przed siebie. W marszu jego stalowe palce zdzierały z korpusu resztki ubrania i plastikową imitację tkanki ludzkiej.

Wszystko to odpadało strzępami na ziemię. Po jakichś stu metrach pozostała na nim tylko naga stal – taka jak w pierwszym dniu jego mechanicznego stworzenia. Przeszedł przez ogród i wyszedł na ulicę. Myśli w jego stalowej głowie coraz szybciej wirowały w zaklętym kręgu.

Rozpoczęła się nie kontrolowana reakcja. Błyskawicznie ogarnęła nie tylko mózg, ale i całe mechaniczne ciało. Szybciej kroczyły nogi, pośpieszniej pracowały silniki, a w piersi jak oszalała miotła się pompa smarownicza. I nagle robot, z przeraźliwym krzykiem, rozrzucił ręce na boki i

runął twarzą do ziemi, uderzając głową o schody. Ostry kant granitowego stopnia przebił cienką powłokę ciała. Metal zazgrzytał o metal i w skomplikowanym mózgu elektronicznym nastąpiło krótkie spięcie. Robot Filer 13B-445-K był martwy. Tak w każdym razie głosiła diagnoza mechanika ogłoszona następnego dnia. Właściwie nie „martwy”, lecz

„nieodwracalnie uszkodzony”. Należało rozebrać go na części. Ale najdziwniejsze było to, co powiedział mechanik podczas oględzin metalowego trupa – bo powiedział zupełnie coś innego. W oględzinach towarzyszył mu drugi mechanik. On to odkręcił śruby i wyjął z klatki piersiowej pękniętą pompę smarowniczą.

– W tym sęk – stwierdził. – Niesprawna pompa. Pękł tłok i ustało podawanie oleju do stawów kolanowych. Z tego powodu upadł i rozwalił sobie głowę.

Pierwszy mechanik wytarł szmatką zatłuszczone ręce i przyjrzał się uszkodzonej pompie. Potem przeniósł wzrok na ziejącą w klatce piersiowej dziurę.

– Coś podobnego! Po prostu pękło mu serce!

Obaj zaśmiali się i mechanik cisnął pompę w kąt na stos innych, zniszczonych, brudnych i nikomu już niepotrzebnych części.

Przełożył Jarosław Kotarski

# Szczęśliwe wakacje Billa Bohatera Galaktyki

Łapówka była potężna: butla pełna drainO, napitku o mocy stu osiemdziesięciu procent, zwanego także Rozkoszą Pijaka i zdolnego przepalić szkło na wylot. Wszelako mając niejaki pojęcie o zasadach rządzących tą armią (i każdą inną armią w dziejach wszechświata), Bili przekazał butlę szefowi kompanii dopiero wtedy, gdy ujrzał swoje imię wypisane na rozkazie wyjazdu.

To było to! Jego pierwszy UW od czasu rozpoczęcia służby. Bili uśmiechnął się mimowolnie, aż krople śliny skapnęły z potężnych kłów, i zapoznał się ze szczegółami rozkazu.

Teraz uważać. O trzeciej dwadzieścia cztery zostaniecie zabrani z kompanii razem z innymi, którym udzielono UW, na luksusową Wyspę Wakacyjną na Anthraksie, gdzie nacieszycie się słońcem, piaskiem i innymi takimi. Do chwili przybycia na miejsce i rozpoczęcia właściwego Urlopu Wypoczynkowego wszelka próba cieszenia się wyżej wymienionymi karana będzie śmiercią przez...

Łzy napłynęły mu do oczu i uniemożliwiły dalszą lekturę. Czemu nie, jasne, że będzie cieszył się słońcem i piaskiem, nie pogardzi też innymi takimi.

Następnego ranka, dokładnie o 3.24, nie stało się nic. Jak to w wojsku. Wraz z innymi szczęściarzami Bili przez dwie godziny czekał w poduszkowcu, odgniatając sobie siedzenie na stalowej ławce, aż wiedziony jakimś tajemniczym sygnałem pilot zapalił silniki, wielkie śmigła drgnęły i maszyna ruszyła powoli przez plażę ku oceanowi.

Następnie wzbiła się na sto stóp w górę i runęła z łomotem do wody.

– Katastrofa! Już po nas! – krzyknął Bili, gdy wszystkie zęby mu zadzwoniły, a kręgosłup dokonał próby punkcji mózgowczaszki.

– Stul pysk, gnojku – warknął siedzący obok sierżant. Wstrząs się powtórzył. – Tylko cywilne poduszkowce latają po prostej. To wojskowy model i on skacze. W ten sposób unika ognia nieprzyjaciela.

– I równocześnie rozgniata na papkę wszystkich w środku?

– Właśnie, pomyj. Widzę, że się uczysz.

Skoki trwały całą wieczność. W końcu jednak poduszkowiec znieruchomiał i zapanowała cisza przerywana tylko jękami wykastrowanych połamańców.

– Wysiadać! – zagrzmiało w głośnikach. – Ostatni dostanie tydzień służby w latrynie.

Łkając i stękając, urlopowicze popełzli i pokuśtykali do drzwi, przy których rychło uformował się zator i doszło do walki na pięści. Kolejno wypadali z luku na piaszczysty brzeg.

– Ten piasek jest czarny – wymamrotał Bili.

– A jaki ma być? – warknął sierżant z sadystycznym błyskiem w oku. – To wulkaniczna wyspa, a lawa jest czarna. Zbiórka!

Jakby dla podkreślenia wagi jego słów grunt zadrżał niczym pies, po którym skacze całe stado pcheł. Z przerażeniem ujrzeli, jak szczyt pobliskiej góry rozkwita chmurą dymu. W powietrzu zagwizdały kamienie.

– Mamy wypoczywać na aktywnym wulkanie? – spytał Bili.

– A gdzie indziej wojsko ma zaznać spokoju? – odwarknął sierżant, nie bez pewnej racji. – Krzyknąć głośno po wyczytaniu nazwiska. Aardvaark...

Stali tak w palących promieniach tropikalnego słońca, oczywiście oprócz tych, którzy padli, doznawszy udaru cieplnego, aż sierżant dotarł do kończącej listę Zzowskiego.

Następnie w niezbyt regularnym szyku pomaszerowali w kierunku dżungli.

Wspinaczka do baraków była długa i ciężka. Dodatkowym utrudnieniem byli kręcący się na

szlaku pijani oficerowie, którzy chichotali nieustannie, wymachiwali opróżnionymi butelkami i zasypywali nowych urlopowiczów obelgami, nie tylko werbalnymi.

Po zmroku dotarli na szczyt. Droga rozdwajała się tutaj i było jeszcze dość jasno, by dostrzec wskazującą na prawo strzałkę z napisem: TYLKO DLA OFICERÓW. Pobliskie fumarole wypluwały nieustannie kłęby dwutlenku siarki i innych trujących chemikaliów, a wiatr zwiewał te chmury na lewo. Kaszłąc i chrypiąc, urlopowicze znaleźli po omacku swoje kwatery i opadli na twarde jak pumeks prycze.

– Ale tu fajnie! – powiedział Bili przez łyzy i natychmiast musiał się osłonić przed lecącymi na niego butami.

Nawet tak zahartowani wojacy mieli kłopoty z zaśnięciem pośród nieustannych wstrząsów sejsmicznych i smogu wulkanicznego, jednak nie takie przeszkody już pokonywali. Ci, którzy nie nabyli umiejętności zapadania w sen w takich albo i gorszych warunkach, dawno już pomarli ze zmęczenia. Po chwili w noc popłynęło melodyjne charczenie poparzonych kwasami, uśpionych urlopowiczów. Po następnych kilku minutach do baraku wpadł sierżant. Zapalił światła i rozdarł się na całe gardło:

– Wstawać! Czingerowie atakują!

Wszyscy jęknęli i sięgnęli po buty, szykując się niemrawo, aż sierżant dodał:

– Atakują kwatery oficerów!

Jęki ustąpiły radosnej owacji i oddział wrócił na prycze. Widząc to, sierżant wystrzelił kilka razy w sufit.

– Podzielam wasze odczucia – warknął – ale w drugiej kolejności mogą się zabrać i do nas. Do broni.

Argumentacja podziałała i instynkt przetrwania zwyciężył. W trosce o swoje cztery litery żołnierze skierowali się do szafek z bronią.

Ubrany jedynie w pomarańczowe kalesony i buty Bili złapał strzelbę jonową, sprawdził, czy jest naładowana, i dołączył do reszty, która znalazła tymczasem stosowny punkt widokowy. Było co podziwiać. Zza oparów dobiegały krzyki i odgłosy eksplozji.

– Słyszycie? Tym razem musi ich być pewnie z tuzin!

– A ja o mały figiel poszedłbym na oficera!

Bili dawno tak się nie ubawił. Uśmiechnięty ruszył nawet przez trawę, by przyjrzeć się dokładniej miłemu sercu widowisku.

– Psst, Bili, tutaj – rozległo się nagle zza krzaków. – Kto tam? – spytał Bili podejrzliwie. – Nikogo tu nie znam.

– Ależ znasz mnie, byliśmy kumplami na pancerniku Fornigueteur, wielkiej damie naszej floty.

– I co z tego?

– A to, że mam tu butlę Plutońskich Szczyn Pantery i nie chcę dzielić się nią ze wszystkimi.

– Stary! Tak, pamiętam, kopę lat!

Bili obszedł krzak. W mdłym świetle księżycy ujrzał, że stoi tam prawdziwy Czinger.

– Do broni! – wrzasnął Bili, unosząc strzelbę.

Drobna, ale silna dłoń wyrwała mu oręż. Czinger podskoczył na tyle wysoko, by przyłożyć Billowi w szczękę, lekko ogłuszyć i powalić na ziemię.

– Spokojnie, Bili, przecież mnie pamiętasz. Nie raz i nie dwa uratowałem ci życie.

– Bgr? Czinger Bgr?

– A ilu niby znasz Czingerów? Ten atak to wybieg dla posiania dywersji...

– To nie chcecie pozabijać oficerów? – spytał zrozpaczony Bili.

– Ależ jasne, że chcemy. A teraz zamknij jadalnię i daj mi dokończyć. Dywersja była po to, żebym mógł się z tobą spotkać. Potrzebujemy twojej pomocy...

– Chyba nie sądzisz, że zdradzę rasę ludzką!

– Sądzę. Jesteś zaprawionym weteranem, który zrobi wszystko, by uratować swoją dupę. Mam rację?

– Masz. Ale ja jestem droga siła robocza. Ile płacisz?

– Dożywotnia subskrypcja pitnych wydawnictw Klubu Booze. Ich motto: "Kto pije, ten żyje".

Chociaż, z drugiej strony, nie załatwiają ubezpieczenia wątroby.

– Załatwione. Kogo mam zabić?

– Nikogo. Nie musisz nawet zdradzać. To tylko taka podpucha, by pokazać, jacy słabi są ludzie.

A teraz wynośmy się stąd, nim chłopcy skończą zabawę.

Bgr poprowadził Billa do rzeźbionej fontanny z wielką rybą na szczycie. Wystarczyło przekrócić ogon rzeźby, a woda przestała płynąć i otworzyło się ukryte wejście.

– Właż – polecił Bgr.

– Co to jest? Miniaturowy statek kosmiczny a la fontanna?

– No przecież nie wagon metra. Ruszaj, bo nas zauważą.

Kilka kul uderzyło w skałę obok i Bili zanurkował czym prędzej do otworu. Zaraz też przyspieszenie rozplaszczyło go na podłodze. Gdy się wreszcie podniósł, Bgr siedział przy pulpicie sterowniczym, a w iluminatorze jarzyły się gwiazdy. Czinger przycisnął jakiś guzik i gwiazdy zaczęły maleć. Skutek działania napędu systemu Piklinga.

– Dobra – powiedział Bgr, obracając się wraz z fotelem. – Zapal sobie teraz, a ja ci opowiem, co jest grane.

Bili wziął jedno z proponowanych mu cygar i zapalił. Bgr natychmiast zjadł resztę i czknął z ukontentowaniem.

– Inny metabolizm. Właśnie prowadzimy operację ratunkową.

– Ktoś porwał dziewicę?

– Niezupełnie, chodzi o Czingera. Uwięził w swoim statku, gdy mu odstrzelili silniki.

Jest dla nas bardzo ważny...

– Czemu?

– Gdybym ci powiedział, przerobiłbyś go na sieczkę. Powiedzmy po prostu, że to ważne.

Wydobądź go, a będziesz miał co pić do końca życia.

– A sami nie możecie?

– Nie. Po pierwsze, nie jesteśmy ludźmi. Mgr, bo takie jest chyba jego imię, został uwięziony na wysoce zmilitaryzowanej planecie zwanej Parra'Noya. Wszelkie przebranie na nic, tam znajdują się na tych rzeczach. Demaskacja murowana. Ty zaś wyglądasz z grubsza na człowieka i można posłać cię tam, gdzie dla nas sprawa trudna.

– Ale zapłata z góry – powiedział nieco zaniepokojony Bili.

– Czemu nie? Równie dobrze możesz podróżować zalany. W twoim wypadku to i tak bez różnicy, trzeźwy czy pijany, niezmiennie bełkoczesz.

Podał Billowi podejrzaną flaszkę zielonego płynu. Nalepka głosiła coś w obcym języku. Nie mając pojęcia, czego się spodziewać, Bili łyknął na próbę. Ohyda. Para buchnęła mu z uszu. Jednak drugi, głębszy łyk smakował już lepiej, trzeci był całkiem miły. Nie trwało długo, a Bili upuścił pustą butelkę i legł nieprzytomny na pokładzie.

– Obrzydliwe. Czingerowie nie piją. Ani się nie upijają. Bili obudził się z jękiem.

Słyszał dzwony. Dopiero po chwili odkrył, że dzwony te kołyszają się gdzieś w jego czaszce.



Musiał użyć palców obu rąk, by rozdzielić powieki jednego oka. Zaraz zresztą je zamknął i jęknął jeszcze głośniejsze, gdy błyskawica światła przeszła mu mózg.

– Wzruszające – sarknął Bgr i wbił igłę w ramię Billa.

Cokolwiek mu wstrzyknął, zadziało niemal natychmiast i symptomy monstualnego kaca zaczęły przechodzić. Bili mógł wreszcie spojrzeć na świat. Przed nim stał admirał floty.

Bili zasalutował odruchowo.

O dziwo, admirał uczynił to samo. I zamrugał zdumiony. To znaczyło, że Bili stoi przed lustrem.

– Wreszcie mam taki stopień, na jaki zasługuję – ucieszył się Bili i zadzwonił medalami.

– Zostaw to. Nie jesteś dość inteligentny nawet na szeregowca pierwszej klasy. Teraz słuchaj, bo nie będę powtarzać. To trochę skomplikowane, prawie tak trudne jak twoja ostatnia robota.

– To nie było łatwe, ale przecież mi się udało!

– Zaiste. Słuchaj. Wprowadziłem ci wszystkie instrukcje do podświadomości. Aby poznać rozkazy, musisz wymówić słowo "imbecylić".

– Tylko tyle?

– Tak. Sądzisz, że zapamiętałybyś inaczej wszystkie detale i zawijasy tej złożonej misji?

– Imbecylić – powiedział Bili i ni stąd, ni zowąd założył kciuki za pas i odezwał się zupełnie innym głosem: – Czyżbyś nie wiedział, dobry człowieku, że stoisz przed Wielkim Admiralem floty...

– Odimbecylić! – zawołał Bgr i Bili aż się zachwiał. – Ja to powiedziałem?

– Ty. Implant działa. Zaczynamy bitwę.

– Jaką bitwę?

– Zaplanowaną, kretynie. Z niej to właśnie uciekniesz ocalony w kapsule ratunkowej, która zanieśie cię na Parra'Noye.

Bgr przycisnął guzik na konsoli łączności i inny zielony, czteroręki Czinger pojawił się na ekranie.

– Tdsmnx – powiedział Bgr.

– Mrtnzl – odparł tamten i zniknął.

– Ludzie musieliby gadać przez pięć minut, by powiedzieć to, co my właśnie sobie przekazaliśmy. Czingeryjski jest bardzo treściwym językiem.

– Ale brzmi głupio.

– A kto cię pyta o zdanie? Ruszaj do wyjścia, twój środek transportu już przybył.

W pole widzenia wpłynęła nieco osmalona i poobijana kapsuła ratunkowa.

Przycumowała do fontanny, szczęknięło uszczelnienie włazów.

– Dalej! – rozkazał Bgr.

Bili przeszedł do ciasnego wnętrza. Przypasał się do fotela pilota i wyciągnął dłonie do sterów.

– Nie ruszaj niczego, placku wołca. Zdalne sterowanie. Miłego dnia...

Głos Czingera zginął w huku rakiet i kapsuła wystrzeliła prosto w ognistą chmurę rozgorzałej właśnie bitwy. Bili pisnął cienko, gdy wokół zaczęły eksplodować pociski i torpedy.

Rakieta przebiła się przez całe to zamieszanie i zaczęła spadać na błękitną planetę.

Silniki umilkły i Bili tylko patrzył z przerażeniem na coraz bliższe chmury.

Na spotkanie wybiegła mu najeżona wieżyczkami strzelniczymi baza. Spadochron zadziałał dosłownie w ostatniej chwili i kapsuła wylądowała miękko na samym środku placu musztry. Pokrywa włazu odpadła. Rill przyklepał posiwiące teraz włosy, wepchnął żołądek z powrotem na miejsce i w ogólnowojskowym stylu wylazł na zewnątrz.

– Stój, szpiegu, albo przerobię cię na żarcie dla psów! Wartownik mierzył prosto w kieszki Billa. Palec trzymał na spuście broni.

– Uggglel – powiedział Bili.

– Że jak?

– Znaczy, tumanum cretinum! – Skóra poszarzała Billowi pod kolor włosów.

Zapomniał hasła!

– Co tu się dzieje? – spytał generał, który pojawił się nagle obok. Miał na sobie pełną kamizelkę kuloodporną.

– Kapsuła wylądowała. Ten szaleniec był w środku. Nie mówi po ludzku.

– Nonsens. Nie widzicie, że to oficer? Zwykli żołnierze mogą być pomyleni, oficerowie bywają co najwyżej ekscentryczni. – Odwrócił się do Billa i zasalutował. – Witamy na Parra’Noyi, admirale.

– Eeee – beknął Bili.

– Rzeczywiście – powiedział generał, wytrzeszczając oczy. – Imbecyl.

– To jest to! – krzyknął radośnie Bili. – Imbecylić! Miło mi pana spotkać, generale.

Mieliśmy drobną potyczkę, straciliśmy kilka tysięcy okrętów, ale oni też nieco oberwali.

– Nie da się usmażyć omletu, nie tłukąc jajek.

– Święte słowa. Wskoczyłem do kapsuły na chwilę przed tym, jak mój pancernik eksplodował. A teraz, czy mogę prosić o okazanie mi odrobiny gościnności i ukaranie tego tu żołnierza za mierzenie nabitą bronią w przełożonego?

– Oczywiście. Oddać mi broń i zgłosić się w areszcie. Dwa lata przydziału do batalionu roboczego. Odmaszerować.

Łkając z rozpacz, żołnierz powłókł się na zesłanie. Oficerowie zaś, obaj we wspaniałych humorach, skierowali się noga w nogę do kantyny, gdzie wznieśli szampanem radosny toast.

– Za militarystyczny ogólnoplanetarny – krzyknął Bili. – Niech trwa jak najdłużej!

– Za flotę kosmiczną, niech jej szlag rychły nie trafia!

Bili wychylił szklanicę i uśmiechnął się, gdy znów mu dolano.

– To Parra’Noya, prawda?

– W rzeczy samej.

– Chyba przypominam sobie kosmogram, który przyszedł na chwilę przed detonacją statku. Było w nim coś o jeńcu...

– Pewnie chodzi o naszego Czingera!

– No wiecie państwo... Jeszcze nikt nigdy nie pojmał Czingera...

– Bo niewielu jest tak sadystycznych i wojowniczych militarystów jak my! Chce pan zobaczyć tego robala?

– Tak się nazywa?

– Podobnie. Mówi na siebie ”Mgr”.

– No to prowadź, kolego. Czy mogę wam pomóc w torturach lub czymś w tym stylu?

– Miło z pana strony, że pan o tym mówi. Zobaczę, co się da załatwić.

Dokończyli butelkę, zapalili cygara i ruszyli w głąb forticy. Po drodze mijali kolejne posterunki, strażnicy prezentowali broń. Po długiej wędrówce stanęli przez ścianą wpuszczonego w skałę metalu. Miejscowe gryzonie czmychnęły im spod nóg. Pełniący tu służbę wartownicy pokryci byli pleśnią i pajęczynami. Ostatnia brama stanęła otworem, zamknęła się za nimi, wartownik zaprezentował broń i odsunął się na bok. Bili spojrzął na przykutego do ściany Czingera.

– Myślałem, że oni są więksi.

– Małe czy duże, co za różnica? Zawsze zielone, z nadmiarowymi łapami. To wróg i trzeba go zniszczyć.

– A co to za dziwna broń, którą miał ten strażnik?

– Nowość. Paralizator. Wysyła pierścienie energii i oplątuje ofiarę więzami paralizującej radiacji. Nie do zerwania.

– To chyba czary. Mogę zobaczyć?

Nie czekając na pozwolenie, Bili wziął karabin, odwrócił i spojrział w lufę. Odwrócił go ponownie i strzelił do generała i wartownika. Padli, krzycząc, i spowici purpurowym płomieniem zaraz stracili przytomność. Bili spojrział przez kraty na Czingera.

– Grtzz?

– Zmtzl Miło mi cię widzieć, wulgarna ludzka istota wysłana przez mego współmrowiskowca Bgr. Możesz się już odimbecylić.

Na to słowo Bili stał się znów sobą i zaszczekał zębami ze strachu.

– No tu umarł w butach! Jesteśmy w trzewiach fortecy wroga!

– Stul pysk – zaproponował uprzejmie Mgr i zerwał bez trudu łańcuchy. – Żaden człowiek by tego nie dokonał. Tego też nie potraficie – powiedział, zginając pręty krat i wychodząc z celi. – Widziałeś tu gdzieś jakieś roboty?

– Czemu?

– Nie próbuj myśleć, tylko odpowiadaj. I tak niczego nie wymyślisz. Roboty były?

Metalowi ludzie na kółkach i ze szklanymi oczami.

– Tak, chyba tak. Na korytarzu był mechaniczny sprzątac.

– Doskonale.

Czinger przeskoczył nieprzytomnego generała i podszedł do płytki kontrolnej przy framudze wrót.

– Imbecylić – powiedział i przycisnął guzik. Drzwi uchyliły się nieco i Bili podszedł bliżej.

– Straż, chodźcie no tu na chwilę – powiedział przez szparę.

Po chwili trzymał w dłoniach następne paralizatory, a stos ciał na podłodze jakby urósł. Mgr czekał schowany z boku.

– Odimbecylić – powiedział i Bili zadrżał, ogarnięty paniką.

– Przestań się mazać albo zostawię cię tu na pewną śmierć i degradację. Rób, co każę, a może wyjdziemy stąd w jednym kawałku. Albo i lepiej. Dawaj tu tego robota.

Bili jęknął, ale posłuchał. Czinger był jego jedyną nadzieją.

Robot zamiatał korytarz, ale podjechał zawołany. – Ty tam, robot, chodź tutaj.

– Moja robot natychmiast tutaj – odparł metalowy kretyn.

– Ty... robot... odłóż miotłę. Podjedź do wielkiego ludzkiego szefa.

– Moja robot robić, co szef kazać.

Ledwo wjechał do środka, Czinger skoczył mu na obudowę i otworzył płytkę kontrolną z tyłu głowy.

– Klinkel – zaprotestowała maszyna, gdy Mgr wydarł jej z trzewi kłęb drutów i rzucił je na podłogę. Zrobiwszy dość miejsca, wcisnął się do środka i zamknął za sobą płytkę.

– A teraz toczymy się – powiedział ożywiony nowym duchem robot. – I lepiej będzie, jak powiesz hasło, bo niewiele nam przyjdzie w tej potrzebie z wystraszonego durnia. Dalej!

– Imbecylić! – Bili odetchnął głęboko. – To co, ruszamy dalej, kochany partnerze z gniazda? Domniemywam, że masz gotowy plan ucieczki.

– Jak najbardziej – przytaknął robot i sięgnął po miotłę. – Ty prowadzisz, ja za tobą.

Musimy pokonać trzydzieści pięter. Gdy mnie tu nieśli, na samej górze widziałem lądowisko.

Strażnik przy następnym przejściu aż gębę rozdziawił, widząc Billa.

– Przepraszam, ale czy pan wie, że za panem podąża robot porządkowy?

– Naprawdę? A to dlatego zdawało mi się, że słyszę grzechotanie blach!

Gdy Bill to mówił, robot minął go i rąbnął wartownika miotłą w głowę.

– Pora się przebrać – stwierdził Czinger i zdarł mundur z wartownika.

Kilka chwil później robot w towarzystwie żołnierza byli już blisko szybu windy.

Właśnie wtedy rozległy się syreny alarmu.

– Już wiedzą! – krzyknął Bili.

– Czingerowie górą! – zawył robot i rozdarł metalowe drzwi szybu.

Metalowe ramię i ludzka ręka złapały jasnoczerwone szczeble drabiny awaryjnej. Gdy tylko drzwi na samym szczycie się uchyliły, ustawieni tam żołnierze otworzyli ogień.

– Dobrze, że myśl Czingera i elektroniczny refleks przewyższają nędzne talenty człowiecze – powiedział Mgr, zatraskując drzwi dokładnie w tej samej chwili. Metal rozjarzył się od gorąca. – Spróbujemy piętro niżej.

Podjęli wyścig z czasem, desperacką walkę o przetrwanie. Wszyscy byli przeciwko nim, nawet kobiety. Dowiedzieli się o tym, gdy pogoniły za nimi niewiasty ze służby pomocniczej.

Żadne słowa nie oddadzą, ile przeszli tego dnia. Były to prawdziwe bliskie spotkania czwartego stopnia, tak bliskie, że aż kłaki fruwały w powietrzu, a zęby wymiatano potem spod najdalszych sprzętów. Cała batalia trwała ledwie kilkanaście minut, ale dla naszych bohaterów czas stanął. Po godzinach, jak sądzili, ciężkich zmagani dotarli do ostatnich drzwi i wybiegli na ulewny deszcz. Solidnie potłuczony i poraniony Bili otrzepał się z gwiazdek i belek. Robot tymczasem otworzył jedynym ocalałym ramieniem klapkę w głowie. Maszynka rozsypała się, ledwie Czinger zeskoczył na ziemię.

– Odimbecylić – powiedział Mgr. – Miejmy nadzieję, że najgorsze już za nami. A teraz może przestań szcekać tak obrzydliwie resztkami uzębienia, rozejrzyj się i powiedz mi, gdzie właściwie jesteśmy.

– Na deszczu...

– Wspaniale. Spośród całej ludzkiej rasy Bgr znalazł dla mnie jedynie kretyna o mózdku zdechłej myszy. Słuchaj, głupku, ty jesteś człowiekiem, ja nie. Rozejrzyj się i powiedz, gdzie dotarliśmy.

– Nigdy jeszcze tu nie byłem.

– Wiem. Ale wytrzeszcz patrzalki, domyśl się. Ja wiem o ludziach tylko tyle, ile wyczytałem w raportach. Owszem, jestem szefem CIA, czyli wywiadu Czingerów, ale nigdy jeszcze nie gościłem na planecie ludzi. No to jak?

– To miejskie wysypisko śmieci. Mówisz, że jesteś szychą?

– Najwyższą. To ja prowadzę wojnę. Sporo roboty już odwałem. A jeśli spróbujesz powiedzieć komukolwiek, kim jestem, to zginiesz, nim wymówisz choć słowo. Co to jest „śmieci”?

– To odpadki, które ludzie wyrzucają.

– No to przyjrzyjmy się, co wyrzucają.

Przekradali się przez deszcz od jednej sterty do drugiej, aż w końcu przykucnęli za pagórkiem połamanych kół zębatach. Coś się zbliżało ku nim z coraz głośniejszym łoskotem.

– Wyjrzyj – rozkazał Mgr. – Co jedzie?

– Śmieciarka. A co niby ma jeździć po wysypisku?

– Ilu ludzi?

– Ani jednego. To zautomatyzowana śmieciarka.

– Dodajesz mi ducha, prostaczku. Włazimy do środka.

Przemoczeni i zmęczeni wspięli się do kabiny i zatrzasnęli za sobą drzwiczki.

– Ludziom wstęp wzbroniony – warknął mechaniczny kierowca. – To wbrew prawu, ja tego nie lubię, krrkkk – wykrakał robot, nim Mgr oderwał mu głowę i odepchnął metalowe truchło na bok.

– Kieruj – polecił Billowi. – Tyle chyba potrafisz?

– Ciężarówka to ciężarówka – mruknął Bili sentencjonalnie, wrzucił bieg i ruszył do tyłu, wbijając się w górę śmieci. – Chociaż czasem trzeba kilku sekund, by opanować konkretny typ.

– No to wykorzystaj mądrze te kilka sekund i nie próbuj więcej podobnych kawałów.

Czingerowie mają wrażliwy węch.

Bili opanował ostatecznie maszynię i wyjechał z wysypiska. Deszcz ustał. Z tyłu widzieli coraz mniejszą fortecę, po bokach ciągnęły się zielone pola. Mgr wyjrzał przez dziurę, którą zrobił w drzwiczkach.

– Tędy, do lasu.

– Tam są gospodarstwa.

– Oszczędź mi wykładu z filologii i kieruj się na wzgórze. Musimy odjechać jak najdalej, nim wezwą pomoc.

Potoczyli się dalej. Bili kierował coraz wprawniej.

Ujrzawszy batalion czołgów, zatrzymał pojazd i za pomocą zdalnego sterowania opróżnił kilka pobliskich pojemników na śmieci. Grunt to nie budzić podejrzeń.

– Bardzo dobrze – powiedział z dumą, gdy czołgi zniknęły wśród fontann błota.

– Byłoby lepiej, gdybyś wrzucił te śmieci do tej dziury na górze pojazdu, miast rozsypywać po ulicy.

– Nie ma tak łatwo – mruknął Bili. – Może ty zrobiłbyś to lepiej?

– Jedź – westchnął Czinger. – Nigdy nie przypuszczałem, że będę kiedykolwiek dyskutował z upośledzonym egzemplarzem rodzaju ludzkiego o technice ładowania śmieci.

O zmroku znaleźli cichy zakątek, który zadowolił Mgra. Kamienista kotlinka między wzgórzami, z dala od ludzkich siedzib. Czinger zdemontował do końca kierowcę i zbudował dwa skomplikowane moduły elektroniczne. Włączył jeden z nich do gniazda zapalniczki i pomachał urządzeniem.

– Co to jest? – spytał Bili.

– Detektor do wykrywania detektorów.

– I co robi?

– Zawsze byłem miły wobec małych Czingerów i pomagałem starszkom przechodzić przez ulicę, więc za co mnie to spotyka? Próbuję ustalić, czy mogę wysłać stąd sygnał, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Wychodzi na to, że nie ma przeszkód. Biorę więc to drugie urządzenie...

– I co robisz?

– Dzwonię do domu... Dobra, sygnał poszedł i niedługo zobaczymy skutki...

Skutki ujrzeni nawet wcześniej. Coś czarnego opadło z nieba i w huku silników wylądowało tuż obok śmieciarki. Mgr jednym susem wyskoczył na ziemię, Bili za nim.

Śluza uchyliła się i z góry spłynął mikrofon na kablu.

– Bgr, jak przypuszczam! – krzyknął Mgr do mikrofonu.

Spod statku wyłonił się oddział piechoty morskiej. Wszyscy z wycelowanymi strzelbami. Właz otworzył się i stanął w nim uśmiechnięty siedmiogwiazdkowy generał.

– Nie Bgr – powiedział – ale generał Saddam, dowódca Wywiadu Wojskowego.

– Ratuj mnie! – wrzasnął Bili, chowając się za generała. – On mnie uwięził, ale poznałem jego sekret. Nazywa się Mgr i jest szefem CIA. Ich najważniejszej agencji wywiadowczej.

– Dobra robota, żołnierzu. Od początku podejrzewałem tego Czingera, trochę zbyt łatwo się dał pojmać. Dowiodłeś, że miałem rację. Mój plan zadziałał wręcz idealnie!

– Nie, generale – warknął Mgr. – To mój plan się powiódł jak z płatka. Imbecylić!

Bili wyrwał generałowi pistolet z kabury, obezwładnił oficera i zasłonił się nim przed żołnierzami.

– Hej, chłopaki! – wrzasnął. – Jeśli mnie zastrzelicie, podziurawicie też generała. Taki zapis głupio wygląda w aktach.

Żołnierze zawahali się, kilku opuściło broń.

Ich niezdecydowanie ustąpiło miejsca panice, gdy z nieba spadł drugi czarny statek i omiół ogniem okolicę. Wojacy uciekli, porzucając broń.

– Nie możesz tego zrobić! – ryknął generał i spróbował odebrać Billowi własny pistolet.

– Dobra robota – powiedział Bgr, wyłaniając się z włazu. – Właśnie o niego nam chodziło, Mgr.

– Dziękuję, Bgr.

Bgr skoczył nagle i zabrał broń Billowi.

– Odimbecylić – powiedział.

– Prawie wyłamałeś mi palce!

– Trudno. Ale odwaliłeś solidny kawał roboty, Bili. Wsiadaj na statek. Generał leci z nami. Właśnie przeszedł na emeryturę.

– Zatem będę więźniem. Czy cała ta szarada była jedynie po to, by mnie pojmać?

– Nie zawodzi nas pan, generale. Ostatnimi czasy zaczęło się wam dziwnie dobrze powodzić, doszliśmy więc do wniosku, że widocznie w sztabie pojawił się przypadkiem ktoś inteligentny. Nie mogliśmy tego tak zostawić. Nasza metoda na wygranie wojny to utrzymać waszą strukturę dowodzenia w najlepszym porządku, bo wtedy najgłupszy na pewno zajdą na sam szczyt.

Wieżyczka statku Czingerów plunęła ogniem i wyłupała sporą dziurę w okęcie ludzi.

Reszta załogi związała w mgnieniu oka. Mgr zakuł generała w kajdany i Bgr wystartował.

– Może zostawilibyście mnie na jakiejś cichej planecie, co, chłopaki?

Bgr pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi, Bili, ale twoja służba nie dobiegła jeszcze końca. Potrzebujemy cię tam, gdzie służysz. Któregoś dnia możesz zostać generałem.

– A będę dostawał moją zapłatę z Klubu?

– W tej kwestii też muszę cię przeprosić. Przesadziłem, ale jakoś musiałem cię skusić.

– No to co dostanę?

– Resztę urlopu wypoczynkowego. Wszyscy oficerowie wylądowali w szpitalu, sierżant siedzi przy nich cały czas. Podrzuciliśmy wam cały frachtowiec pełen wszystkich alkoholi, jakie zna rasa ludzka, jest tam też kilka takich, których nie znacie. Wszyscy twoi kumple mają już śrubę jak się patrzy. Chyba chętnie do nich dołączysz.

– Zdrajca! – syknął generał. – Imię twoje okryje się niesławą!

– Zapewne – westchnął Bili. – Chociaż, jeśli nie będzie pan miał okazji nikomu o tym powiedzieć...

– W tej sprawie możesz na nas liczyć – powiedział Mgr.

– Jeśli tak, to dodaj trochę gazu. Jeszcze wychleją wszystko beze mnie.

Przełożył Radosław Kot

Od autora:

Na Hawajach jest pewien czynny wulkan, który wybucha nieustannie od ośmiu lat.

Wyrzuca dziennie 1600 ton dwutlenku siarki i innego paskudztwa. Na jego stoku wybudowano cywilny hotel i wojskowy obóz wypoczynkowy. Hotel jest tak położony, że dym z krateru nigdy go nie dosięga, natomiast obiekt wojskowy pławi się nieustannie w wulkanicznym smogu. I niech mi ktoś jeszcze powie, że sztuka parodiuje życie...

# Spis treści

<a href="#">O autorze.</a>	3
<a href="#">Zawsze słucham misia.</a>	9
<a href="#">Kosmiczne Szczury z BGW...</a>	15
<a href="#">Z powrotem na Ziemię.</a>	25
<a href="#">Przestępstwo.</a>	40
<a href="#">I kto to mówi...</a>	50
<a href="#">Uwiedzenie.</a>	55
<a href="#">Jeżeli</a>	65
<a href="#">Milczący Milton.</a>	70
<a href="#">Symulowany trening.</a>	76
<a href="#">Nareszcie prawdziwa historia Frankenstein.</a>	85
<a href="#">Robot, który chciał wiedzieć.</a>	89
<a href="#">Szczęśliwe wakacje Billa Bohatera Galaktyki</a>	95